

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 3/137

1959



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

PRZEDPŁATA NA "DOKTORA ŻIWAGO" Str. 3

J. ŁAWRYNENKO :

LITERATURA SYTUACJI POGRANICZNYCH

AL. KAWAŁKOWSKI : U PROGU V REPUBLIKI

SPIS RZECZY

—	<i>Przedpłata na książkę B. Pasternaka „Doktor Żiwago”</i>	3
—	<i>Dokumenty</i>	4
Jurij Ławrynenko :	<i>Literatura sytuacji pogranicznych</i> ..	5
Gustaw Herling-Grudziński :	<i>Komentarz tłumacza</i>	17
W.A. Zbyszewski :	<i>O pisarzach i redaktorach</i>	21
Wacław Solński :	<i>Podróż do Europy (2)</i>	38
Leo Lipski :	<i>Pradawna opowieść</i>	51
Adolf Sowiński :	<i>Kazanie księdza Badury</i>	55

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski :	<i>Spór</i>	75
Aleksander Kawalkowski :	<i>U progu V Republiki</i>	83
Londyńczyk :	<i>Kronika angielska</i>	99

SPRAWY I TROSKI

J.P. Dąbrowski :	<i>W Glasgow czy w Glasgowie ?</i> ..	106
------------------	---------------------------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

Wiktor Weintraub :	<i>Polski Słownik Biograficzny redi-vivus</i>	114
Michał Sokolnicki :	<i>Słownik Biograficzny</i>	120
—	<i>Polonica włoskie</i>	121
—	<i>Pisarze emigracyjni o sytuacji lite-ratury w kraju</i>	122
Juliusz Słowacki :	<i>List do Józefa Komierowskiego</i>	122

WOLNA TRYBUNA

Barbara Toporska :	<i>List do Miłosza</i>	123
--------------------	------------------------------	-----

KSIAŻKI

Wiesław Wóhnot :	<i>Beck, Szembek, Rembek</i>	128
Piotr Wandycz :	<i>Hitler i Stalin</i>	136
E. Żagieł :	<i>Pamiętniki gen Rasztikisa</i>	141
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> ..	146

Ks. W. Sojka, W. Ostrowski, W. Gombrowicz, B. Szubska Syndykat Zw. Dziennikarzy Pol- skich, Oddz. w A.P.; B. Szczy- towska, W. Iwaniuk, M. Sokol- nicki, St. Vincenz :	<i>Listy do Redakcji</i>	147
---	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Marzec – Mars

1959

INSTYTUT



LITERACKI

DALSZE WPŁATY NA DOM "KULTURY"

Michał Krycuń, Winnipeg, (Kanada)	2.500 fr.
Władysław Szul, Elizabeth, N.J. (U.S.A.) ponownie	2.500 „
Czesław Borzobohaty, Omaha, Nebraska (U.S.A.) ponownie ..	5.000 „
Zofia Starczewska, Genewa (Szwajcaria) ponownie	500 „
MWK (Australia) po raz trzeci	2.500 „
Bezimiennie, Cleveland, Ohio (U.S.A.)	1.000 „
J. Masiewicz, Toronto, Ont. (Kanada) po raz trzeci	1.000 „
Bezimiennie (Polska)	2.500 „

DZIĘKUJEMY

NA PACZKI DO POLSKI

Feliks Burdecki, Pretoria (Afryka Pół.)	1.350 fr.
---	-----------

NA FUNDUSZ PRASOWY "WOLNA TRYBUNA"

Józef Jenne, Caracas (Wenezuela)	2.050 fr.
Władysław Szul, Elizabeth, N.J. (U.S.A.) łącznie	3.600 „
Michał Krycuń, Winnipeg, Man. (Kanada)	2.500 „

NOTA BIOGRAFICZNA

ADOLF SOWIŃSKI — urodzony w roku 1914 w Kielcach, tamże gimnazjum, po czym studia filologiczne na uniwersytecie warszawskim i w Lipsku. Okupację i okres powojenny spędził w Kraju.

Przed wojną drukował wiersze i prace krytyczne w „Gazecie Polskiej”, „Skamandrze” i „Wiadomościach Literackich”. Debiutował tomem poezji „Gospoda zmierzchu”, wydanym w roku 1939 u Mortkowicza w Warszawie. Po wojnie opublikował w Kraju następujące książki: „Ściegienny” (zyciorys powieściowy, 1948), „Lata szkolne” (opowieść o Stefanie Żeromskim, dwa wydania: 1953 i 1956), „Wybór wierszy i przekładów” (1956). Ponadto ogłosił studia o „Fauście” Goethego, o Schillerze, o Lessingu (wraz z dwutomowym wyborem dzieł) oraz zebrał i opatrzył komentarzami dawne i nowe przekłady polskie z Heinego. Wśród jego własnych przekładów należy wspomnieć Maupassanta (wybór opowiadań), France’a („Na białym kamieniu”, opowiadania) Voltaire’a (satyry wierszowane, „Traktat o tolerancji”), a dalej epigramat grecki, wiersze Schillera, Hölderlina, Rilkego, Brechta. Prace krytyczne — rozproszone w prasie krajowej. W „Neue Deutsche Literatur” 1955 opublikował po niemiecku rozprawkę o niemieckich przekładach z Mickiewicza.

Obecnie przebywa w Wiedniu, pracując nad powieścią współczesną i przekładami z poezji niedawno zmarłego Gottfrieda Benn’a.

Opowiadanie, które ogłaszamy jako pierwodruk z manuskryptu autora, powstało z końcem roku 1947 w Kraju.

Przedpłata na "Doktora Żiwago"

Ogłaszamy przedpłatę na głośną książkę Borysa Pasternaka „Doktor Żiwago”, która ukaże się w przekładzie Pawła Hostowca w ramach BIBLIOTEKI „KULTURY” w lipcu bieżącego roku. Liczącą około 30 stron część poetycką przekłada Józef Łobodowski.

Mimo, że książka będzie liczyła ponad 700 stron ustalamy cenę w przedpłacie jedynie na frs 1.000 (15 sh., lub dol. 2,50).

TERMIN PRZEDPŁATY

UPŁYWA DNIA 30 KWIETNIA 1959 ROKU

W sprzedaży cena książki będzie frs. 1.750 (25 sh., lub dol. 4,00)

Ponieważ zainteresowanie „Doktorem Żiwago” jest bardzo duże zarówno na emigracji jak i w kraju — prosimy naszych czytelników o niezwlekane z zamówieniami, abyśmy mogli zorientować się zawnazsu w wysokości nakładu.

Zamówienia i wpłaty należy kierować do Administracji „KULTURY” — 91, Avenue de Poissy, MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.), France, lub do przedstawicielstw KULTURY.

DOKUMENTY

Popagandy jakże często mamy za wiele. Informacji nigdy nie jest za dużo. Dla czytelników KULTURY w kraju i zagranicą, tj. dla ludzi, którzy cenią nie propagandę, lecz fakty i informacje — podjęliśmy nową serię wydawniczą w ramach „Biblioteki KULTURY” pod nazwą DOKUMENTY.

DOKUMENTY będą dawać Czytelnikowi polski przekład oryginalnych tekstów, które zazwyczaj zna się tylko z fragmentów, z dowolnie powyrywanych cytat, przytaczanych przez prasę codzienną lub z uogólnień publicystycznych. Jesteśmy pewni, że nasi czytelnicy zechcą sami zapoznać się z „mięsem”, z którego wielojęzyczna prasa przyrządza dla nich gazetowe „kotlety”. See it for yourself! Zapoznajcie się sami z tekstami, które charakteryzują współczesną sytuację światową czy problemy społeczne epoki — bo tylko wtedy będziecie mogli mieć własny sąd o tym, co się wokół Was dzieje.

Dokumenty będą się odróżniały od innych książek „Biblioteki KULTURY” kolorem okładki i własną numeracją.

Poprzednio ukazały się 4 pozycje DOKUMENTÓW:

1. O KULCIE JEDNOSTKI I JEGO NASTĘPSTWACH. Referat 1-go Sekretarza K.C. KPZR, Chruszczowa.
2. PRZEMÓWIENIE WŁADYSŁAWA GOMULKI 1-go Sekretarza K.C. PZPR.
3. TESTAMENT HARICHA.
4. WARSZAWA — KIJÓW w opracowaniu B. Lewyckiego.

Obecnie ukazały się:

5. PROGRAM ZWIAZKU KOMUNISTÓW JUGOSŁAWII wraz z sowiecką krytyką tego Programu.
(Tom XL „Biblioteki KULTURY”. Str. 276. Cena 800 frs (15 sh., dol. 2,00).
6. KULTURA MASOWA. Wybór szkiców socjologów amerykańskich w opracowaniu Czesława MIŁOSZA.
(Tom XLI „Biblioteki Kultury”. Cena 700 frs (14 sh., dol. 1,50).

Literatura sytuacji pogranicznych

Było to w Austrii, w roku 1947. Po piętnastoletniej wędrówce przez rozległe przestrzenie sowieckiej Eurazji, z myślami ciągle jeszcze dręczonymi wspomnieniem Wielkiego Wschodniego Kryzysu, natrafiłem któregoś dnia w gazecie na publikację, która odświeżyła moje zainteresowanie problemem „sytuacji pogranicznych”. Było to ogłoszone po raz pierwszy sprawozdanie z rozmowy, jaka odbyła się w roku 1932 w Monachium między pięcioma niemieckimi intelektualistami z Oswaldem Spenglerem na czele. W trakcie dyskusji określono ówczesną chwilę historyczną (w przededniu dojścia Hitlera do władzy) jako wiszącą nad Niemcami i Europą Zachodnią groźbę katastrofy. Powstało pytanie: co należy robić, jaka w tym wszystkim powinna być postawa świadomej i ufnej we własne siły jednostki? Ponieważ wszyscy zdawali się oczekiwać odpowiedzi od Spenglera, przedstawił on swój pogląd na tę sprawę: z punktu widzenia skuteczności — powiedział — może być już za późno na stawianie oporu, i to nie tylko fizycznego, ale także duchowego; w wyjątkowych, szczególnych okolicznościach daremność ofiary upoważnia jednostkę do tymczasowego zawieszenia obowiązku.

Tu jeden z uczestników przerwał Spenglerowi, twierdząc, że poczucie moralne nie zna takiej rzeczy jak daremna ofiara. Spengler puścił tę uwagę mimo uszu i ciągnął dalej swoje rozumowanie. Istnieją chwile — dowodził — gdy czynny przeciwnik może oddać większą usługę wrogowi niż zwolennik. W gwałtownym wirze wszystkie składniki wzmagają ruch wirujący, i nie sposób nawet odróżnić siły powstrzymującej od siły napędowej. Jest to chwila gdy — jak w wypadku pobitej armii — cały ciężar odpowiedzialności przesuwa się z grupy na jednostkę. W wyniku tego przesunięcia odpowiedzialność jednostki przekracza własne granice. Człowiek staje w obliczu ostatecznej decyzji. Mogą tu zajść rzeczy graniczące z cudem. Ostateczna decyzja jednostki może niespodzianie nabrać wartości i wpłynąć

poważnie na przyszłe losy całej ludzkości. Decyzje moralne w tym stadium mogą się przeobrazić w energię fizyczną.

Koniecznym jednak warunkiem wstępnym dla tego typu decyzji jest dokładna orientacja. Istnieją chwilę, gdy przybliżona nawet orientacja staje się całkowicie niemożliwa. Wszystko wówczas opiera się na wierze — na wierze, która jest rezultatem współgrania dwóch sił w jednostce: mocy moralnej oraz zdolności widzenia i pojmowania. Co tu jest ważne, to nie moralne i kulturalne korzenie jednostki jako czynniki odrębne, lecz wiara i intuicja zrodzone z wzajemnego oddziaływania tych dwóch integralnych części istoty ludzkiej.

Wtedy to pojawiają się w jednostce owe pierwotne siły, które tkwią u źródeł ciągłości i wiecznego odradzania się historii. Wtedy człowiek zdaje się nabierać zdolności przenikania swym wzrokiem ciemności współczesnego mu momentu dziejowego, chwytania *nowego*, które dotąd umykało jego uwadze.

Ta natchniona improwizacja uderzyła mnie przede wszystkim dlatego, że Spengler przezwyciężył w niej wyraźnie pesymistyczny fatalizm swojej wcześniejszej książki „*Untergang des Abendlandes*”, i że działo się to właśnie w chwili gdy jego własna grupa kulturalno-historyczna znalazła się na krawędzi upadku. Tak więc, on sam stanowił przykład swej teorii (choć nie przeżył fizycznie kryzysu). Jednakże teoria Spenglera, ograniczona doświadczeniami Europy Zachodniej, nie daje dostatecznego wyjaśnienia problemu w tej postaci, w jakiej pojawił się on w krajach Związku Sowieckiego, a ostatnio także w „demokracjach ludowych”.

W teorii Spenglera „nowe” i „stare”, „narodziny” i „śmierć” nie zachodzą na siebie. Nie wie on czym jest śmierć nowonarodzonego. Widocznie kryzys Zachodu (w porównaniu z kryzysem Wschodu) nie dotarł jeszcze do naprawdę pogranicznej sytuacji. Totalitaryzm Zachodu — jak dotąd, kulminacyjny punkt kryzysu zachodniego — był w istocie rzeczą tylko narodziłą podobną do raka i usuniętą nożem chirurgicznym drugiej wojny światowej. Ani sam proces chorobowy, ani zastosowany wobec niego zabieg operacyjny, nie był w zasadzie „narodzinami nowego”; stanowił raczej samoobronę „starego”.

Poza tym Spengler nie był obeznany z „sytuacją pograniczną” jako rozwijającym się ustawicznie kryzysem, stałym losem. Jego „chwila ostatecznej decyzji” jest dramatycznym zenitem, a nie dynamiczną krzywą kryzysu. I wreszcie, spenglerowski człowiek odpowiedzialny nie stoi jeszcze w obliczu podziału osobowości, gdyż walka toczy się na razie w świecie zewnętrznym a nie w duszy ludzkiej. Nie musi zaglądać oko w oko „kompromisowi z diabłem” jako żelaznemu nakazowi historii, jako woli Boga.

Do upadku Stalina sytuacja w krajach „demokracji ludowej” nie różniła się zbytnio, z wyjątkiem stopnia nasilenia, od obrazu jaki nakreślił Spengler. Nie narodziło się nic „nowego” — broniono tylko „starego” i broniono raczej z powodzeniem. Jednostka bowiem mogła ciągle ukrywać swą prawdziwą twarz

pod maską, trwać w strefie neutralnej i w ten sposób przechowywać w duszy cenne dziedzictwo „starego”. A przecież, kiedy się tę sytuację zestawia z totalitaryzmem zachodnio-europejskim, przypomina ona bardziej prawdziwy „kryzys pograniczny”. Wschodu. Gdyż na próg bliskości Zachodu więcej tu było w atmosferze składników niepewności, wyraźniej dochodziło do głosu przecucie zagłady.

W latach 1945-46 „Orzeł Biały” ogłosił wspomnienia Ryszarda Wraży z jego pobytu na Ukrainie sowieckiej pod koniec lat dwudziestych. Pisząc o sztuce Mykoły Kulisza „Prorok ludowy”, Wraża dodaje z westchnieniem, że Polska mogłaby się uważać za szczęśliwą gdyby jej zniewolona przez bolszewizm literatura wydała dramat o takiej sile jak sztuka Kulisza, utwór zdolny zadać okupantowi cios równie gwałtowny jak dzieło pisarza ukraińskiego. Nie podzielałem wówczas pesymizmu Wraży. Wydawało mi się, że nie doceniał on możliwości duchowych własnego narodu. Toteż gdy w roku 1953 ukazał się „Zniewolony umysł” Miłosza, uderzył mnie w nim szczególnie następujący *passus*: „Nie należy się dziwić jeżeli pisarz czy malarz wątpi w celowość oporu. Gdyby miał pewność, że dzieło dokonywane przez niego wbrew linii oficjalnie zalecanej ma wartość trwałą — zdecydowałby się zapewne i nie troszczyłby się o druk czy branie udziału w wystawach. Sądzi jednak że takie dzieło byłoby artystycznie słabe — w czym nie myli się zanadto”.

Zwróćmy uwagę — czynnikiem istotnym jest tu nie zewnętrzny opór, który byłby rzeczywiście bezcelowy, lecz niezdolność jednostki do pogodzenia się z własną jaźnią. „Pisarz — zdaniem Miłosza — nie wierzy w pisanie do szuflady”. Sądzi zatem że jego sztuka nabierze większego wigoru poddana oficjalnej sterylizacji. W świetle, jakie na ten problem rzucają doświadczenia pisarzy we wszystkich republikach sowieckich, podobne twierdzenie brzmi niemal paradoksalnie. Gdyż we wszystkich narodowych literaturach ZSSR prawdziwa sztuka i opozycja stały się prawie synonimami. Wyjątki od tej reguły są bez znaczenia. I ten niepisany kodeks obowiązuje w ZSSR od blisko czterdziestu lat.

Ale ledwie „Zniewolony umysł” obiegił w licznych przekładach świat, gdy oto w Polsce i na Węgrzech stały się rzeczy dowodzące, że pesymizm Czesława Miłosza był nieuzasadniony, że zarówno Polska jak Węgry przechowały zarodek „nowego”. Nie chodzi tu o żadne „zwycięstwo”. Przeciwnie — widzę w tym najgłębszą klęskę i źródło sytuacji pogranicznej z jej wszystkimi wschodnimi i dynamicznymi implikacjami. Kto spróbuje sobie wyobrazić stan emocjonalny i impas duchowy pisarzy węgierskich, którzy zostali opuszczeni przez Zachód i siedzą teraz w więzieniach lub zza krat wracają do egzystencji w niewoli duchowej, ten zrozumie co mam na myśli. A jednak — nawet słumione powstanie pokazało Węgrom, że nie wszystko jest stracone: nie ma co liczyć na pomoc z zewnątrz, lecz pozostaje możli-

wość wewnętrznego odrodzenia, odrodzenia, które może się odbyć tylko w duszy ludzkiej.

To jest punkt z którego bierze początek „sytuacja pograniczna” najściślejzego współistnienia narodzin i śmierci.

„Milcząca jest mgła gdzie śmierć i początek w jednym śpią całunie”. Napisał te słowa poeta ukraiński Teodozj Osmaczka i odzwierciedlają one dokładnie obecną sytuację na Ukrainie.

Okoliczności, historyczne wytworzyły i ugruntowały w ciągu dziesięcioleci na Wschodzie sytuację skrajnego kryzysu. Uczestnicy tego kryzysu przeżyli dwie katastrofy. W pierwszej (1919-21) młode i niepodległe republiki Ukrainy, Białorusi, Kaukazu i Azji zostały na powrót wcielone do zmodernizowanego imperium bolszewickiego. W drugiej (1931-1936) planowe zniszczenie zaatakowało nie tylko grupy narodowe i kulturalne, lecz duchowe jądro człowieka. Czterdzieści lat sytuacji pogranicznej! O takich rzeczach nie miał pojęcia Spengler. W tej nowej skali wymiarów życie ludzkie wydaje się krótsze. Człowiek nie może ani pokonać losu, ani przetrwać go. Bolesne kompromisy z diabłem (nawet za cenę częściowej kapitulacji duchowej jednostki) stają się nieuniknione. Wały ochronne ostatniej twierdzy oporu, twierdzy duszy indywidualnej, pękają. Bitwa przenosi się na terytorium wewnętrznej istoty człowieka. Odtąd prowadzi on wojnę nie tylko z wrogiem zewnętrznym, lecz także z częścią swojej własnej jaźni. Sytuacja pograniczna staje się podobna do „drabiny potępienia” prowadzącej w dół, w nieskończoność. Drabina jest taka sama dla wszystkich, ale każdy schodzi po niej w dół zupełnie sam i na własną rękę, jak skazani na zgubę Hiszpanie z „For Whom the Bell Tolls” Hemingway'a.

Jak gdyby przemawiając w imieniu wszystkich pisarzy Ukrainy sowieckiej, redaktor Kark (postać z noweli Mykoły Chwyłowego) oświadcza: „Zniszczymy nasze dusze w imię zwycięstwa, ale nikt się nie dowie jak dokonaliśmy naszego dzieła zniszczenia”.

Pragnę pokazać w moim szkicu jak czterech najwybitniejszych pisarzy porewolucyjnej Ukrainy „zniszczyli swoje dusze”, każdy na swój sposób, w imię zwycięstw nad złem. Są to: Pawło Tyczyna, Mykoła Chwyłowyj, Mykoła Kulisz i Teodozj Osmaczka. Ograniczyłem się do tych czterech przykładów, by dać przybliżone chociaż pojęcia o różnych odmianach „decyzji ostatecznej” w spenglerowskim tych słów znaczeniu.

Pawło Tyczyna czyli „Gra z Diabłem”

66-letni Pawło Tyczyna, niegdyś największy po Szweczenie poeta ukraiński a dziś jedynie prezydent Ukraińskiej Republiki Radzieckiej i zastępca przewodniczącego Rady Narodowości ZSSR, należy do elity największego imperium świata.

Niezależnie od swych kwalifikacji na męża stanu, poeta-laureatus Tyczyna włada doskonale wszystkimi językami euro-

pejskimi i dziesięcioma językami azjatyckimi, jest świetnym tłumaczem poezji i wielkim miłośnikiem muzyki. Niezwykle wrażliwy w życiu prywatnym, ma zwyczaj chodzić jakby na czubkach palców, mówić przyciszonym głosem i izolować się od hałasów niemal na wzór Prousta.

Sławę literacką zdobył pierwszym tomikiem wierszy „Słoneczne klarnety”. Poezja „Klarnetów” była tak uniwersalna w swej miłości, w swym świetle i muzyce, że każda jej strofa zdawała się dźwięczeć wszystkimi strunami wszechświata. Następne trzy tomy („Zamiast sonetów i oktaw”, „Pług” i „Wiatr z Ukrainy”) ustaliły pozycję Tyczyny jako mistrza poezji tragicznej i lirycznej. W tym samym czasie zaczął również ogłaszać fragmenty poematu „Skowroda”, który był wyraźnie pomyślany jako ukraiński odpowiednik „Fausta”. Wszystko to w latach 1918-1926. Los okazał się skąpy wobec poety i nie dał mu nawet pełnych dziesięciu lat na artystyczną realizację, ale Tyczyna pracował tak intensywnie, że następne trzy dziesięciolecia jego absolutnie świadomego samobójstwa poetyckiego nie zdołały zniszczyć gmachu twórczego wzniesionego w pierwszym dziesięcioleciu.

„Słoneczne klarnety” grały Wiośnie Ludów. Wkrótce potem Tyczyna był pierwszym, który ostrzegł że śmierć zakradła się już do kołyski nowonarodzonego:

*Otwórzcie naroścież drzwi — nadchodzi panna młoda
Otwórzcie naroścież drzwi — ku błękitnemu niebu,
Oczy, serce, chorały umilkły wyczekując.
I otworzyły się drzwi — ku umarłym nocy,
I otworzyły się drzwi — wszystkie drogi w krwi.
Poprzez ciemności — niewypłakane łzy, ulewny deszcz.*

Była to pierwsza „sytuacja pograniczna” Wschodu: rok 1919. Katastrofa nadeszła tak niespodzianie i szybko jak ciemność zapada w południe w czasie zaćmienia słońca. Wśród ogólnego terroru i zniszczenia Tyczyna występuje ze swoją potężną i jawnie tragiczną liryką skupioną wokół nieśmiertelnego obrazu Matki Bolesnej i jej ukrzyżowanego syna — ludu, istoty ludzkiej. Później odrzuca swoją złotostruną parnasistowską lutnię i ogłasza wstrząsający tom „Zamiast sonetów i oktaw” — klasyczny przykład poezji „sytuacji pogranicznej”.

W swoim poemacie „Dwunastu” znakomity poeta rosyjski Aleksander Blok nie waha się utożsamić dwunastu upitych krwią czerwonych gwardzistów z dwunastoma apostołami wiedzionymi przez samego Chrystusa. Jakby odpowiadając na to bezpośrednio, Tyczyna pisze: „O okrutny estetyzmie! Kiedy przestaniesz podziwiać poderżnięte gardło? Zwierzę pożera zwierzę”. A tym którzy usprawiedliwiają terror szczytnym celem Tyczyna odpowiada: „Wielka idea wymaga ofiary. Ale czyż to jest ofiara, gdy jedno zwierzę pożera drugie? Wszystko można wytłumaczyć wielką ideą, lecz nie pustkę duszy”. I dalej: „Graż Skria-

bina dozorców więziennym to jeszcze nie jest prawdziwa rewolucja. Zamiast sonetów i oktafów — przeklinam was wszystkich, przeklinam was wszystkich którzyście się przedzierzgnęli w bestie”.

Ale nikt nie zwracał uwagi na ostrzeżenia poety — ani w ojczyźnie, ani na Zachodzie. Tyczyna jasno przewidział zwycięstwo zła, choć wszyscy spodziewali się jeszcze zmiany na lepsze. Wiedział że moment „ostatecznej decyzji” nadszedł. Celowość otwartego oporu — nawet duchowego — była wątpliwa. Sam Bóg zdawał się narzucać kompromis z diabłem. Niezapomniana strofa i antystrofa jego „Zamiast sonetów i oktafów” łamie się nagle pełnym gorzkiej ironii pytaniem: „Czyż nie powinienem i ja iść i ucałować pantofel Papieża?” (Chodzi tu oczywiście o Papieża Trzeciego Rzymu, o Papieża imperium bolszewickiego).

„Wiater z Ukrainy” jest ostatnim tomem Tyczyny, w którym spotyka się jeszcze oznaki oporu, i pierwszym w którym godzi się on już na kompromis. Ale jeśli dla Tyczyny kompromis jest skrupulatnie przestrzegany prawem, dla współczesnego diabła jest on tylko pauzą, odskocznią do nowych nacisków. W latach 1931-1934 dwadzieścia pięć procent chłopów ukraińskich i siedemdziesiąt pięć procent intelektualistów ukraińskich ginie pod nieoczekiwanymi ciosami Kremla. Druga „sytuacja pograniczna” odsłania się w całej swojej brutalnej pełni i po raz wtóry pisarze stają w obliczu „ostatecznej decyzji”. Jakaż jest ta ostateczna decyzja? Większość pisarzy wybiera drogę zniszczenia, jak owo dziewięć z poematu Lesi Ukrainki, które dumnie oznajmia:

*Możecie mnie zabić jeśli chcecie,
ale nie smusicie mnie bym żyła.*

Tylko piętnaście procent pisarzy godzi się zostać „stalinowskimi piewcami”. Wśród nich, jako pierwszy, Pawło Tyczyna — najgłębszy, największy poeta Ukrainy!

Postawa Tyczyny posiada wszelkie cechy zewnętrzne całkowitego samowyrzeczenia. A jednak te oznaki mogą być tylko *zewnętrzne*. Literatura ukraińska знаła już wypadek, gdy geniusz poetycki — Taras Szewczenko — pisał swoje utwory do szuflady a głęboko na dnie serca przechowywał światło swego nieszczęsnego narodu. Na wyroku skazującym Szewczenkę na dziesięć lat zesłania Czar Mikołaj I dopisał własnoręcznie: „I niechaj zakazane mu będzie pisać i rysować”. Wypadek Tyczyny był inny i bardziej skomplikowany. Nie *zakazano* mu, lecz *kazano* pisać. Aby dusza poety nie stała się schronieniem dla potajmnego światła duchowego, okupant nadział ją żuźlem. Dopiero wtedy Tyczyna wkroczył w fazę naprawdę „pogranicznej sytuacji”, która trwa od dwudziestu pięciu lat.

Czy jego życie okaże się dłuższe od tego kryzysu? A jeśli nie, jaki przekaże potomności znak lub dowód że jego duchowe

samozniszczenie nie było daremne? Jeśli nie ma nadziei pisać do szuflady dla przyszłych pokoleń (jak Szewczenko), musi się znajdować w stanie ducha, którego nie potrafi odtworzyć żadne pióro.

Mykoła Chwyłowyj
czyli „Śmierć przewyciężona śmiercią”

Ta kontrowersyjna postać zasłużyła sobie pośmiertnie na dwa epitety: Stalin nazwał Chwyłowego „literackim bandytą”, część ukraińskiej prasy emigracyjnej „komunistycznym matkobójcą”.

W rzeczywistości Chwyłowyj był wzorem skromności, oddanym synem i wiernym aż do przesady przyjacielem. Z drugiej strony męska szczerość jego utworów łączyła liryzm z okrutną satyrą i ironią. W czasach gdy Stalin nie był jeszcze kreowany na „boga” i nikt nie podejrzewał nowego kryzysu, Chwyłowyj proklamował hasło „Niech żyje niepokój!” i całą ogromną siłę swego talentu rzucił do walki przeciw wszechogarniającemu wirowi. Nie była to jedynie krytyczna negacja, był to także program i akt wielkiego „początku”. Chwyłowyj był pewny dwóch rzeczy: zwycięstwa młodego odrodzenia zniewolonych narodów Wschodu i własnego przedwczesnego unicestwienia. Z tych dwóch czynników wywodzą się dwa sprzeczne uczucia, które przewijają się równoległe do siebie w jego twórczości: radość odrodzenia i bolesne przecucie zguby.

Los dał mu tylko sześć lat (1921-1926) na pracę pisarską i sformułowanie wyznania wiary. Następne siedem lat były okresem walki — prowadzonej najpierw uporczywym milczeniem, zakończonej strzałem w skroń. Ogarnięty szaleńcem twórczym, Chwyłowyj zdołał w ciągu tych sześciu lat ogłosić dziewięć książek, stworzyć własną szkołę literacką i własny styl (reszta jego dorobku — w tym dwie powieści — uległa zniszczeniu wraz z autorem). Jego styl — tzw. „romantyzm witalizmu” lub „czynny romantyzm” — był przeciwieństwem „sorealizmu” stalinistów. W utworach satyrycznych udało mu się pokazać próżnię etyczną komunizmu. Oderwał od partii około trzydziestu najwybitniejszych talentów na Ukrainie i stworzył najsilniejszą i najbardziej radykalnie opozycyjną grupę literacką „VAPLITE”. Rzucił żywe ziarno w dusze młodzieży, ujmując swój program w czterech słowach: „Wiedzieć jak myśleć i czuć”. Zwalczał pretensje Moskwy do hegemonii kulturalnej, nadał rozgłos swemu zawołaniu bojowemu „Z dala od Moskwy!”, głosił związek z „faustowską” Europą prorokując nadejście „azjatyckiego renesansu” jako Wiosny Ludów na Wschodzie. Partia rzuciła cały swój aparat do walki przeciw „chwyłowizmowi”, ale „chwyłowizm” przenikał do innych republik ZSSR. Wtedy Stalin zdecydował się na interwencję osobistą i Chwyłowyj został potę-

piony. Werdykt osiągnął go w Wiedniu, dokąd w styczniu 1927 pojechał na leczenie. Pisarz stanął wobec swojej „ostatecznej decyzji”. Mógł zostać na emigracji, ale oznaczałoby to dezercję z szeregów, które sam sformował i poprowadził do walki. Z Wiednia napisał więc do prasy sowieckiej „akt skrucy”, zdając się na „łaskę partii komunistycznej”. Od tej chwili umarł jako pisarz.

Ale nie skończyło się na tym. Jeśli wrócił z Zachodu, to nie po to by kąpać się w promieniach słonecznych „łaski komunistycznej”. KC partii polecił mu napisać nową książkę w duchu „sorealizmu”. Chwyłowyj nie spełnił nigdy tego polecenia. Tymczasem wybuchł nowy kataklizm i na Ukrainę obsunęła się lawina. W chwili gdy zaczęły się masowe aresztowania wśród intelektualistów ukraińskich, Chwyłowyj (który wrócił właśnie z objazdu wsi ukraińskich niszczonej sztucznie wywołanym głodem) zaprosił do siebie kolegów po piórze pod pretekstem czytania swojej nowej książki. Działo się to 13 maja 1933 roku. Jak zawsze wesół i błyskotliwy, przeprosił na chwilę zebranych, poszedł do sąsiedniego pokoju po rękopis książki, którą miał czytać, i tam się zastrzelił. Na stole leżały listy do przyjaciół i do KC partii. List do KC partii, napisany „własną krwią” Chwyłowego, był doprawdy rozdzierający. Myśląc młodzież przyjęła go jako bohaterską deklarację niepodległości. Odtąd, w ciągu ćwierćwiecza, Kreml ściga ciągle na Ukrainie cień Chwyłowego, co raz to podnosząc krzyk przeciw „zarazkom chwyłowizmu”.

Tyczyna, który nie należał do partii, doszedł do komunizmu. Chwyłowyj, który był członkiem partii od roku 1919, odszedł od komunizmu. Całe niebezpieczeństwo „chwyłowizmu” polega na tym, że jego twórca był komunistą, a jednak znalazł w sobie dość siły i odwagi, by oderwać się od własnych korzeni ideowych.

W opowiadaniu „Moja Istota” Chwyłowyj dał klasyczny obraz rozzczepienia duszy indywidualnej, w której ścierają się siły samounicestwienia. „Jestem czekistą, ale jestem także człowiekiem” — powiada „Istota”, przewodniczący trybunału czekistowskiego z 1919 roku. Wszystkie pozostałe osoby występujące w noweli uzupełniają jedynie dwie połowy duszy bohatera. Linie czekistowską reprezentują członkowie trybunału: doktor Tahabat, którego wygląd zewnętrzny i okrutny racjonalizm przypominają Lenina, oraz wartownik, który nosi przezwisko „Zwyrodnialca” i personifikuje skrajny punkt linii czekistowskiej. Na linii ludzkiej stoi Andrij, młody student zbuntowany przeciw przymusowemu włączeniu go do trybunału Czeki (który nazywa „maszyną do mielenia mięsa”). Linia ludzka wznosi się na szczyty w postaci matki bohatera, która w oczach swego czekistowskiego syna urasta do rozmiarów „cudownej Marii stojącej na krawędzi nieznanych wieków”. Tragedia rozwija się szybko i nieuchronnie — „Istota” zmaga się ze sobą między dwoma biegunami magnetycznymi. Po jednej stronie — etyka odległego celu,

Utopia „nieosiągalnego komunizmu za dalekimi górami, raj stworzony przez człowieka. Po drugiej — kochana i kochająca matka, za którą trwa wieczna Maria, symbol boskich źródeł świata. Nietzscheańska „miłość najdalszego” przeciwstawiona Chrystusowej „miłości bliźniego” — dwa uczucia, które są nie do pogodzenia a przecież żyją obok siebie w jednej duszy ludzkiej. Jakie jest rozwiązanie? Trybunał Czeki pod przewodnictwem „Istoty” skazuje na rozstrzelanie grupę zakonnic. Matka „Istoty” znajduje się również w tej grupie. Pod naciskiem logiki Tahabata „Istota” własnoręcznie zabija matkę, przyciskając ją w ataku hysterii do serca. W księżycową noc bohater noweli wycofuje się na północ pod naporem oddziałów nieprzyjacielskich; tragiczna łuna nad jego wsią rodzinną zamienia się w jego szklanych oczach w magiczny płomień „nieosiągalnego komunizmu”.

Jest to zniszczenie samego życia, jego najistotniejszych i najgłębszych korzeni. Chwyłowyj rozłupał w tej noweli orzech komunizmu i pokazał, że jest on pusty, że brak mu zawartości etycznej. Jednocześnie wysunął na pierwszy plan postać matki, tego „Ewig Weibliches”, którym także Goethe kończył poszukiwania Fausta. Wprowadzony przez Tyczynę i Chwyłowego, obraz matki zapoczątkował istną epidemię w literaturze ukraińskiej lat dwudziestych. Niemal każdy pisarz ukraiński tego okresu napisał choć jeden utwór, w którym postać matki była centralna.

Mykoła Kulisz

czyli „Droga na Golgotę jako decyzja ostateczna”

Mykoła Kulisz (urodzony w 1892 — ostatnia wiadomość z 15 czerwca 1937 z łagrów na Solówkach) był serdecznym przyjacielem Chwyłowego. Oba pisarzy łączyło wiele podobieństw: odznaczali się obaj wrodzoną skromnością osobistą oraz rycerskością i przyzwitością w postępowaniu; także Kulisz był członkiem partii od roku 1919; jako artyści lubowali się jednakowo w stylu patetycznym, tyle tylko, że patos Chwyłowego był zaprawiony ironią i sarkazmem lub płonął czystym ogniem tragedii a Kulisz swój romantyczny patos przeplatał akcentami humoru i tragicznej komedii. Z tej subtelnej odmienności dwóch talentów wywodziła się różnica ich „decyzji ostatecznych”. Nawet zewnętrznie zrównoważony Kulisz różnił się od swego przyjaciela, obdarzonego wyjątkowym temperamentem. W przeciwieństwie do Chwyłowego, Kulisz niechętnie i z oporami dawał się wciągać do dyskusji politycznych, ale jego komedie i tragiczne komedie posiadały ogromny ładunek polityczny. Zadebiutował sztuką „97”, gdzie na tle masowego głodu i bestialstwa 1921 roku istota ludzka utrzymuje się na niezwykle wysokim poziomie duchowym i etycznym w momencie gdy dogasa w niej ostatni płomyk

życia. W tragikomedii „Prorok ludowy”, która intrygą i wnikliwością pozostawia o dwadzieścia lat w tyle „Wariatkę z Chaillot” Giraudoux, odmalował schizofrenię wyhodowaną przez rewolucyjne reformy społeczne. Podobnie jak Chwyłowij, komunista Kulisz wskazał na bankructwo komunizmu w ogóle a komunizmu ukraińskiego w szczególności.

Filozof hiszpański Ortega y Gasset powiada, że w okresie kryzysu nie wiadomo czym jest naprawdę istota ludzka i jaka jest jej prawdziwa ideologia. Co wydaje się proste dla wszystkich, staje się po bliższym wejrzeniu zawiłym problemem i na odwrót. W tym chaosie sztuka stanowi pierwsze ogniwo łączące istotę ludzką z jej własną jaźnią i z rzeczywistością. „Moja Istota” Chwyłowego i „Prorok ludowy” Kulisza były pierwszą potężną konfrontacją sowieckiego człowieka z rzeczywistością i z samym sobą — erupcją która przyszła od wewnątrz, rozrywając skamieniałą skorupę komunistycznego dogmatu i systemu. Nic więc dziwnego, że doprowadziły do duchowego odpływu komunizmu na Ukrainie.

Partia była bezlitosna w swoich atakach na Kulisza. Wszystkim premierom jego sztuk towarzyszyły skandale i pogromy. Krytykowano go szczególnie za poruszanie drażliwego zagadnienia narodowości w ZSSR. To właśnie zagadnienie przewijało się główną nitią w jego „Sonacie patetycznej”, bezpośredniej odpowiedzi na „Dni Turbiny” Bułhakowa. „Sonatę patetyczną” reżyserował w Moskwie Tairow: premiera zamieniła się w oszałamiający sukces, ale wkrótce potem sztukę zdjęto z afisza. Na Ukrainie nie wystawiono jej w ogóle.

„Tylko ten kto wchodzi na szafot i przemawia patrząc śmierci w oczy zwycięży poprzez swoje idee”. Te słowa wypowiedziała Marina, bohaterka „Sonaty patetycznej”. 19 grudnia 1931 roku padły one ze sceny teatru moskiewskiego, a w trzy lata później Kulisz musiał w więzieniu MWD nadać własnymi czynami konkretny sens dumnej „decyzji ostatecznej” swej bohaterki. Jak to zrobił? Kiedy po samobójstwie Chwyłowego w roku 1933, w atmosferze powszechnego terroru i rozpacz, żona Kulisza ukryła jego rewolwery, autor „Proroka ludowego” zapewnił ją: „Nie martw się, nie pójdę w ślady Chwyłowego. Znajdę w sobie dość siły i dotrzmam do końca”. Aresztowano go wreszcie i osadzono w łagrach na Solówkach. Wieści o jego pobycie na Solówkach urywają się w roku 1937. Od tej chwili zaginął po nim wszelki śluch. Przez dwadzieścia lat nie wolno było nawet wymieniać nazwiska Kulisza. Ostatnio „Literaturnaja Gazeta” ogłosiła następujące zawiadomienie: „Powołano do życia specjalny komitet, który ma sporządzić inwentarz puścizny literackiej po Mykole Kuliszu”. W żargonie Kremla oznacza to, że pisarz, którego moskiewscy krytycy teatralni nazywali kiedyś „największym dramaturgiem ZSSR”, został fizycznie zniszczony przez swych oprawców.

Teodozj Osmaczka

czyli „Słabość jako ostatnia ucieczka”

Teodozj Osmaczka jest jedynym z całej wybranej przeze mnie czwórki pisarzem, który wytrzymał próbę i fizycznie i jako poeta.

Ten naprawdę niezwykły poeta był jednym z pierwszych kandydatów „pod stienku”, a jednak nie zgodził się na najmniejszy nawet kompromis. Z uporem chłopca pozostał wierny swoim przekonaniom jako piewca indywidualizmu i poszukiwania prawdy. W czasie powszechnego „samokrytycyzmu” pisarzy, wymuszanego pistoletami przytkniętymi do skroni, nie wykrztusił ani słowa. Gdy go aresztowano, symulował chorobę umysłową. Torturowany przez sędziów śledczych i przez wariatów w szpitalu psychiatrycznym MWD, Osmaczka dotykał w ciągu wielu lat dna piekła i dopiero w okresie niemieckiej okupacji Kijowa, jesienią 1941 roku, wrócił między ludzi. Był wolny, ale zamiast w słońcu wolności znalazł się w mrokach najpotworniejszej z wojen. Uciekł na Zachód, realizując swój długo pielęgnowany sen o poniesieniu w świat prawdy że „sytuacja pograniczna” człowieka nie zna granic.

Będąc jednym z wybitniejszych poetów już w kraju, zajął na obczyźnie czołowe miejsce we współczesnej literaturze ukraińskiej trzema tomami wierszy i trzema powieściami. Ale w poezji i prozie Osmaczki jest coś niezgłębionego, jak niezgłębione są te piekielne sytuacje istoty ludzkiej, które opisuje i które na zawsze stały się przekleństwem jego duszy. Istnieją rzeczy, których nie można udawać bezkarnie. Uzbrowiony w olśniewającą szczerość, płomienne serce i gigantyczne metafory, wgrzyzł się głęboko w żywe ciało demona i w swej rozpacz wygraża często całemu wszechświatu a nawet Bogu. Jest mieszaniną straszliwej niewiary i nienawiści oraz tęsknoty do utraconej miłości. Są w nim przebliski geniuszu, ale w nieprzeniknionych ciemnościach nocy. W każdym razie mamy tu do czynienia z prawdziwie niszczącą siłą.

I była to właśnie ta siła, która w sytuacji pogranicznej lat trzydziestych szukała ucieczki w „słabości”. W powieści autobiograficznej Osmaczki „Rotunda morderców” bohater, pisarz Iwan Brus, rozmyśla nocą przed aresztowaniem: „Walczyć przeciw niebezpieczeństwu to tak, jak spać z samolotu na powierzchni otchłani morskiej i walczyć przeciw falam... Istnieje inna potęga, która może stawić czoło siłom niszczącym życie... Jest nią słabość... Nikt i nigdy nie toczył wojny przeciw słabości... Lecz za to na odsiecz słabości cywilizacja chrześcijańska wysyłała od piętnastu stuleci krzyżowców... Jaką jednak trzeba posiadać słabość? Oczywiście taką, która powtarza się z pokolenia na pokolenie: chorobę umysłową. I Iwan Brus postanowił symulować schizofrenię... Będzie wtedy nawet można dogadać się z pewnymi ludźmi i czuć się jak żołnierz w okopach

walczący przeciw historycznej niesprawiedliwości, chociaż nie raz pesymizm zrodzony z realnego życia spróbuje nakłonić serce do porzucenia oporu... I Iwan Brus potarł nerwowo czoło obie-
ma rękami... To będzie jego droga ocalenia i walki...".

Iwan Brus wychylił do ostatniej kropli gorzki kielich swej „decyzji ostatecznej”. Gdy zawiodły wszystkie środki zmierzające do wykrycia symulacji, inkwizytorzy przenoszą pisarza ze szpitala więziennego do domu wariatów za murami.

Czterech pisarzy, cztery typy „decyzji ostatecznych”. Ty-
czyzna wybrał grę z diabłem — poeta stał się komisarzem. Chwy-
lowy nadał konkretny sens swej postawie bezkompromisowej
i fizycznym zniszczeniem przezwyciężył śmierć duchową. Kulisz
wygłosił swe credo spoglądając śmierci w oczy i z pokorą po-
niósł swój krzyż na Golgotę. Osmaczka ukrył swą bezmierną
siłę pod maską słabości. Ale za tą czwórką stoją setki innych
pisarzy i tysiące innych intelektualistów.

20 grudnia 1954 roku Stowarzyszenie Pisarzy Ukraińskich
„Słowo” wysłało następującą depeszę z Nowego Yorku:
„Moskwa, ZSSR. Drugi zjazd pisarzy sowieckich. Pisarze
ukraińscy na obczyźnie pozdrawiają zjazd i wyrażają głęboką
solidarność z pisarzami wszystkich zniewolonych narodów ZSSR.
W roku 1930 ogłoszono drukiem utwory 259 pisarzy ukraiń-
skich. Po roku 1938 z tych 259 pisarzy pozostało 36. Przepro-
wadzicie dochodzenia w organach policji w jakich okoliczno-
ściach i dlaczego 223 pisarzy znikło z literatury ukraińskiej”.

Ponieważ nie nadeszła na tę depeszę żadna odpowiedź,
„Słowo” opublikowało w prasie poniższy komunikat: „Straty
literatury ukraińskiej można odcyfrować jak następuje: roz-
strzelano 17 pisarzy; popełniło samobójstwo 8 pisarzy; depor-
towano lub usunięto z literatury innymi środkami policyjnymi
175 pisarzy; znikło bez śladu 16 pisarzy; umarło śmiercią na-
turalną 7 pisarzy”.

Ta garść cyfr statystycznych, którym nie jest przypuszczal-
nie ani pełna ani ostateczna, gdyż odnosi się tylko do bardziej
znanych pisarzy ukraińskich, może zakończyć naszą wyprawę
w głąb zagadnienia postawy duchowej człowieka w sytuacji po-
granicznej, gdy społeczeństwo rozpada się pod uderzeniami sił
zniszczenia, gdy przestaje istnieć nawet czynnik moralny opinii
światowej, gdy istota ludzka może polegać tylko na własnych
indywidualnych rezerwach, na własnej „decyzji ostatecznej”.

Czy „człowiek duchowy” przetrwa zwycięsko próby nieludz-
kich sytuacji? W zacisznym pokoju przy biurku łatwo odpo-
wiedzieć optymistycznie „tak”, a jeszcze łatwiej rzucić scep-
tyczne „nie”. Trudniej zgłębić niezbadaną rzeczywistość. Jeśli
o mnie chodzi, nie wątpię w jedno: „duchowy człowiek Wscho-
du nie tylko trwa nadal w sytuacjach pogranicznych, lecz odra-
dza się w uścisku śmierci. Jak mieliśmy się okazać przekonać,
umiał wyrazić swą wiarę w odrodzenie. W imię tego odrodzenia

umiał także zniszczyć swą duszę” — zupełnie sam, wśród naj-
ciemniejszej nocy sowieckiej Eurazji, tam „gdzie śmierć i po-
czątek w jednym śpią całunie”.

Jurij ŁAWRYNENKO

Przełożył Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Komentarz tłumacza

Czytelnik szkicu Ławrynenki zauważy z pewnością, że jest
on w jakimś stopniu polemiką z książką Miłosza „Zniewolony
umysł”. Nie tylko Ławrynenko określa niektóre twierdzenia
Miłosza wprost jako „niemal paradoksalne”, przeciwstawia im
doświadczenie „narodowych literatur ZSSR” i powołuje się
na wypadki polskie oraz węgierskie dla zakwestionowania ich
„pesymizmu”, ale na wzór portretów Alfya, Bety, Gammy i Del-
ty w „Zniewolonym umyśle” szkicuje coś w rodzaju czterech
kontr-profilów wolnego mimo wszystko umysłu pisarzy ukraiń-
skich w „sytuacji pogranicznej”. Nie od rzeczy więc może będzie
przy tej sposobności spojrzeć dziś na nowo na książkę Miłosza.

Piszący te słowa od początku dostrzegał w „Zniewolonym
umyśle” pewną sprzeczność wewnętrzną. Ketman (najtrafniej-
sza i najprzenikliwsza część książki) zakłada u praktykujących
go dwie rzeczy: że w głębi ducha pozostali wierni swej praw-
dziwej wierze, a Nową Wiarę przyjęli tylko na użytek zew-
nętrzny, na pokaz, jako bilet wstępu na ambony panującej teo-
logii („nie trzeba było wierzyć w Diament — powiedział mi nie-
dawno pewien uczony z kraju, — trzeba było umieć się nim
posługiwać”); że zmuszeni do maskowania się i aktorstwa, za-
chowali większe może nawet poczucie swego wolnego w ukryciu
umysłu, niż ci którzy mogą mówić otwarcie to co myślą. Ogra-
niczony do opisu funkcjonowania Ketmanu, „Zniewolony umysł”
powinienby się być raczej nazywać „Zniewolone słowo” i pod
takim tytułem odpowiadałby dość ściśle rzeczywistości.

Miałem tego zmienną i zabawną zarazem przykład jeszcze
w roku 1948. Przyjechał wówczas do Londynu z Warszawy gło-
sny literat, jeden z wybitniejszych kapłanów Nowej Wiary. Am-
basada urządziła mu odczyt publiczny w jakiejś salce na Hol-
born. Poszedłem na ten odczyt i usiadłem blisko estrady. Feto-
wany gość (który był moim dawnym znajomym i nie zdradzał

przed wojną szczególnych ciągów do Nowej Wiary) zobaczył mnie i przysiadł się do mnie w momencie, gdy za pulpitem prelegentem urzędnik ambasady przedstawiał go publiczności, czytając z kartki nieprawdopodobnie nudny i zawity dyskurs dialektyczny o Metodzie. Mam niezłą pamięć, nachyliłem się więc do mojego sąsiada i szepnąłem mu na ucho: „Czyta fragment pana artykułu z „Kuznicy”. Zachnął się i syknął: „Nie uważa mnie pan chyba aż za takiego osła”. Ledwie to powiedział, z estrady rozległa się pointa: „Przeczytałem państwu urywek z artykułu naszego znakomitego gościa i prelegenta etc. etc.”. Znakomity gość i prelegent, zaproszony na mównicę, wstał z miejsca i rzucił mi na pożegnanie trochę zakłopotany a trochę melancholijny uśmieszek. Jego umysł był więc tak dalece wolny w ukryciu, że jako pisarz nie rozpoznawał swoich własnych zniewolonych słów sprzed paru miesięcy. Widocznie za „chronienie się w wewnętrzne sanktuarium” płacił cenę zbyt wygórowaną, skoro ocierał się o największe niebezpieczeństwo, jakie grozi uprawiającym Ketman — niebezpieczeństwo utraty pełnej kontroli nad obrzędami, które celebrują w publicznym sanktuarium. I mniejsza w tej chwili o to czy takie kontrolowane rozdwojenie jaźni jest w ogóle możliwe na dłuższą metę; wystarczyłby zaś powiedzieć, że od trzech lat jego proces został przerwany lub co najmniej wstrzymany i złagodzony.

Ale przy takim założeniu Ketmanu trudno zrozumieć na czym polega drugi filar „Zniewolonego umysłu”: Murti-Bing. Jeśli przez zażycie odpowiedniej porcji pastylek Nowej Wiary osiąga się wewnętrzną harmonię, jeśli znikają wątpliwości, „ślusność jest po stronie najdoskonalszej bo jedynej Metody”, a Dialektyka i Doktryna ukazują całą swą nieodpartą siłę, to skąd potrzeba uprawiania Ketmanu? Słyszymy na to w odpowiedzi że „człowiek który przechodzi operację Murti-Binga zyskuje harmonię w stopniu względnym, wystarczającym do działania” i że „załaga się w nim apatia trwająca równocześnie z gorączkową działalnością”. Wolno zatem przypuszczać, że z kolei leczy się z tej apatii Ketmanem. Wartość pigułek fideistycznych, które wywołują natychmiastowe rozwolnienie umysłowe, wydaje się jednak co najmniej wątpliwa.

Nie jest to spór o drobiazgi, lecz o bardzo istotną sprawę. Gdyby Miłosz, opisując pierwszy etap „zdobycia władzy”, dał spokój problematycznej choć na pewno efektywnej koncepcji Nowej Wiary, a zamiast tego poprzestał na zanalizowaniu spłotu konkretnych okoliczności (historycznych, politycznych, psychologicznych i osobistych), które doprowadziły intelektualistów polskich do ukorzenia się przed wyrokami Historii i przyjęcia nowej rzeczywistości, otrzymalibyśmy obraz bardziej przekonujący i zbliżony do prawdy. Byłby to obraz podobny do spenglerowskiej sytuacji, w której stawianie oporu staje się bezcelowe a „daremną ofiarą upoważnia jednostkę do tymczasowego zawieszenia obowiązku”. Ketman (w swoich licznych odmianach: u komunistów „Ketman czystości rewolucyjnej”,

u niekomunistów „Ketman narodowy” lub „Ketman pracy zawodowej”) przedstawiłby się nam wówczas jako logiczne i nieuniknione następstwo tej sytuacji.

Tak stawiając zagadnienie, można łatwiej wyjaśnić to co się stało w roku 1956. Przy użyciu „Zniewolonego umysłu” jako klucza do buntu intelektualistów polskich trzeba by ich uznać za ludzi, którym dopiero raport Chruszczewa odsłonił prawdziwą podszewkę Nowej Wiary. Wiemy że tak nie było. Większość z nich znała już od dawna, w najogólniejszych przynajmniej zarysach, wszystko co ujawnił Chruszczew (a czasem nawet więcej — jedni z czytania, inni z opowiadań, jeszcze inni z własnego doświadczenia. Pewien literacki arcykapłan Nowej Wiary miał zwyczaj w okresie „kultu jednostki” nie dotykać na zjazdach międzynarodowych „trefnej” literatury, a wieczorami (jak mnie zapewniali jego towarzysze) zamykał się w pokoju hotelowym i rozczytywał się w niej pod koldrą; onże po roku 1956 napisał powieść, której bohater doznaje gwałtownego wstrząsu zapoznawszy się z „rewelacjami” XX Zjazdu; kto ma ochotę, niech to bierze na serio. Kruche nogi miałyby również wytłumaczenie, że wiedząc, trzymali się zasady „gdzie drzewo rąbią, tam drwa lecą”, bo jej *teoretyczna* (z punktu widzenia Nowej Wiary) słusność nie została przecież wcale przez XX Zjazd podważona i ograniczyła się wyłącznie do potępienia zbyt jaskrawych „wypaczeń i nadużyć”; jeśli w istocie trzymali się szczerze tej zasady do XX Zjazdu, nie mieli powodu egzorcyzmować ją z takim obrzydzeniem po XX Zjeździe.

Błąd Miłosza pochodził, jak sądzę, z przesadnego przejęcia się powieściową wizją „Ciemności w południe”, która dramat władzy i siły przenosiła w kategorię pojedynku dialektycznego między Nową Wiarą uzbrojoną w żelazne prawa Metody a tym co staliści określają jako „residua obumierającej mentalności”. Nie przeczę, że takie wypadki bywały w Rosji — sam o dwóch z nich napomknąłem w „Innym świecie”; ale w jednym chodziło o starego i przejmującego w swym tragizmie bigota komunistycznego, który po trzydziestu latach religianctwa partyjnego nie miał już drogi odwrotu, a w drugim o młodego chłopca, który poruszał się po omacku w zupełnych ciemnościach.

Na ogół jednak, jak dowiodły wydarzenia, przeciwstawienie „Popiół i Diament” nie było w Polsce przeciwstawieniem „Popiół i Diament”. Było rezultatem powtórnej w ciągu jednej wojny klęski narodowej z jej wszystkimi pochodnymi.

Co się zatem stało wśród pisarzy polskich w roku 1956? Najsamprzód należy powiedzieć co się nie stało. Nie upadła Nowa Wiara z tej prostej przyczyny, że w takiej postaci jaką opisuje „Zniewolony umysł” prawie całkowicie nie istniała. Skończyły się natomiast, lub co najmniej zostały zredukowane do niezbędnego minimum, różne formy aktorstwa i Ketmanu. Dla jednych, którzy z tych czy innych względów uprawiali to aktorstwo *con amore* a nawet z nadzieją, że okaże się dożywociem, skończyło się dlatego, że publiczność z widowni, ośmielona rewela-

cjami Głównego Reżysera, wdarła się z groźnymi okrzykami za kulisy. Dla innych, którzy uprawiali je wyłącznie z konieczności, skończyło się dlatego, że przestało być w dużej mierze potrzebne. Nie była to zbiorowa choroba morska zniewolonych umysłów, lecz raczej zbiorowe zdzieranie masek i kostiumów z mniej czy więcej wolnych w ukryciu umysłów. Żeby nawiązać do diagnozy Spenglera: opór stał się możliwy i równocześnie celowy, nie działało już tak jak dotąd poczucie daremności ewentualnej ofiary, i obowiązek wrócił na dawne miejsce. Po śmierci Stalina sytuacja została odblokowana i choć nikt nie potrafi przewidzieć jak się dalej potoczą wypadki, sam fakt, że się toczą inaczej niż dotychczas, pozwala podnieść głowę „wrogowi ładu, człowiekowi” i zachęca go do większej odwagi.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Jurij A. LAWRYNENKO urodził się w roku 1905 na Kijowszczyźnie jako syn rolnika. W roku 1926 ukończył w Humanium instytut sadowniczy, ale nie czując powołania do rolnictwa zapisał się na wydział historyczno-filologiczny Uniwersytetu w Charkowie. Po dwóch latach studiów uzyskał tytuł kandydata nauk u prof. Aleksandra Bileckiego i wydał kolejno trzy rozprawy: „Bakitnyj Elanu”, „Wasyl Czumak” i „Twórczość Pawła Tyczyń”.

W roku 1929, za artykuł zdradzający „orientację zachodnią”, usunięto go z uniwersytetu, zwolniono z aplikantury i po ukończeniu śledztwa pozbawiono prawa kontynuowania pracy naukowej i uniwersyteckiej. Jego publikacje potępiono w prasie jako „przemyt narodowo-demokratyczny”. Przepracował jeszcze rok w dzienniku „Wisty EUCWK”, ale odmówił udziału w akcji skierowanej przeciw teatrowi „Betezyl”, i jego kierownikowi Kurbasowi, musiał ustąpić ze swego stanowiska. Dwa miesiące bezrobocia i czekania na wizytę policji. Decyduje się sam wyjechać do Alma-Aty i zostaje aresztowany na dworcu. Otrzymuje do podpisania deklarację przynależności do ukraińskiej organizacji terrorystycznej. Odmawia. Chwilowo zwolniony, pracuje jako ogrodnik w charkowskim kolchozie. Zostaje ponownie aresztowany w r. 1935. Szesnaście miesięcy śledztwa. Nie podpisuje ani jednego protokołu. Zesłany na wyspę Tajmyr. Trzy i pół roku łagrów. W kwietniu 1937 r. na zarządzenie Moskwy wyznaczają spośród 10 tysięcy zesłańców tysiąc na rozstrzelanie. Ominuset rozstrzelują, dwustu wśród nich Ławrynenkę, zsyłają na północny Kaukaz. W 1942 ucieka i przedostaje się do Kijowa, a stamtąd do Galicji. Wywieziony jako Ostarbeiter na roboty do Austrii. Uwolniony przez wojska francuskie w r. 1945. Wraca do pracy pisarskiej, redaguje „Ukraiński Wisty”, wydaje szereg książek. W obawie przed przymusową repatriacją używa pseudonimu Jurij Dywnycz. W r. 1950 wyjeżdża do Ameryki. Wydaje tam książkę „Ukrainian Communism and Russian Policy toward the Ukraine”, oraz współredaguje pismo „Ukrajinska Literatura Hazeta”. Jest jednym z organizatorów i kierowników „Zjednoczenia pisarzy ukraińskich Słowo” w Nowym Jorku.

O pisarzach i redaktorach

Niedawno na łamach londyńskich „Wiadomości” wyładowałem nieznaczną część moich żalów pod adresem ich redaktora, Dra M. Grydzewskiego. Dzisiaj chciałbym tę polemiczną serię kontynuować, rzucając dość beładnie różne zastrzeżenia, uwagi, rady, które mi przychodzą na myśl, gdy kartkuję prasę i wydawnictwa bądź to w kraju, bądź na emigracji. Będzie to więc najtypowszy, jak mówią Anglicy, „shop talk”. W skromnych dawkach i on jest potrzebny, a nawet konieczny. Ale oczywiście, ci, których problemy pisania i drukowania i wydawania i zarabiania na polu piśmiennictwa i literatury nie interesują, powinni tych stron nawet nie rozcinać. Hop — i do filozofów, do marksistów i anty-marksistów, do rozważań o „Zamku” i „TRJN”, o „prezisie” takim czy innym itp.



W mojej węższej i właściwej specjalności, to znaczy w polityce gospodarczej słyszę i słyszałem zawsze teorie o „rozkwicie” Polski, o zbawienności posunięć jej kolejnych rządów. Przed wojną bieda aż piszczala, ale na łamach prasy, przekupionej przez Kwiatkowskiego, czytało się ciągle bajki o „COP’ie”, o przeobrażeniach, które tych kilka fabryczek wywoła w Polsce, itd. COP był marnotrawstwem: te same pieniądze, zużyte na budowę dróg, regulację rzek, elektryfikację kolei, a nade wszystko kanalizację i modernizację naszych miast i miasteczek, znacznie bardziej przyczyniłyby się do podniesienia stopy życiowej i uprzemysłowienia Polski. Po wojnie, ileż to razy słyszałem: „Ustrój komunistyczny jest zły, ale na szczęście Polska się uprzemysławia, nadrabiamy zaległości, Polska staje się czwartym czy piątym mocarstwem przemysłowym Europy etc.”. Nawet Żydzi niemieccy, uchodzący za tak zwanych ekspertów od

Wschodniej Europy, cmokali: „Ten Minc, to mądry, proszę pana, mądry, ach co to za gospodarz!” Pamiętam, jak w „Głosie Ameryki”, gdzie musiałem pracować na ubożuchny i ciężki kawalek chleba, nie mogłem wyjaśnić moim nieszczęsnym szefom, że Polska znajduje się na dnie nędzy i dekapitalizacji, że całe to gadanie *Minc and company* o uprzemysłowieniu jest lipą. Nie, z uporem twierdzili, my mamy informacje, że postęp gospodarczy jest bardzo duży, że rzeczywiście powstaje wielki przemysł itd. Potem Gomulka sam przyznał, że wszystkie cyfry Mince i jego adlatuśów były fałszywe. Dzisiaj sytuacja wygląda bardzo podobnie. Napiszę o tym obszernie, ale innym razem. Na razie chcę tylko stwierdzić, że źle się przysługiwało Polsce ten, kto bezkrytycznie powtarzał czy za sanacji czy w czasie ery komunistycznej blagi i przechwałki oficjalne, uczciwie służył Polsce i jej przyszłości ten, co nie żałował najczarniejszych kolorów, by przedstawić potworną sytuację gospodarczą Polski i tragiczną nędzę jej ludności.

Analogicznie uważam, że złą przysługę oddaje ten, kto z uporem twierdzi (jak się to przyjęło w całej naszej prasie krajowej i emigracyjnej), że Polska ma moc nowych talentów, doskonałych piór, że ma świetne pisma, wspaniałych redaktorów, wyborną prasę, a przede wszystkim, że „młodzi”, pod przewodnictwem rzekłbych i żwawych pięćdziesięciolatków, dają gwarancję zbliżenia się nowego wieku złotego. Tak nie jest, tak wcale nie jest. Prasa polska w kraju sprawia wrażenie urzędniczej nudy, szarości, odwalania zamówionych „kawalców”, kręcenia się dookoła własnego ogona, jałowych sporów, talmudycznych dyskusyj, a przede wszystkim jest beznadziejnie prowincjonalna. Nasza prasa emigracyjna jest trochę mniej prowincjonalna, ma nieco szerszy oddech, ale też choruje na zakłamanie, na kapliczkowość. Zresztą, co to za prasa? Prasa polsko-amerykańska, która jeszcze przed wojną miała wielkie nakłady i, jak na rozpaczliwe polskie stosunki, duże zasoby finansowe, obecnie ledwie dyszy: jej koniec jest bliski. Upadła, bo obniżając poziom do tego co się jej wydawało, że jest poziomem czytelników, straciła ich niemal wszystkich: czytelnik jest prawie zawsze mniej głupi, mniej niewykształcony, mniej wulgarny i mniej prostacki, niż sobie to redaktorzy pism „popularnych” wyobrażają. Pisma bardziej intelektualne popełniają niemal równie wielki błąd, utożsamiając poziom z nudą, kulturą z faktologią czy faktomanią: w rezultacie gładzeniem odstraszały czytelników. Dewiza polskich redaktorów, gdy chodzi o gusty ich czytelników, jest odwieczna: „świnia wszystko zje”. A jednak nie zawsze. Na emigracji aż roi się od pisemek, które są za słabe, by móc się utrzymać, by móc płacić jakiegokolwiek honoraria, by dbać choćby o minimum poziomu: ich publikacja jest równoznaczna z wyrzucaniem pieniędzy przez okno na wyłączny benefis drukarek

i linotypistów. A z dwóch jedynych na emigracji czasopism literackich, jedno zawsze robi wrażenie organu związku belfrów, drugie związku studentów. Jedno choruje na belferskie besserwiserstwo, przyczynki i przecinki, drugie na „genialne” pomysły ludzi, którzy po raz pierwszy dorwali się do słowa drukowanego. Jedno choruje na sklerozę, drugie na wysypkę.

Jakie rady dawać młodym pisarzom, tym z kraju zwłaszcza? Wydaje mi się, że niektóre można — pomimo oczywistego niebezpieczeństwa wszystkich uogólnień — zaryzykować. Przede wszystkim liczba młodych literatów musi być ograniczona. Pewne ekwilibrium jest podstawową zasadą wszelkiego ładu i porządku społecznego. Nieszczęściem Polski było, że nigdy nie chciała tego prawa wielkich liczb uznać. W swoim czasie nadprodukowaliśmy więcej szlachty, niż jakiegokolwiek inne państwo na świecie, ze znanymi skutkami. W okresie międzywojnia wyprodukowaliśmy, jak na nasze zasoby, bodajże maksymalną ilość inteligencji, znowuż z opłakanymi skutkami. Dzisiaj Polska „Ludowa” poszła jeszcze dalej po tejże zgubnej drodze. Na Uniwersytecie Jagiellońskim setki młodzieży studiują historię sztuki: z czego ta młodzież ma później żyć? Zawsze pamiętam, jak na pierwszym roku prawa w Krakowie stary Estreicher, postrach studentów, mówił do kandydatów, którzy obcinali się na egzaminie: „Proszę pana, żadna praca dzisiaj nie hańbi, Pan Bóg odmówił panu umysłu prawniczego, z tego nic nie wyjdzie, ale może będzie pan doskonałym rzemieślnikiem, niech pan da spokój prawu, i rozglądnie się za innym zawodem”. W ten sposób stary Estreicher oddał ogromne usługi wielu studentom („akademikom, jak się błędnie i bezsensownie mówiło w Krakowie”), a wielu innych powinno było sobie pluć w brodę, że nie poszło za radami tego średniowiecznego bakałarza, który nie był wielkim uczonym, ale za to doskonałym pedagogiem i wykładowcą, nie mówiąc o jego zasługach politycznych i bibliograficznych. Otóż tak samo wobec młodych pisarzy powinni się zachowywać redaktorzy pism, i ich surrogaty, to znaczy kierownicy radiostacji itd. Powinni setkom tych młodych mówić: „na pisarza się pan nie nadaje, na dziennikarza się pan nie nadaje, niech pan się rozglądnie za inną uczciwą pracą, póki czas, bo potem będzie za późno, i będzie pan zachwaszczał polską prasę przez pół wieku albo i więcej”. Może czasem takie stawianie sprawy zmarnuje jeden czy dwa talenty, ale za to uratuje Polskę od tysięcy grafomanów, półinteligentów i nudziarzy.

Druga rada — przede wszystkim dla adeptów powieści, literatury pięknej. Powieściopisarz musi nabyć możliwie dużo bagażu doświadczeń życiowych, bo przecież nowela czy powieść

jest prawie zawsze przejrzystą transpozycją własnych doświadczeń: inaczej wątek „natchnienia” na długo nie starczy i będzie zawsze podejrzany: całość będzie sztuczna, przesadna. Realia powieści muszą zawsze opierać się na osobistych przeżyciach. Niestety prawie zawsze w Polsce autorzy dysponują tylko dwiema kategoriami przeżyć: z „lat dziecińczych” oraz z lat wojennych. Te pierwsze dały nam wspaniałe opisy przyrody, *Pana Tadeusza*, *Chłopów*, *Sobola i Pannę*: są to rzeczy bardzo piękne, ale w końcu ten *genre* stał się nieco jednostajny. Gorzej jest z tą „wojną” a ostatnio z tymi strasznymi przeżyciami wojennymi, obozami, podziemiem etc. Koncentracja wszystkich talentów na jednym typie przeżyć uczyniła je niestrawnymi, tak jak w innej dziedzinie nadmiar ex-komunistów, spowiadających się ze swych rozczarowań sprawił, że literatura tego typu straciła dla szerokiej publiczności wszelką atrakcyjność: osobiście uważam, że Koestler powiedział wszystko co było na ten temat do powiedzenia, i że jego następcy i naśladowcy byli zupełnie zbyteczni. Pisarze muszą szukać innych źródeł natchnienia, innej tematyki. Muszą więc mieć jakieś inne przeżycia, z których by mogli wyciągnąć wątek swych powieści czy nowel. Osobiście, może słusznie, może błędnie, nie będę się o to spierał, uważam Józefa Mackiewicza za największy talent nowelistyczny dzisiejszej Polski, i przypuszczam, że znaczną część tego wielkiego talentu zawdzięcza on swym doświadczeniom, jako drwal i woźnica w latach 1939-41. Właśnie ten okres mu dał i te niezrównane realia, i głęboką znajomość duszy ludzi prostych, małych, biednych, niepiśmiennych. Tutaj wtrąć nawias, choć zdaje sobie sprawę, że powinien się on ukazać nie w „Kulturze”, ale w „Wiadomościach”: ale skoro wiem, że Dr. Grydzewski nigdy mi tego nie wydrukuje... Otóż mając wielki, największy nawet respekt dla twórczości literackiej J. Mackiewicza, pragnę i muszę podkreślić, że jego pseudo-publicystyka wydaje mi się równie prymitywna, nudna, niesmaczna, jak hakatystyczne, obrzydliwe listy i artykuły ks. Kantaka. Gdyby Kantak był osobą świecką — z Panem Bogiem. Niech by sobie pisał co chce. Ale obrzydliwość polega na tym, że Kantak jest księdzem, powinien być reprezentantem religii miłości bliźniego, wybaczenia uraz, Kościoła ponadnarodowego. I on właśnie szerzy najobrzydliwszy rasizm na poziomie Streicherów, Hitlerów i Rosenbergów. W swoim czasie zaproponowałem Drowi Grydzewskiemu 10 funtów, jeżeliby mógł mi zacytować niemieckiego katolickiego prawnika, który by tak pisał o Polakach jak ks. Kantak pisze o Niemcach. Oczywiście nie mógł, bo takiego na szczęście nigdy nie było. Jako Polak i jako katolik wstydzę się ludożerczej nienawiści, która będzie plamić Polskę tak jak pamięć o żydożerstwie innego księdza, Trzeciaka, po dziś dzień plami Kościół polski w oczach i sumieniach wszystkich uczciwych Polaków. W porównaniu z ks. Kantakiem Charles Maurras był szczytnym dystynkcją i ogłębnością, a jednak został on wraz ze swą „Action Française” słusznie wyklęty przez Stolicę Apostolską za głoszenie doktryn

sprzecznych z nauką Kościoła. A przecież Maurras nie był osobą duchowną, nie był pralatem, więc jego przewinienia były bez porównania lżejsze.



Jeszcze jeżeli chodzi o ten zapas przeżyć, który musi zaopatrzyć pisarzy w kapitał pisarski na całe życie. Miłość, kobieta zajmują tak ogromne miejsce w życiu, że nie można sobie wyobrazić *belles lettres* bez nich: rzecz jasna nie wolno utożsamiać miłości z erotyzmem, jak to czyni, niestety, inny Mackiewicz, Stanisław, i to pomimo tak subtelnej i niepospolitej inteligencji. Znowuż niezmiernie uderza ubóstwo wrażeń z tej dziedziny we współczesnej literaturze polskiej. Pisarze francuscy omal bez wyjątku obracali się zawsze i obracają się nadal wśród śmietanki i elity kobiet francuskich: nawet taki brudas i obżartuch jak Balzac miał na rozkładzie tuziny hrabin i księżn. U nas pod tym względem było znacznie gorzej: nasze kobiety wołały dawniej szwoleżerów, a dzisiaj milionerów od najwybitniejszych pisarzy. Zawsze odnosiłem wrażenie, że ludziom, którzy kiedyś nie przeżyli naprawdę głębokiego uczucia czegoś brak, że są jacyś płyty, omal kaleki: bo tylko wielka miłość może dać tę sondę w obcą duszę, ten ogromny wysiłek w kierunku próby zrozumienia czyjejś psychiki, na który nas normalnie nie stać, bo to za trudne, za ciężkie: wolimy normalnie zadowolić się bilonem komunatu. Ale na to mogą poradzić tylko Polki, nie my, mężczyźni. Obrazki miłosne w naszej literaturze pięknej przeważnie grzeszą irrealizmem, niedopieczaniem, mazaństwem, albo znowu wpadają w trywialność, w wulgarność. Póki Polki się nie zmieniają, póty na te usterki nie będzie rady. To samo da się powiedzieć o życiu towarzyskim. Tworzą je kobiety, nie mężczyźni. Mężczyzna, choćby genialny, może napisać arcydzieło, nie stworzy salonu. Na salon trzeba pieniędzy, ale trzeba również wyrafinowanej, błyskotliwej pani domu. Nie mamy ich wśród siebie. I brak ten boleśnie się daje odczuwać w naszej literaturze. Sawantki, *bas bleus*, literatki, działaczki nie mogą tej luki wypełnić, bo chodzi tu o co innego. Chodzi tu o inteligentne, piękne, dowcipne, czytane kobiety, które umieją słuchać, ocenić, ośmieszyć, zrugać, — albo wynagrodzić. Brękiem złota, otwarciem drogi do stosunków i kariery, wielką miłością, frywolną rozpustą, bajkową podróżą, czasem krytyką, radą, wskazówką — ale nie recenzją, nie nudnym wykładem, nie naukową dysputą. Z literatury poznaje się kobiety danego narodu. Francuski muszą być czarujące, zabawne, wesołe, figlarne. Rosjanki — brudne, nieznośne, ale jednak niezwykle. Polki — pełne cnót, ale z niemiecką przemądrzałą, pedantyczną i... nudną.



Teraz wielki problem: czy młodzież wychowana zagranicą może pisać w ojczystym języku? Wydaje mi się to niemożliwe,

oczywiście jeżeli chodzi o literaturę, nie o zwyczajne poprawne pisanie. Hłasko, jeżeli zostanie zagranicą, może naturalnie pisać wyborną polszczyzną aż do najpóźniejszej starości: bo język się naprawdę wchłania w dzieciństwo i we wczesnej młodości. Ale czy chłopak, czy dziewczyna może naprawdę opanować język polski, jeżeli szkoły średnie ukończył w Anglii czy Francji? Są być może wyjątki, ale chyba należą one do najrzadszych. Sam na sobie zawsze odczuwałem moje ubóstwo językowe, wpływające z faktu, że dzieciństwo spędziłem na Ukrainie, gdzie chłopci nie mówili po polsku: stąd moja polszczyzna, aczkolwiek poprawna, zachowała zawsze pewną sztywność, pewną banalność, pewną, że tak powiem, inteligenckość, która mi uniemożliwiła pokuszenie się o pisanie nowel czy tym bardziej powieści: poza publicystykę wyjść nie mogę. Pamiętam zawsze następujący epizod. Lat temu trzydzieści z górą cały Kraków kochał się w prześlicznej podkrakowskiej pannie. Nazywano ją Ola, Oleńka, Olunia. Kiedyś na AB spotkałem Andrzeja Zamoyskiego, który był inteligentnym chłopakiem, ale nigdy się kwestiami językowymi czy literackimi nie zajmował, natomiast w przeciwieństwie do mnie wychował się na wsi polskiej, w Wysocku, gdzieś pod Przemysłem. Więc spotykam go i mówię: „Wiesz, Ola jest podobno w Krakowie”. A ten na to: „Co, OLKA przyjechała!?” Po tylu latach, pamiętam z całą dokładnością, jak to chłopskie OLKA, to chłopskie KA w tym imieniu mnie uderzyło: nigdy tego zdrobnienia nie słyszałem, a czułem, że jest ono poprawne, zgodne z duchem języka, że płynie z soków żywotnych polszczyzny, a jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że choćbym zastanawiał się nad tym latami, to nigdy bym sam na tę „Olkę” nie wpadł. Otóż to są właśnie te drobiazgi, to wczucie się od urodzenia w tajemnice języka, które decydują o talencie literackim. Myślę, że młodzi Polacy, którzy przed 20-ym rokiem życia odrywają się od życiodajnych źródeł polszczyzny, tej przeszłości nie przeskoczą. Niech piszą po angielsku czy po francusku, czy po niemiecku, niech oczywiście starają się naszą literaturę przyswoić swym nowym ojczyznom — ale próby robienia z nich polskich pisarzy uważam za poronione. Ci, których poznałem, to co czytałem — nie skłaniało do żadnych nadziei, do jakiegokolwiek optymizmu.

A jak jest z odwrotną stroną medalu: z Polakami zamieszkającymi zagranicą: czy mogą wejść do literatury swych przybranych ojczyzn? Znowuż wydaje mi się to arcywątliwe. Jest wprawdzie Conrad: ale czy nie był on raczej fenomenem niż wielkim pisarzem? Czy gdyby się był urodził jako Smith czy Brown w Newbury czy Peterborough byłby równie znany? Jego angielszczyzna wydaje mi się zawsze raczej wypracowana, przelicowana, wydaje mi się raczej szydełkową robotą, nie wielkim powiewem natchnienia, talentu, coś tak jakby angielskim ekwi-

walentem Berenta, który jest też dobry, nawet bardzo dobry, bardzo finezyjny, kulturalny, wypolerowany, a jednak dużo gorszy od wielu innych bardziej rozwichrzonych, mniej poprawnych pisarzy. Oczywiście chodzi tu o naprawdę najwyższy poziom: bo poprawnym pisarzem w obcym, nabytym języku można zostać. Pod warunkiem jednak, że się tylko w nim pisze. Być wielkim pisarzem dwu- czy trój-języcznym jest niepodobieństwem. Tak jak nikt nie może mieć dwóch dusz czy dwóch twarzy, tak samo można mieć tylko jeden język. Zgłębienie języka jest tak strasznie trudnym zadaniem, wymaga tak szalonej pracy, tyle czasu, tylu wysiłków, że człowiek, który by naprawdę władał dwoma czy trzema językami, mógłby tyle tylko osiągnąć, że w tych trzech językach nie miałby nic do powiedzenia. Poligłoci zwykle cierpią na brak prawdziwej dystynkcji stylu: a ich utwory są rozpaczliwie płytkie i banalne. Wydaje mi się, że na to nie ma rady.

Pisać z reguły można tylko w jednym języku, natomiast znać w mowie i piśmie powinno się jak najwięcej. Gdy dzisiaj, na starość, robię bilans mojego życia, bilans negatywny i ujemny, nieraz żałuję, że za młodych lat nie zapędzono mnie do tłumaczeń: wydaje mi się, że to najlepsza szkoła stylu, precyzyjnego słownictwa, jasności składni. Jeszcze dzisiaj, gdybym miał czas, gdybym nie był od rana do wieczora zaabsorbowany walką o byt, koniecznością próbowania utrzymania się na wodzie, zabrałbym się do tłumaczeń — i to klasyków francuskich, La Rochefoucauld na przykład, mistrzów zwięzłości. Żałuję bardzo, że nie jestem w stanie tłumaczyć tekstów łacińskich, tym bardziej greckich: myślę, że Mickiewicz zawdzięczał cały swój talent, całe swe mistrzostwo językowe doskonałej znajomości łaciny. Tak samo u Wyspiańskiego znajomość greki stoi u źródła jego największych zdobyczy poetyckich. Podziwiam Wittlina, Wieniewskiego, że w obliczu najfatalniejszych warunków nie zrezygnowali z tłumaczenia Iliady i Odysei. Myślę, że Hostowiec bez łaciny straciłby połowę swego wielkiego talentu, swej olimpijskiej powagi i obojętności na drobne incydenty współczesne, jak bolszewizm, wojny światowe i reformy walutowe. Specjalnie my, Polacy, potrzebujemy jak najwięcej tego klasycyzmu, bo jesteśmy zatruci i spaczeni rozwichrzonym romantyzmem. Na „Dziadach” nie można nikogo wychować i nauczyć pisać, można tylko wrodzony talent zmanierować. Trzeba naszym młodym ludziom kazać czytać Krasickiego, Trembeckiego, Morsztynów, od biedy nudnego Tarnowskiego, czy Kazimierza Morawskiego, czy Kalinkę, czy Bobrzyńskiego, bo u nich wszystkich można nauczyć się podziwiać ład, porządek, dyscyplinę słowa, kompozycję — a bez tego dobrego piśmiennictwa nie ma. Zabroniłbym młodym czytać Zeromskiego, Brzozowskiego, Irzykowskiego, Chłonińskiego, Sieroszewskiego. A w pierwszym

rzędzie zapędziłbym ich do tłumaczeń. I to wcale nie Eliota, czy Ezra Pound. Nie, Rzymian i Greków, a potem Francuzów. Musimy nasz język i nasze umysły wziąć w karby, nasze pióra nauczyć zwięzłości, oszczędności słowa, jasności, dokładności, porządku, harmonii, kompozycji. Tak jak polityka gospodarcza musi stale posuwać się wąziutką ścieżką między inflacją i deflacją, tak język literacki musi stale balansować między dwoma przepaściami — kwiecistości i ubóstwa, baroku i chropawego prymitywu, fiorytur i prostactwa, esów-floresów i utylitarne funkcjonalizmu. A zawsze i język i pisma muszą się wystrzegać najgorszego wroga, najgorszej zasady: nudy.

Inny problem, wobec którego stoją ludzie pióra — to to czy należy być płodnym, czy też raczej oszczędzać swe siły i mieć bardzo niewielką wydajność. W dużej mierze zależy to od redaktorów i wydawców: nie bowiem nie może być z reguły bardziej dla talentu szkodliwe, jak „pisanie dla siebie”: to pisanie na własny użytek — a nie do druku, z myślą o możliwie jak najszybszej publikacji — normalnie prowadzi prosto do grafomanii. Normalnie: bo wszędzie i zawsze są wyjątki.

Osobiście, nie wątpię ani chwili, że lepiej pisać za dużo, niż za mało. Pisanie jest RZEMIOSŁEM, i jak każdego rzemiosła można się go nauczyć tylko wprawą, tylko przysiadaniem faldów, tylko regularnością pracy. Pamiętam, że kiedy zabrałem się do pisania, z początku „tylko sobie a muzom”, gdzieś na pierwszym roku Uniwersytetu, tom w mej krakowskiej izdebce czekał na „natchnienie”: gdy nagle czułem się już dostatecznie spocony, pewno od brudu czy zaduchu, to wówczas z palającymi policzkami rzucałem się na jakiś kajet, oprawny w ceratę, i zapisywałem go kilometrami jakichś nieopisanych bredni, a potem zanudzałem wszystkich znajomych, czytając im te „arcydzieła”, — póki, klnąc, nie zdolali uciec. Na szczęście, już na ławie uniwersyteckiej dostałem się do redakcji „Czasu”, i tam nauczyłem się pisać do druku, a więc z myślą o czytelniku: a te głośnie rozmyślenia, te „dzienniki” pisane niby to dla siebie — wszystko to w końcu jest nie do zniesienia. Nadmiar produkcji literackiej prowadzi do pewnej powierzchowności, ale wolę ją od napuszoneści tych, co pisują raz na rok, czy choćby raz na tydzień, bo tym się zawsze wydaje, że odkrywają jakieś odwieczne prawdy, choćby pisali tylko o bólu brzucha. Uważam, że ci co piszą artykuły powinni pisać jeden dziennie, inaczej ich pióra rdzewieją. Tak samo literaci sensu stricto muszą pisać regularnie. Bierzmy przykład z Francuzów: dzieła zebrane prawie każdego francuskiego pisarza obejmują kilkadziesiąt tomów. Lenistwo jest największym wrogiem dobrego piśmiennictwa, jeszcze większym od braku talentu.

Gdyby mnie zapytano, kogo ze współczesnych emigracyjnych pisarzy najbardziej szanuję, jako człowieka, bez wahania powiedziałbym że Zygmunta Nowakowskiego. Ten człowiek stary, schorowany, prawie ślepy nie daje za wygraną, ale ostatkiem sił walczy by nie stoczyć się do upodlającej roli, która polega na tym, że się żyje z dobroczynności, z zasiłków, z jałmużny. Nowakowski kiedyś mi mówił: czasem jestem już tak zmęczony przy mojej maszynie, że już naprawdę nie wiem ani co, ani dla kogo piszę. I sam go widziałem, jak w studio „Wolnej Europy” ten cień człowieka strzepił resztki oczu, by jeszcze raz poprawić swój manuskrypt, i resztki głosu, by odczytać go przed mikrofonem. I jednocześnie porównuję Nowakowskiego z innym znajomym o dwadzieścia lat młodszym, nawet zdolnym i wykształconym człowiekiem, ale zdeprawowanym latami sanacji, latami partyjnej działalności, a teraz latami polityki kawiarnianej, i który żyje z jakiegoś Assistance Board, bo powiada, co innego, mogę robić? Może jestem dziwakiem, ale beczyność by mnie zabiła. Jeżeli nie potrafię utrzymać się z pióra, to zostanę robotnikiem, albo się utopię, ale nie rozumiem jak można dobrowolnie siebie skazywać na to wieczne próżnowanie i bezrobocie, nie wierzę ani w brudasów, którzy na strychu rzekomo produkują arcydzieła, ani w emerytów, którzy ratują i zbawiają Polskę na innym strychu, kłócąc się z drugim takim samym wariatem. Znałem Doboszyńskiego jeszcze z Krakowa, ale bardzo mało: i właściwie dopiero u schyłku 1944 r. raz jeden przegadałem z nim omal całą noc w Oxfordzie. Pamiętam moje osłupienie, gdy ten człowiek bez portek, bez pisma, bez organizacji wywołał mi, że bez niego nikt nie potrafi Polskę rządzić, i że Bielecki jest jedynym człowiekiem, który mu jeszcze stoi na przeszkodzie na drodze do władzy. Można admiirować podobne halucynacje: ja je uważam za potworne dowody obłądów.

Jeszcze jedna uwaga: uważam, że powieściopisarze powinni dzisiaj unikać powieści, a koncentrować się na noweli, i to możliwie zwięzłej. Publiczność czytająca powieści zanikła. Składała się ona głównie z rozpróżnionych kobiet: a dzisiaj te kobiety muszą pracować, muszą zastąpić nieistniejące służące, muszą prowadzić gospodarstwo domowe, muszą prowadzić samochód, znać się na podatkach, naprawiać radio i telewizję itd. itd. Nie mogą się więc roztkliwiać nad dwoma tomiskami Anny Kareniny, jak to robiły nasze matki: nie mają na to czasu. A fortiori mężczyźni. A poza tym jeszcze jedna rada dla naszych młodych wieszczów: w literaturze obowiązuje ta sama zasada co w businessie — popłaca nowy POMYSŁ, kto pierwszy na taki nowy pomysł wpadnie i go wyzyska, ten robi karierę. Ja, w

mojej suterynie (którą jest w świecie literackim publicystką), od rana do wieczora myślę, jak trafić na nową myśl, na temat oryginalny, przez nikogo jeszcze nie obrobiony, jak uniknąć banału, sztancy, nudy. Tym bardziej niech się nad tym stale zastanawiają lokatorzy bel-etażu, a więc adepci literatury pięknej, tej, która ma przyprawiać serduszka eterycznych pańienek o dreszcze. A tymczasem ta nasza młodzież ciągle się babra w sierżantach, i bojach, i atrocitasach, i Westerplatte, i Podziemiu, i Armii Krajowej, i łagrach, i komunizmie, i marksizmie etc, etc. Ależ drodzy panowie, te ścieżki prowadzą tylko do pustyni, do pustkowia: nikt, ale to nikt nie chce dzisiaj o tym słyszeć i czytać. Szukajcie czegoś nowego, i to szukajcie rzeczy prostych. I bierzcie przykład z Jana XXIII, który odniósł największy sukces „publicity” bieżącego stulecia, uzyskując na całym świecie maksimum popularności w ciągu jednego dnia, bijąc pod tym względem wielkiego poprzednika, który formatem i kalibrem go wielokrotnie przerastał. Cóż to był za pomysł, to jasko Kolumba? No przecie, odwiedzenie więzienia. A jaki prosty! Tylko trzeba było na ten pomysł wpaść. Tak samo i przed młodymi literatami stoja miliony możliwości, miliony wytrychów do sławy i kariery. Ale trzeba wyjść, trzeba się wyrwać spod tyranii tych dwóch straszliwych, śmiertelnych wrogów każdej dobrej publicystyki, każdej literatury: konformizmu i banału. Trzeba zerwać z utartym szlakiem.

I jeszcze jedna rada, niejako intymna. Jak pisałem już poprzednio, pisarz, literat, intelektualista POLSKI nie może sobie pozwolić na założenie rodziny. Na ten luksus go nie stać. Będzie szczęśliwy, jeżeli zdoła samego siebie utrzymać przy życiu: ale o tym, by mógł jeszcze utrzymać żonę i dzieci nie wolno mu nawet marzyć. Nie jest przypadkiem, że „Zespół” Kultury składa się z samych ludzi bezdzietnych: gdyby Bracia Giedroycie, rodzeństwo Czapskich, Hertzowie, Mieroszewski byli otoczeni licznym „drobiazgiem”, gdyby na 91, avenue de Poissy w Maisons Laffitte rozlegał się szczebiot tuzina dzieci, nie byłoby „Kultury”. Podobnież żonaty i dzieciaty Dr Grydzewski nigdy by nie zdołał utrzymać „Wiadomości”. Mickiewicz — kawaler był wielkim poetą; Mickiewicz — żonaty był już tylko wieszczem, ale pisać nie mógł, bo był przytłoczony troską o wychowanie sześciorga dzieci. Poeta, pisarz, nawet publicysta ma moralne prawo żądania od ubożego polskiego społeczeństwa by dało mu możność płodzenia arcydzieł: ale nie może jednocześnie żądać, by toż społeczeństwo dało mu okazję i środki dla płodzenia dzieci. Rodaku-poeto, śpiewaj uroki celibatu; rodaku-powieściopisarzu opisz dzieje samotników; rodaku-publicysto stań się heroldem Malthusa!

Czas już przejść z autorów do redaktorów. Zaczniemy od tych krajowych. Wiem oczywiście, jak ciężko na nich cenzura, jak uginają się pod ciężarem nakazów i zakazów. Ale jednak, czyż nie mogą czegoś zrobić, by swe pisma ożywić? W stosunku do nas, emigrantów, korzystają z jednego, ale ważkiego awan-taży: nie stoja wobec straszliwej nędzy, mają środki, mogą płacić współpracownikom honoraria, które pozwalają żyć, a nie jakieś grosze, które nie mogą zapewnić nawet najskromniejszego minimum utrzymania. Kariery i honoraria krajowe St. Mackiewicz, Słonimskiego i innych wywołują też wrażenie, że władcy komunistyczni znacznie lepiej się orientują w HIERARCHII talentów od czynników obcych, które np. finansują sekcje polskie radiostacji zagranicznych. W każdym razie w instytucji amerykańskiej, w której byłem zatrudniony przez siedem lat, nikt o tej HIERARCHII pisarskiej, znacznie bardziej realnej (bo dużo trwalszej) od hierarchii urzędniczej, nie miał najmniejszego pojęcia.

Swoboda pisania prasy krajowej w sprawach politycznych jest bardzo ograniczona, ale czy na innych polach jest równie skrepowana? Czy układ pism krajowych musi być równie przestarzały, równie nudny? Czy tytuły muszą być równie napuszone lub nie mówiące? Czy kobyłastość artykułów musi stale wywoływać wrażenie, że nieszczęśliwi współpracownicy są płaćeni od wiersza? Czy druk musi być tak oplakany? Czy papier musi być tak lichy? Czy czcionki muszą być równie blade i jednostajne? Czy fotografie muszą być tak marne? Czy dowcip musi być zawsze tak wulgarny i płaski? Czy styl musi być zawsze tak rozwlekły i zawikłany? Czy nie ma sposobu stworzenia sieci wyrobionych, doświadczonych, sprawnych, sumiennych korespondentów zagranicznych, trafnie i dokładnie relacjonujących ewolucję obcych krajów, choćby naszych sąsiadów, choćby Sowietów? Czy nie można wyhodować sztabu reporterów, zdolnych do żywego, obrazowego opisu, obrazku rodzajowego, ciętej narracji? Czy nie można poważnie, a jednocześnie lekko poruszać takich spraw, jak prostytutka, przeludnienie, zmiany języka, zmiany obyczajów, podróże, wczasy, życie obyczajowe? Generalnie wrażenie, które odnoszę z lektury prasy krajowej, to po pierwsze, iż jest to koszt na śmiecie, drukowanie na chybił-trafił wszystkiego, co do redakcyj trafia bez żadnej próby selekcji i pomysłowości, a po wtóre, przez lenistwo umysłowe, przez brak pomysłów i myśli, akceptowanie kobył „ideologicznych”, byleby zapłacić lamy pisma. Przeciążenie niestrawną pseudo-filozofią jest cechą charakterystyczną pism niemieckich, a my byliśmy i przed wojną, i jesteśmy i dzisiaj tym złym wzorom niemieckim (pomimo całej naszej przysięgłej germanofobii!) wierni.

Redaktorzy krajowi mają — tak samo zresztą jak redaktorzy prasy emigracyjnej — obowiązek czuwania nad czystością języka, który jest naszym wspólnym skarbem. Oczywiście nie rozumiem

przez czystość języka niewolniczego trzymania się przepisów Kryńskiego, czy tym bardziej spolszczania słów cudzoziemskich, jak to z uporem robi Dr Grydzewski. I tak zamierzam napisać całą rozprawę, w której wytłumaczę, że „import” nie jest tym samym co „przywóz”: ten ostatni zwrot obejmuje nie tylko import oclony, ale także towary wwieszone przez podróżnych, sprzęt wojenny, który normalnie w statystykach handlu zagranicznego nie figuruje, dary, paczki i przesyłki filantropijne itd. Jeżeli więc piszę „import”, mam na myśli import, a nie przywóz. Tak samo gdy piszę „koegzystencja”, to nie można tego terminu zmieniać na „współistnienie”. Termin łaciński implikuje element WOLI, który nie istnieje w rzekomym ekwiwalencie słowiańskim. I tak „współistnienie Niemiec i Polski” oznacza tylko prawdę geograficzną, natomiast „koegzystencja Polski i Niemiec” oznacza, że te dwa państwa czy narody powinny dolożyć starań i wysiłków dla stworzenia znośnego modus vivendi. I jaka korzyść z tego spolszczania? W londyńskim „Dzienniku Polskim” Dr Szpidbaum napisał zajmujące studium o chorobach serca: ale niepotrzebnie je oszpecił, zastępując powszechnie znane nazwy chorób jakimiś fantazyjnymi nowotworami: i tak dyfteryt, wszystkim doskonale znany, zastępuje jakąś „błonicą”, anginę pectoris niemniej dziwną „dusznica” itd. Inni Polacy zastępują międzynarodową „energią atomową” jakąś nieprzyzwoitą i głupią (i znowuż bezwiednym germanizmem) „energią jądrową” (Kernenergie). Po co i dlaczego? Ale obok tej szkodliwej i szkodliwej „polonizacji” są zadania istotne, od których redaktorzy krajowi się niestety uchylają. I tak np. czytałem na łamach prasy krajowej dłuższe wywody p. Oskara Langego, uchodzącego za tak zwanego czołowego marksistę w Polsce. Niezależnie od tego, jaką wartość reprezentują jego recepty gospodarcze, trzeba z całym naciskiem stwierdzić, że muszą one być naprzód przetłumaczone na normalną, poprawną polszczyznę, bo Lange pisze żargonem, od którego robi się każdemu niedobrze. Nie wierzę, by język zawity ukrywał głębokie myśli; mistrzostwo stylu polega w każdym razie na przekładaniu myśli trudnych na język prosty. Za moich studenckich lat pisałem rozprawę o Hoene-Wrońskim (który jak wiadomo pisał tylko po francusku), i wszystko co z jego wytorturowanych zdań utkwiło mi w pamięci, to to, że przed zabraniem się do pisania swych węzów morskich o „uniwersalizmie” powinien był na pamięć nauczyć się Pascala. *La clarté, la clarté française* — oto czego nam nade wszystko potrzeba w literaturze, filozofii, publicystyce. Precz ze wszystkim co ciężkie, co zawile, co rozwlekłe, co przemądrzałe, co niezrozumiałe, co nudne, co niestrawne! Proust rodzi się raz na sto lat. Jego stylu nikomu rekomendować nie można. Redaktorzy nie mają i mieć nie mogą wpływu na zjawienie się geniuszów: to sprawa przypadku. Ale mogą mieć wpływ, i mają go, na istnienie dobrej przeciętnej. To już wystarczy. Francja jest krajem o doskonalej przeciętnej w każdej dziedzinie, Sartre nie jest ani wielkim pisarzem, ani głę-

bokim myślicielem: ale wystarczy otworzyć jego pierwszą lepszą powieść, by już u dołu pierwszej strony stwierdzić, że to człowiek, który zna swoje rzemiosło. A u takiej Daphne du Maurier czy innych bab angielskich, co dopiero polskich, nawet po stu stronach jeszcze się nie wie, o co chodzi.

I wreszcie parę słów o naszych redaktorach emigracyjnych. Cóż — są oni przede wszystkim tak straszliwie biedni i ubodzy, że właściwie nie można im stawiać żadnych wymagań. Każdy z nich jest w swoim rodzaju geniuszem, że potrafi jakimś cudem wiązać koniec z końcem, że pcha jakoś swą taczkę, rozporządzając środkami stokrotnie mniejszymi od najuboższej radiostacji — Belgradu czy Rzymu. Gdyby nasze pisma emigracyjne miały administrację i kontrolę tak rozbudowane jak prasa krajowa, to by żadne z nich nie wytrzymało ani jednego tygodnia. Nie z powodu złej woli, ale z ubóstwa nie są one w stanie płacić jakichkolwiek honorariów, tylko jakieś symboliczne grosze, z których nawet św. Szymon Słupnik nie zdołałby się utrzymać. Osobiście nie wierzę w natchnienie, w geniuszów na poddaszu, w te wszystkie romantyczne bajki i rekwizyty. Nowoczesny pisarz musi mieć nie tylko zapewnione minimum egzystencji, ale grubo więcej, tak by móc kupować książki, by móc jeździć, wypoczywać, utrzymywać stosunki z ludźmi i nie troszczyć się o starość. Mickiewicz, póki był kawalerem, żył sto razy lepiej od każdego z nas: chciałbym widzieć Łobodowskiego bywającego na balach jakiejs dzisiaj ks. Zenaidy Wołkońskiej, a co dopiero naszego nędzarza Czuchnowskiego! W swych pamiętnikach z okresu paryskiej emigracji Niemcewicz zapisuje: „obiadek dzisiaj był skromny: zupa, ryba, kurczę — i butelka wina”. Dla dzisiejszego pisarza-emigranta takie menu — to uczta, po której by się dwa lata obliżywał, a całe życie ją wspominał. Tak samo, gdy Mickiewicz wyjeżdżał do Konstantynopola, to grono przyjaciół żegnało go „skromnym obiadkiem”, gdzie?... w La Tour d'Argent, wówczas jak i dzisiaj najdroższej restauracji w Paryżu. Dzisiaj wyjeżdżającego z Londynu emigranta nikt nie żegna, a gdyby się znaleźli tacy szaleńcy, to stać by ich było w najlepszym razie na poczęstunek u... Lyons'a.

Rozgrywka dyplomatyczna Zachodu z Kremlą, tak zwana Zimna Wojna, zależy w 90% od Amerykanów: już rola Anglii czy Francji w tej rozgrywce jest właściwie tylko markowaniem, a naturalnie to co Polska czy Jugosławia robi w tej mierze (czy też emigracje tych krajów) ma znaczenie czysto symboliczne. Tak samo tylko Amerykanie mogą zapewnić egzystencję prasy polskiej zagranicą, czy polskich instytutów wydawniczych: emigracja sama nie mogła i nie może marzyć o stworzeniu własnych radiostacji i jest pod tym względem całkowicie skazana na hojność amerykańską. I nie inaczej jest

z naszą prasą. Amerykanie zrozumieli, że utrzymywanie żywej emigracji i piśmiennictwa rosyjskiego w wolnym świecie, zarówno w Europie, jak i w Stanach, daje im magnes atrakcyjny dla inteligencji sowieckiej: ale jeżeli chodzi o Polskę są nadal na te same względy zupełnie głusi. Jesteśmy na Zachodzie lekceważeni i niedoceniani: i nikogo w Waszyngtonie, w Paryżu i w Londynie — a także w Bonn! nie obchodzi i nie interesuje, że ta obojętność, że to pomiatanie i lekceważenie okazywane polskiej inteligencji na Zachodzie szalenie wzmacnia pozycję komunistów wobec inteligencji i ludzi pióra w Polsce: „Widzicie, powiadają, jaki los, jaka nędza są udziałem waszych kolegów na Zachodzie? Chciecie uniknąć śmierci głodowej? No to do nogi, i ani mrumru!” *A telling argument*. Można by tę tezę uzupełnić tysiącami drastycznych szczegółów, ale sprawa jest tak jasna, że nie warto. O ile Amerykanie nie powinni wydawać grosza na wywiad czy dywersję w Polsce, o tyle umożliwienie godnej człowieka egzystencji elicie polskiej inteligencji na Zachodzie leży w interesie samych Amerykanów i daje im jedyną — obok widoku zachodniej *prosperity* — szansę skutecznego oddziaływania na opinię publiczną w Polsce. Ale nie nie wskazuje, by Amerykanie zdawali sobie z tego sprawy, i nie widzę tych Polaków w Ameryce, którzy podjęliby się te elementarne prawdy Amerykanom wytłumaczyć.

Nie mając pieniędzy, możliwości polskich redaktorów na obczyźnie są niezmiernie małe. Nie mogą oni założyć tej sieci dobrze płatnych, ustosunkowanych skontaktowanych, rozjeżdżających korespondentów zagranicznych, którzy są dzisiaj kośćcem pacierzowym każdego pisma codziennego i każdej pracy dziennikarskiej. Nie mogą oni wysyłać reporterów, którzy by mogli bezstronnie informować polskiego czytelnika o ewolucji czarnego kontynentu czy Bliskiego lub Dalekiego Wschodu, czy choćby Niemiec, o których Polacy piszą, jak o Żelaznym Wilku, ograniczając się do słowań i wymyślań. Nawet o de Gaulle'u nie czytam w prasie polskiej nic godnego uwagi. Natomiast widzę ogródniki, które są zawsze ratunkiem ludzi nie mających żadnych stosunków, żadnych kontaktów, żadnych możliwości podróży i studiów.

Ten zanik realiów, wywołany ubóstwem, jest jeszcze podbudowany fatalną polityką redaktorów. Lubujemy się w wiecznym recytowaniu naszych żalów i naszych postulatów zamiast próbować chłodno analizować aktualną sytuację. Czy możemy liczyć na jakąkolwiek pomoc Zachodu w razie powstania w Polsce? Czy jest jakąkolwiek szansa, by Zachód podporządkował swój stosunek do Niemiec naszym interesom czy naszym życzeniom? Czy Polska może stać się częścią składową Zachodu bez wyrównania swych stosunków z Niemcami? Czy Polska może liczyć na dopływ kapitałów z Zachodu? Czy sympatie do Polski na Zachodzie były silniejsze w roku 1914, w roku 1939, czy dzisiaj w roku 1959? Czy dystans gospodarczy między nami a Niemcami jest dzisiaj większy czy mniejszy, niż przed dwu-

dziestu laty? Czy poziom cywilizacyjny naszego narodu wzrasta czy się cofa? Czy nasza propaganda ma jakiegokolwiek szanse sukcesu, czy też jest z góry skazana na niepowodzenie? Nad tymi i setkami innych pytań nikt się nie zastanawia.

Nasi redaktorzy na Zachodzie popierają mgławicowe dyskusje pryncypialne, brązowienie różnych polityków, którzy wszyscy razem nie zabezpieczyli nas przed klęską, rozbiorem i niewolą, ale unikają spojrzenia prawdzie w oczy: wolą utrzymywać iluzje, legendy, erygować uprzedzenia i kompleksy do rzędu kanonów. Bawią się w cenzorów, nie w przewodników. Redaktor — to jest reżyser, ale reżyser, który wie, że bez dobrych aktorów położy najlepszą sztukę. A nasi redaktorzy zachowują się jak reżyser, który by wołał: furda autor, furda aktorzy, ja jeden tylko stanowią teatr i stanowią sztukę i stanowią przedstawienie, ja JEEEEEEEEEEEEEN. Ależ to obłąd!

Zadaniem redaktora jest zachęcać, nie zniechęcać. Nie ma to być pan z pałą i maczugą, ale finezyjny wodzirej, aranżer kotyliona, dyskretny, nie narzucający się, przyjazny, subtelny, skromny, operujący perswazją, nie groźbą, nie wymyslaniem, nie interdyktem i anatema. Musi on wpływać pośrednio, a nie odrzucaniem tekstów, co doprowadza piszących do rozpacz (i incydentalnie do śmierci głodowej), nie kastrowaniem ich, lecz sugestią, dyskusją, zachętą. Brutalne obcinanie całych zdań, całych ustępów, całych stron, burzy jedność konstrukcyjną artykułu, a więc jego wartość artystyczną. To tak jak gdyby dyrektor wystawy nagie obcinał część obrazu, która mu się nie podoba: w tym wypadku plama dajmy na to niebieska, nie znajdując kontrastu czy uzupełnienia w płamie np. zielonej, traciłaby wszelką rację bytu. Otóż tego rodzaju zbrodnie redaktorzy-cenzorzy popełniają od rana do wieczora. I w końcu się dziwią, że piszą tylko ci, których zmusza do tego nędza, że milczy i Łobodowski, i Baliński, i prawie stale Tadeusz Nowakowski, że mało pisze Hostowiec, że każdy autor, czytając swoje utwory tylko klnie, złości się i wymyśla. A jednocześnie ciż redaktorzy zaniedbują te obowiązki, które na nich spoczywają. Strona graficzna jest słaba, układ błędny i jednostajny, nie ma ani recenzji, ani przeglądów książek, ani recenzji teatralnych, ani przeglądu życia kulturalnego, ani polemiki na poziomie, ani aktualności: prawie wszystkie artykuły są musztardą po obiedzie. Każdy redaktor jest wierny osobistym zainteresowaniom czy idiosynkrazjom, a ignoruje najważniejsze wydarzenia: co prasa polska wiedziała i pisała o fenomenalnym odrodzeniu się bogactwa niemieckiego, co wie o stagnacji Anglii, co pisze o immobilizmie amerykańskim, co zauważyła w dziedzinie zmiany obyczaju? Reforma więziennictwa, postępy medycyny, zniknięcie oficjalnej prostytucji, zmiany w odżywianiu, nowoczesne budownictwo, architektura, powstanie międzynarodowej biurokracji, wczasy masowe dla proletariatu, urbanistyka, tysiące innych problemów są stale i całkowicie pomijane. Natomiast monotonna rozlega się

walkowanie komunizmu, kapitalizmu, Jalty, Odry i „Nysy” (Nissy oczywiście!), itd, itd. A co o muzyce, co o piosence, co o karykaturze, itd. Na szczęście Felsztyn i Schoenfeld czasem piszą o atomie: inaczej byśmy nawet o tym najważniejszym (obok eksplozji demograficznej) problemie mogli się czegoś dowiedzieć dopiero z prasy obcej.

Bóg więc i czytelnicy widzą, że daleki jestem od różowych okularów, gdy omawiam rolę i walory emigracyjnych redaktorów. Ale trzeba być sprawiedliwym, i uwzględnić ich trudną sytuację. Sami walczą z niedostatkiem, ich dobre i wrażliwe serca nie raz krwawią, gdy muszą odmawiać wsparcia głodującym literatom. Są to ludzie wiekowi i schorowani, hipochondrycy, dziwacy, mizantropi; są to przede wszystkim ludzie głęboko zdeformowani i duchowo okaleczeni przez sanację, na której rządy przypadły ich lata męskie, lata formacji duchowej. A jakże był legat sanacji dla polskiej prasy? Cenzura, nasylanie zbirów w mundurach na Zdziechowskiego, obicie Niedziałkowskiego, napaści na Cywińskiego, wreszcie Bereza dla najznakomitszego publicysty naszej generacji, Stanisława Mackiewicza. Straszliwe to obciążenie; i wszyscy cierpimy pod tym ciężarem, tak jak redaktorzy i publicyści, którzy pracowali pod Bierutem, nigdy się nie wyzwolił z deformacji, związanych z życiem i pracą w strasznych warunkach ery stalinowsko-radkiewiczowej. Nasi redaktorzy emigracyjni nie mają żadnego poczucia humoru, są despotami, cenzorami, poprawiaczami, pilnują „linii” w gruncie rzeczy w sposób analogiczny do metod stosowanych przez biura prasowe rządu czy partii w Warszawie, może tylko z większym przekonaniem.

Nasz nieszczęsny kraj nie miał dobrych oficerów, nie miał wybitnych polityków, nie miał mężów stanu, nie miał dyplomatów, nie miał administratorów, nie miał finansistów, nie miał przedsiębiorców, nie miał nic i nikogo. Był wyjałowiony z talentu, co zresztą nie jest dziwne, bo Polacy nienawidzą z całej duszy każdego, kto ponad szary tłum wyrasta: ZASZCZUCIE Stanisława Mackiewicza na emigracji, nienawidź, którą jest dzisiaj jeszcze ścigany przez różnych grafomanów, różne paniusie, które plują na niego, nie zdając sobie sprawy, jaka przepaść dzieli wielkiego pisarza, który ZOSTANIE, od tałatajstwa obojga płci, które jest zapomniane, gdy tylko przestaje ujażdżać — to może najdoskonalsza ilustracja tej ZAWISCI, która jest dzisiaj główną cechą charakteru polskiego. Otóż na tle tej rozpaczliwej rzeczywistości, dla czegożbyśmy mieli mieć dobrych, światłych, liberalnych redaktorów? Czy zasłużyli sobie na nich leniwi polscy czytelnicy, nie umiejący nawet napisać przyzwoitych listów do redakcji?

W niedoli, w nieszczęściu, w straszliwej nędzy, w opuszczeniu i ignorowaniu przez cały świat, w zaszeregowaniu o sto mil w tyle za ostatnim Moskaluszką, kraj i emigracji są mimowoli obok siebie. I my i oni stacamy się coraz niżej, coraz ciemniejsza noc staje przed nami. Nie wierzę w nasze siły; chciałbym przynajmniej wierzyć w nasz rozum. Prasa, która powinna być i w kraju i na emigracji tego rozumu trybuną, nie pozwala robić sobie i pod tym względem nadziei, snuć marzeń czy oddawać się złudzeniom.

W. A. ZBYSZEWSKI

Nowe wydawnictwa „Libelli”

FLORIAN CZARNYSZEWICZ

LOSY PASIERBOW

Z przedmową Józefa CZAPSKIEGO

Cena: franków 850. — ah. 17/— — dolarów 2.50.

Warunki sprzedaży:

- Jeżeli ktoś mieszka we: Francji, Belgii, Holandii, Szwajcarii, Szwecji, Austrii, Niemczech, Luksemburgu lub we Włoszech, książkę możemy wysłać za zaliczeniem pocztowym, płatną przy odbiorze listonoszowi.
- Jeżeli ktoś mieszka w Stanach Zjednoczonych należność może nam przesłać czekiem swego banku wystawionym w dolarach na „Libella” lub też może przekazać bez trudu za pośrednictwem poczty „international money order”.
- Jeżeli ktoś mieszka w: Kanadzie, Australii lub Nowej Zelandii należność może nam przekazać za pośrednictwem poczty — „international money order”.
- Jeżeli ktoś mieszka w innych krajach jak: Brazylia, Venezuela, Congo belgijskie itp. należność może przekazać nam za pośrednictwem banku.
- Jeżeli ktoś mieszka w Polsce, może poprosić swego krewnego lub znajomego mieszkającego zagranicą, aby książkę u nas zakupił i mu wysłał.

Zamówienia wraz z należnością przysyłać do:

“LIBELLA”
12, rue St. Louis-en-l'île, Paris IV
France

Podróż do Europy (2)

7 lipca

N., Korsykanin, z zawodu chirurg, mówi mi:

— Czy poznał pan doktora Z.? Bardzo miły facet, ale skończony kretyn. Przyszedł do mnie w zeszłym roku z prośbą, żebym go zaprotegował profesorowi A., który szukał asystenta. A. jest Korsykaninem, trzeba być idiotą aby przypuszczać, że weźmie asystenta, pochodzącego z Paryża. Żaden Korsykanin tego nie robi. Z. nastawał, musiałem mu nawymyślać. Jak się to skończyło? A. znalazł sobie asystenta z Korsyki. A co pan myślał?

Chirurg o którym mowa jest z przekonania monarchistą. W jednym z nim domu mieszka jego krewny, emerytowany nauczyciel, głoszący na komunistów. Nie odbija się to bynajmniej na ich przyjaznych stosunkach. Ważniejsze od tego, jakie kto ma przekonania, jest to, czy można go uważać za *copain*, czy nie. Znaczenie tego słowa jest w Marsylii nieco inne, niż w Paryżu. *Copain* w Marsylii — to nie tylko dobry znajomy czy przyjaciel, lecz człowiek, dla którego koniecznie trzeba wszystko zrobić, bo tego wymaga niepisany kodeks przyzwoitości. X., również pochodzący z Korsyki, opowiada mi w obecności chirurga, z którym był razem w wojsku i później w *maquis*:

— Wie pan co on zrobił kilka tygodni temu? Zadzwoił do mnie w niedzielę rano i namówił mnie, żebym z nim pojechał do Grenoble. Weź, powiada, samochód, nigdy nie byłeś w Grenoble, więc to będzie dla ciebie rozrywka, mój wóz już jest pełny, a trzeba zabrać jeszcze kilku *copains*. Ja naturalnie zgodziłem się, bo jakże się nie miałem zgodzić, skoro chodziło o *copains*, ale mu z góry zapowiedziałem, że w żadnych rojalistycznych idiotyzmach nie wezmę udziału, bo jestem, o czym on doskonale wie, *plutôt* (raczej) socjalistą, a nawet czasami komunistą. I otóż w Grenoble od razu, na ulicy, rozpoczął się wiec.

Ja z ciekawości słucham, i wtrąciłem się dopiero wtedy, kiedy jednego mówcę, którego przywiozłem, słuchacze chcieli poturbować. Musiałem go bronić — bądź co bądź *copain* — ale mi nie dali dojść do słowa, więc rozpuścili, a ja się wycofałem i poszedłem oglądać miasto. Naraz mnie zatrzymuje dwóch drabów, mówią, że mnie poznali. Ja im tłumaczę, że nigdy w życiu nie byłem w Grenoble — nie lepszego nie przyszło mi do głowy. „Nigdy nie byłeś, a teraz jesteś”, powiada jeden. Oberwałem za monarchizm, na który gwizdzą, ledwo uciekłem...

— Ale za to obroniłeś *copains* — śmieje się N.

— To prawda. Jeśli chodzi o *copains* — można zawsze na mnie liczyć — mówi nie bez dumy X.

16 lipca

Jedziemy do Genewy, już innym samochodem, który jest brzydki, przypomina wyglądem buidoga, ale doskonale chodzi. Ale za ciasny, niby to na cztery osoby, w rzeczywistości na dwie, i to po pewnych przeróbkach, bo inaczej nie było by miejsca na moje normalnie długie nogi.

Rozmyślałem o Francji, usiłuję uporządkować w głowie co widziałem i słyszałem. Niczego nie można objąć ogólną formułą, wszystko jest i takie i inne. Aparat opieki społecznej działa na przykład o wiele lepiej, niż przed wojną. Widziałem, nie tylko z zewnątrz, wspaniałe sanatoria i domy wypoczynkowe, chorzy dostają się do nich bez żadnych protekcji, kombinacji ani łapówek, wszystko mają za darmo. Po 65 latach życia każdy ma prawo do dożywotniej renty, ale renty są rozmaite: dla nauczycieli świetne, dla robotników bardzo niskie, dla lekarzy też złe, dla urzędników państwowych doskonale. Przed wojną w Paryżu wszystko było skrupulatnie obliczone, jeśli płaciło się za coś o dwa franki więcej, z pewnością było o tyleż lepsze. Przed wyjazdem z Marsylii kupiłem sobie pasek, zwyczajny skórzany pasek do spodni, który w Ameryce kosztuje dolara. W jednym sklepie chcieli za niego osiem dolarów, w innym sześć, w trzecim półtora. Był to dokładnie ten sam pasek, opatrzony napisem „made in U.S.A.”. W Paryżu drogie restauracje nie są lepsze od tańszych, przeciwnie, są zwykle gorsze. Francuzi też są tacy i inni. Słyszałem o wyrafinowanych złodziejstwach, ale widziałem też małą dziewczynkę, nie Francuzkę, lecz cudzoziemkę, która jest sierotą i która się wychowuje u dalekich krewnych. Krewni nie są zamożni, dziewczynkę pomaga utrzymywać opieka społeczna. Robi się to w sposób niesłychanie dyskretny. Opieka społeczna kupuje jej na przykład sukienkę czy palto i przynosi krewnym, żeby jej dali jako prezent od siebie. Do mieszkania jej krewnych przychodzi od czasu do czasu inspektor, żeby sprawdzić, jak się tam dziewczynka żyje. Przychodzi zawsze rano, kiedy jest w szkole, nie wolno mu pod żadnym pozorem

przyjść w innym czasie, ponieważ mogła by go zobaczyć, mogła by się czegoś domyślić, a to sprawiłoby jej przykrość. Nie wie i nigdy w życiu się nie dowie, że utrzymywała ją opieka społeczna. W innych krajach też by ją pewnie utrzymywała, ale bez tej dodatkowej delikatności. Opowiadano mi o starszym lekarzu, który zaciął się w rękę podczas trudnej operacji, nie przerwał jej, dostał gangreny i umarł. Operowany wyzdrowiał. Lekarz wymógł przed śmiercią obietnicę od swoich asystentów, że nie powiedzą nigdy o operowanym, jak to wszystko było.

Ale tak było chyba we Francji zawsze. Przypomina mi się pożegnanie z Francją w czerwcu czterdziestego roku. Czekał się w lesie niedaleko Bordeaux na statek, który miał nas zawieźć do Anglii. Kiedyś pod wieczór przyszło tam ze trzydziestu młodych Francuzów. Krzykali „Precz z Polakami!” — że to niby przez nas zaczęła się wojna — i jeszcze gorsze rzeczy. Przypatrzyło się temu dwóch robotników portowych. Jeden z nich zapytał nas, dlaczego nie reagujemy na te wymysły.

— Bo nie jesteśmy u siebie w domu — odpowiedział mu ktoś.

— A, nie jesteście u siebie w domu. Ale my jesteśmy u siebie, co?

Tamten od razu zrozumiał i podniósł z ziemi zardzewiały żelazny pręt. Dalej było tak, jak w lwowskiej piosence: „Nic nikomu nie mówili...”. Młodzieńcy poczęli szybko uciekać. Robotnicy, nie patrząc nawet w naszą stronę, spokojnie odeszli.

21 lipca

Przenocowaliśmy w Genewie i rano jedziemy dalej, do Włoch. Samochodzik świetnie wspina się na góry, bierze Simplon — przeszło dwa tysiące metrów — na drugiej szybkości bez zagrzaną motoru. Wieczorem przejeżdżamy włoską granicę w pobliżu Domodossola.

Nie byłem nigdy przedtem we Włoszech. To co widzę jest brzydkie i smutne. Nie ma już gór, tylko płaskie, zakurzone pola między miasteczkami, leżącymi jedno obok drugiego. Przeludnienie widać tu gołym okiem. Miasteczka są biedne, domy dawno nie remontowane, z zięjącymi ranami cegieł poprzez wywietrzały tynk. Po ulicach biegają dzieci. I „Vespy”, wszędzie „Vespy”. Te motocykle, robiące straszliwy hałas w nocy i w dzień, bo nie mają tłumików, są plagą Europy. W Marsylii nie dawały mi spać, w Szwajcarii urągały najpiękniejszym widokom i robiły z cichych wiosek wyjące echem po górach tory wyścigowe. Miałem wielką pretensję do ich właścicieli, ale teraz widzę, że w tych nędznych włoskich pół-wsiach pół-miasteczkach motocykle są wielką rozrywką, może jedyną. Posiadacze ich wożą dziewczyny i dzieci, za każdym lata chmara dzieci. Spacerują krótkie, do roku ulicy i z powrotem. Przyglądają się tym prze-

jażdżkom znajomi i krewni, jednym słowem zabawa, wielka zabawa i radość, choć kurz, i ryk motorów, i bez sensu. W Łodzi, za czasów mojej młodości, też było bez sensu. Mówię o welodromach. Mało których rodziców było stać na kupienie synowi roweru, więc chodziło się na welodrom, żeby za dziesięć kopiejek jeździć pół godziny dokoła zakurzonego placu. Przejeżdżka rowerem po mieście kosztowała za drogo i trzeba było zostawiać zastaw.

Po kilku godzinach wszystko się zmienia. Jesteśmy na drodze, idącej wzdłuż Lago Maggiore, i to są już inne Włochy. Jest zielono, pachnąco, reflektory samochodu wyrzucają z ciemności wille i ogrody. Ale zajechaliśmy za daleko. Mapa wykazuje, że jesteśmy w odległości kilkunastu kilometrów od Locarno, Locarno jest w Szwajcarii, a nie chcemy tymczasem wracać do Szwajcarii. Nie wiemy zresztą dobrze, czego chcemy. Postanowiliśmy sobie, że pojedziemy gdzie oczy poniosą, nieskrępowani żadnym planem. Ale w każdym razie do Rzymu, bo jakże można być we Włoszech i nie widzieć Rzymu.

Nie szukamy na mapie drogi do Rzymu, ponieważ wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, a poza tym najprzyjemniej jest jechać jechać i patrzeć, patrzeć, patrzeć. Jest to dla mnie jedna z największych przyjemności w życiu, ale tylko wtedy, kiedy widzę coś po raz pierwszy, kiedy wszystko jest nowe. Czytałem w jakimś grubym dziele, że psychicznie odpoczywa się tylko w tym wypadku, jeśli się widzi rzeczy przedtem nieznane. To ożywia, i zdradza nowe myśli i daje bodźce, a co innego nie. Jest tak pewnie, ale chodzi mi nie o to, a raczej o zaspokojenie głodu ciekawości, który miałem zawsze, a teraz w jeszcze większym stopniu, i który sprawia, że kiedy jadę pociągami i na stacji widzę przez okno inny, boli mnie, że nie mogę być jednocześnie w obu, i że w tym innym nigdy już nie będę, i podglądam ludzi w tym innym, ponieważ bardziej mnie interesują, niż moi towarzysze podróży, pewnie dlatego, że wiem iż nigdy niczego się o nich nie dowiem, a moi towarzysze podróży są dostępni.

Nie już jednak nie widać, nie warto jechać dalej w żadną stronę. Zatrzymujemy się w miejscowości, która się nazywa Pallanza. Nikt tu nie mówi po francusku ani po angielsku, nawet w hotelu, czy raczej hoteliku, naprzeciwko którego, na brzegu jeziora, jest kawiarnia z orkiestrą. Idziemy tam na kolację, ale kolacji nie ma. Są tylko *gelati* i wino. Po raz pierwszy dowiaduję się, że *gelati* oznaczają lody. A *spagetti*? Ostatecznie mogą być *spagetti*. Przynoszą je po dłuższej chwili, tymczasem pijemy wino. Jest ciężkie, trochę cierpkie i bardzo dobre. Tańczą tylko dwie pary, poza tym na sali są jeszcze dwie panie w nieokreślonym wieku, rozmawiające między sobą domowo i powoli, tak jak się rozmawia w niemodnym, tanim kurorcie (hotel jest zaskakująco tani, i kolacja też).

O wpół do jedenastej muzykanci przestają grać i idą do domu. Goście też, bo kawiarnię zamykają. Bulwar nad jeziorem jest całkowicie pusty, gonią się po nim dwa małe koty.

22 lipca

Rano w hotelu otwieram radio. Przywiozłem ze sobą z Ameryki małe radio wielkości dłoni, nowy wynalazek, bo bez lamp, z jedną tylko baterią mniejszą od małego palca. Są już takie w Europie, ale kosztują, nie rozumiem dlaczego, prawie trzy razy drożej. Łapię jakąś włoską stację. Wiedeńskie walce z fałszywym patosem. „Na falach Dunaju”, nieśmiertelne fale Dunaju, jakby we Włoszech nie mieli nic lepszego. Kręcę kółko, nie mam pojęcia, jak to działa; radio, zwłaszcza takiej wielkości, jest dla mnie cudem nie z tego świata. Ale działa. Rzym. Wyraźnie mówią, że Roma. Nadają lekcję języka hiszpańskiego dla początkujących. To już mnie irytuje, choć sobie powiadam, że radio we Włoszech jest dla Włochów, nie dla gości, i że Włosi mają prawo uczyć się po hiszpańsku, jeśli chcą. Ale ja nie chcę, łapię jakąś francuską stację, zdaje się Lyon. Śpiewają piosenki, niektóre znam już z Paryża i z Marsylii, inne są nowe, na każde cztery co najmniej jedna ładna. W Ameryce nie można słuchać piosenek przez radio, ponieważ jakieś 70 procent tych programów wypełniają panowie Hammerstein i Rogers, którzy komponują bardzo złe piosenki. Może trochę przesadzam, ale niewiele. Najwyżej o pięć procent. A ponieważ „Oklahoma” i inne utwory wymienionych panów cieszą się w Ameryce powodzeniem, więc wszyscy kompozytorzy ich naśladują i komponują jeszcze gorsze piosenki.

Postanawiamy jechać przez Mediolan w stronę Rzymu. Znajomy, który tam długo mieszkał, mówi mi, że miasto jest przemysłowe, ani ładne ani ciekawe. Ale mnie do niego ciągnie, po pierwsze przez wzgląd na „Cud w Mediolanie”, po drugie przez respekt dla „Pożegnania z bronią”. Droga do Mediolanu jest wyraźnie brzydka, okazuje się, że we Włoszech wolno szpecić drogi reklamowymi afiszami, które nie są wcale lepsze od amerykańskich. Jest zresztą dużo amerykańskich, po angielsku, specjalnie dla amerykańskich turystów, żeby nie zapomnieli, jaki mają kupić automobil i jakim pędzłem się golić.

Znajomy miał rację. Mediolan nie ma żadnego swoistego charakteru, żadnej własnej duszy. To nie jest po prostu twierdzenie, jeśli się widziało dużo miast, wyczuwa się to po dwóch godzinach. Katedra wygląda na zdjęciach ładniej i potężniej, niż w rzeczywistości. Zresztą, gdyby Mediolan był w innym kraju, to może było by warto go obejrzeć, ale wobec Rzymu, Florencji, Wenecji... Zostajemy tylko tyle ile trzeba, a trzeba dlatego, że benzyna we Włoszech kosztuje dwa razy drożej, niż w Szwajcarii, Szwajcarzy mają najtańszą benzynę w całej Europie, choć nie mają dostępu do morza. Widocznie rząd radzi tam sobie jakoś inaczej, nie żywi się benzyną, nakładając na nią olbrzymie podatki. We Włoszech też nakłada, ale turystom daje kupony na tanią benzynę. Rozmowa z policjantem. Gdzie można dostać te kupony? W Klubie Automobilowym, na takiej a takiej ulicy. Jak

się tam jedzie? Tłumaczy mi powoli i dokładnie. Nie umiem zupełnie po włosku, mimo to rozumiem co mówi, bo wylicza na palcach, która ulica na lewo, która na prawo.

Znajdujemy ten gmach, dostajemy kupony i jedziemy dalej. Robi się gorąco i duszno, przecinamy równinę Po, która słynie z nieprzyjemnej w lecie temperatury. Krajobraz jest nieładny, nużący oko. Angielskie słowo *plain* oznacza jednocześnie równinę i coś brzydkiego, niewyszukanego. Słowa mają swoje uzasadnienie, nie powstają z niczego.

Niedaleko jest kilka większych miast. Wybieramy Parmę, bo Stendhal. Przyjeżdżamy tam wieczorem, zostawiamy rzeczy w hotelu i idziemy oglądać miasto.

Składa się ono z dwóch części. Jedna, koło stacji, jest nowożytna, są tam nowe, ładne gmachy, jest dużo zieleni i skwerów. Widać, że ta dzielnica powstała niedawno, może była tu inna, którą zbombardowano, bo Parma była bombardowana podczas wojny, a wiadomo, że dzielnice w pobliżu stacji kolejowych ucierniały wszędzie najbardziej: w stację trudno trafić, w dzielnice łatwiej. Druga część istnieje od niepamiętnych czasów, bo wiem Parma została założona przez Rzymian i była kiedyś rzymską kolonią. Dowiaduję się o tym z przewodnika, który mnie również informuje, że w mieście jest uniwersytet, założony w 1502 roku, że Parmę nazywano kiedyś włoskimi Atenami i że Kongres Wiedeński oddał to miasto cesarzowej austriackiej Marii-Luizie. Mieszkańców miasta nikt o zdanie nie pytał, od tego czasu mało się na świecie zmieniło. W starej części miasta nie spotyka się już przechodniów, mało tu ich widocznie mieszka. Odnajdujemy Piazza del Duomo. Jest to cudowny plac o idealnych proporcjach, z asymetryczną katedrą i wielką kwadratową wieżą, wcale do katedry nie podobną, jakby z zupełnie innej powieści, a jednak dopełniającą katedrę tak znakomicie, że katedra bez niej nie mogła by się obyć, a wieża bez katedry. Na placu nie ma nikogo. Siadamy sobie na kamiennych schodach katedry, jest cicho, uroczyście i tajemniczo. Dopiero po kilku minutach słychać kroki, szybkie i mocne, które przedrzeźniają echem stare mury. Mija nas pan o rzymskim profilu, o starożytnych, wyrzeźbionych rysach, bardzo pasujący do Piazza del Duomo. Wygląda jak brat albo kuzyn Vittorio de Sica. (Później się przekonałem, że we Włoszech, zwłaszcza w Rzymie, spotyka się uderzająco dużo takich ludzi, że się tam zachowała w jakiś dziwny sposób ta rzymska rasa).

Wracam do hotelu już po północy, którą wydzwonił zegar na kwadratowej wieży. Skwery w nowej części miasta są jeszcze pełne dzieci, krzyczących, biegających, roześmianych. Ich rodzice obsadzili wszystkie ławki, rozmawiają i palą papierosy. Wyglądają biednie, taki jest tu widocznie zwyczaj, że się odpoczywa do późnej nocy na chłodnym skwerze po upalnym dniu, a dzieci trzeba zabrać ze sobą, bo ich nie można samych zostawić. Murzyni i przybysze z Porto Rico — których jest w Nowym

Jorku przeszło pół miliona — też po upalnych dniach przyprawiają ze sobą dzieci na skwery nad rzeką Hudson.

Wszystkie bez wyjątku sklepy są opatrzone żelaznymi żaluzjami, spuszczanymi z góry. Domy wyglądają wskutek tego jak fortece, oczekujące najścia wrogów. Po co te żaluzje? Chronią sklepy przed złodziejami? W Ameryce też okradają sklepy, ale tam wymyślili inny sposób: w nocy są rzeźnię oświetlone, złodziei widziało by się z ulicy. Jeden nowy bank na Piątej Avenue postawił nawet kasę ogniotrwałą zaraz przy wielkiej szybie i nie gasi w nocy lamp. Niech kto spróbuje otworzyć kasę w takich okolicznościach. Tylko że za prąd elektryczny trzeba płacić, żaluzje kosztują taniej.

26 lipca

Zółto-brązowy wir... Taki jest Rzym, niepodobny do żadnego innego miasta, nie troszczący się jak inne miasta wyglądają, nie biorący z nikogo przykładu, w żadnej dziedzinie. Domy są żółte, ale nie krzykliwie żółte, tylko poważnie, pozytywnie, z domieszką rezygnacji, takiego koloru, jak liście, opadające jesienią z drzew. A raczej kolorów, bo liście, jak i rzymskie domy, mają różne odcienie, od bladej-żółtego do brązowego, i nie wywołują, przynajmniej we mnie, uczucia smutku, tylko rezygnacji: trudno, tak zawsze jest i było, lepiej pogodzić się z losem. Między żółtymi domami chodzą, prawie biegają ludzie. Jestem pewien, że w Rzymie ludzie chodzą szybciej, niż w innych miastach. Wydaje mi się też, że Rzym nie ma arterii głównych, którymi przyplływają i odpływają tłumy mieszkańców o przewidzianych godzinach. Tłumy są tam na wszystkich ulicach i biegają we wszystkich kierunkach, o każdej porze, nawet na wąziutkich ulicach bez trotuarów jest tak samo, a na szerszych wieloszezegowe korowody samochodów wypełniają całą jezdnię bez reszty i trzeba przechodzić na drugą stronę pod ziemią, tunelami, bo inaczej nie można. Ulice są kolistę, półkolistę, i stąd wrażenie wiru, nad którym unosi się krzyk miasta, przypominający, jeśli na chwilę zamknąć oczy, szum wielkiego wodospadu. Hałas, który sprawiają głównie, ale nie jedynie, trąbienie samochodów i szczekanie motocykli, jest tak wielki, że na głównych ulicach trudno rozmawiać, nie słyszy się rozmów.

Taki jest parter Rzymu. Nad nim, bardzo mocno i niewzruszenie, stoją gmachy, co krok inny, co krok historyczniejszy. Nie mają paryskiej lekkości. Ale nie są też ani majestatyczne, ani ciężkie, tylko ludzkie i zwykle skromne, bez żadnych zewnętrznych upiększeń. Piękno ich uderza nie od razu, trzeba im się dobrze przypatrzeć i wówczas dopiero można zrozumieć, że polega ono na formie całości i na idealnych, jakby na aptekarskiej wadze sprawdzonych proporcjach. Ale nie wszystkie gmachy są skromne i ludzkie, nie wszystkie przepojone dobrocią, wyciągające ręce do ludzi, by ich wnieść ku niebu. Są i inne.

Surowe, rządzące, w ich kształcie jest rozkaz i groźba: musi być tak i nie inaczej, biada tym, którzy nie chcą się podporządkować i szukają innego dna, innych fundamentów życia.

Jednym z takich gmachów jest pałac, z balkonu którego często przemawiał do tłumów Benito Mussolini. Przypomniało mi się, kiedy na ten balkon patrzałem, często drukowane zdjęcie z dosyć dawnych czasów. Mussoliniego, w meloniku i czarnym palcie, trzymającego za ręce dwóch policjantów, którzy go aresztowali w Szwajcarii za propagandę rewolucyjną, bo był wtedy lewicowym socjalistą. Mussolini patrzy na zdjęciu prosto w obiektyw, jego chuda twarz jest wykrzywiona gniewem, ma otwarte usta, wyraz twarzy zapowiada zemstę. Był wtedy z zawodu murarzem, ale ubierał się po pracy dostojnie, mieszcznisko, nie dojadł, ale melonik i ubranie na miarę musiały być. Był też chciwy wiedzy, dużo czytał, pracował, jak to się mówi, nad sobą. Moje myśli o Mussolinim wywołują wspomnienie bardzo starszej pani, zawsze pogodnej, zawsze twardej w swoich przekonaniach, która Mussolinemu, kiedy był jeszcze lewicowym socjalistą, udzielała lekcji niemieckiego. Z tej pani bije majestat niczym niezakłóconej wiary. Przyszedł kiedyś do niej w Nowym Jorku pisarz, któremu miała dać pewne, historyczne już dzisiaj, materiały. Nie znała go osobiście, spotkanie urządzili wspólni przyjaciele. Przyjęła pisarza w tanim hoteliku, całe życie mieszkająca w takich hotelikach. Rozmowa była krótka:

— Bardzo przepraszam, zanim przejdziemy do rzeczy: czy pan jest marksistą?

— Nie, niezupełnie...

— W takim razie jeszcze raz przepraszam. Bardzo mi przykro.

Na balkonie Mussoliniego stoi mały, może sześciolatek chłopiec z gołymi kolanami. Interesują go w tej chwili wyłącznie gołębie, które udają, że chcą na balkonie odpocząć, ale w ostatniej chwili, jakby się umówiły, odlatują i siadają na gzymsie. Ciekawe, czego o Mussolinim dowie się ten chłopiec w szkole, kiedy trochę wyrośnie. O Lavalu we francuskich szkołach nie jeszcze nie mówią. Szkoda, miał pouczającą biografię, trochę podobną do życiorysu Mussoliniego. Był za młodych lat anarchistą, bronił jako adwokat robotników paryskiego przedmieścia, za darmo, i żył w nędzy. Na kilka lat przed drugą wojną światową kupił wielkie tereny w okolicach Vichy i Clermont-Ferrand, lasy, pola i rzeki, i wszędzie kazał postawić drewniane deszczułki z napisem: „Propriété de M. Pierre Laval”. Zwłaszcza blisko dróg, żeby każdy widział. To była pewnie jego zemsta za nędzę. Później poszedł jeszcze dalej. Mussolini, kiedy go schwytano, wioził ze sobą olbrzymie sumy pieniędzy w różnych walutach, brylanty i kosztowności. Gdzie się kończy ideologia i zaczyna złodziejstwo?

28 lipca

Muzeów ani galerii obrazów nie zwiedzam. Muzeów zasadniczo. Trochę Grecji, trochę Rzymu, trochę archeologii, trochę historii sztuki... Za mało o tych sprawach wiem, żeby mnie interesowały, chciałbym wiedzieć więcej, ale w życiu nie ma czasu na wszystko, i jeśli już wiedzieć, to nie po lebkach. Galerie obrazów mnie nużą, ponieważ, do czego przyznaję się ze wstydem, sztuka plastyczna do mnie nie przemawia. Każda sztuka powinna koniecznie wzruszać, koniecznie emocjonalnie zarażać, inaczej nie jest sztuką. A jeśli ktoś jest pod tym względem upośledzony i nie ma z obrazami i rzeźbami duchowego kontaktu, niech lepiej ogląda co innego. Próbowałem, próbowałem. Pojechałem kiedyś, jeszcze przed wojną, do Dreżna, usiadłem przed Sykstyńską Madonną, która była w oddzielnym pokoju, i siedziałem prawie godzinę. Żeby się zmusić, żeby zrozumieć, żeby wyczuć. I nic, zupełnie nic.

Wydaje mi się też, że obrazy w galeriach są już martwe, galerie przypominają mi trochę cmentarze. Zresztą galerie są i w Nowym Jorku, więc na oglądanie ich w Rzymie stanowczo szkoda czasu.

Tym bardziej że Rzym, mimo swej starości, nie jest wcale miastem martwym ani nawet zmęczonym. Nie może być, bo Rzymianie są bardzo żywi, i poza tym posiadają artystyczne zdolności, sprawiające, że ich rozmowom czy sporom przypatrywałem się z prawie fizyczną przyjemnością, taką, jaką się odczuwa w teatrze, kiedy grają najświetniejsi aktorzy. Rzymian nie można nazwać aktorami, bo przecież każdy aktor, nawet największy, kogoś udaje, kogoś odtwarza. Mimo to rzymskie ulice i kawiarnie często przypominają teatr, i to teatr najwyższej klasy. Policjant zatrzymał dziś motocyklistę, który skręcił w sposób nieprzepisowy. Tak przynajmniej uważał policjant, motocyklista był innego zdania. Poczuli się spierać, mówiąc całym ciałem, pochyleniem ramion, ruchami głowy. Ale nie przesadzali, nie szarżowali, wszystkie ich gesty były wspaniałe, odmierzone w sam raz, a twarze tak wymowne, że nie trzeba było znać włoskiego, żeby zrozumieć co mówią. Nie mogłem się od tej sceny oderwać. Uderzyło mnie, że obaj mają w sobie to, czym można się pochwalić tylko naprawdę wielcy aktorzy: tło, drugi plan. Policjant bronił przepisów, ale twarz jego wyraźnie dopowiadała mnóstwo innych rzeczy: że trudno być policjantem na tej ulicy, zwłaszcza przy takim upale, że mu zostało niewiele lat do emerytury i jeżeli nie ma nawet racji w tym poszczególnym wypadku, ma rację ogólną, spowodowaną mundurem, upalem i faktem, że wszyscy wciąż naruszają przepisy, i że wreszcie do niego należy ich interpretacja, więc już trudno. I motocyklista, podczas gdy mówił, też mu odpowiadał bezgłośnie, że gotów jest przyjąć to wszystko pod uwagę, ale że jeżdżenie po Rzymie na moto-

też nie należy do przyjemności. Ani w Londynie, ani w Nowym Jorku nie widzi się takich scen. Policjanci na ulicach nie wdają się tam w rozmowy, mają nieruchome twarze i są pomnikowo spokojni.

Zamiast chodzić do galerii, jeżdżę tramwajami i przesiaduję na tarasach różnych kawiarni. Jeżdżenie tramwajem jest najtańszym i bodaj że najlepszym sposobem oglądania każdego miasta. Siadam do byle jakiego, jadę do ostatniego przystanku i tym samym wracam. Pierwszy raz, kiedy nie wysiadłem na końcowej stacji, maszynista i konduktor nie wiedzieli co ze mną zrobić, więc odnalazłem w słowniku i pokazałem im słowo „spacerować”. Zrozumieli. Później, jakby się umówili — chociaż to byli inni — rozumieli bez słownika. Robiłem, nic nie mówiąc, kołowy ruch ręką, oznaczający spacer, i to wystarczało. Widziałem przedmieścia, gdzie budują mnóstwo nowych domów, i większość z nich od razu malują na żółto. Domy są przeważnie czteropiętrowe, nie zawsze ładne, ale i nie koszarowe. Przedmieścia są ciche, mało przypominają Rzym, do niektórych jedzie się przez długie, szerokie aleje-ogrody ze starymi, rozrosłymi drzewami. Ale o wiele bardziej niż miastu przypatrywałem się w tramwajach pasażerom, usiłowałem zrozumieć albo wyczuć ich życie. Są na ogół poważni, rzadko się słyszy śmiech, i twarze tych, którzy wracają na przedmieścia po pracy, są zmęczone, od razu widać, że pracują dużo i pewnie w złych, niehigienicznych warunkach. Można też z ich wymownych twarzy odczytać ich troski, ale nie mówią o nich, kobiety nie skarżą się, jak w innych miastach, nie opowiadają niekończących się historii o swoich kłopotach, są dumne, ale i zrezygnowane.

Z tarasów kawiarni widzi się inną publiczność. Na ulicy Vittorio Veneto, prowadzącej do Villa Borghese — nie jest to zresztą willa, tylko bardzo piękny park — kawiarnie z wielkimi tarasami są po obu stronach ulicy, jedna obok drugiej. Dla przechodniów pozostawiono tylko wąski pasek trotuaru. Kawiarnie są zawsze pełne, i w dzień i wieczorem. Jest tam dużo cudzoziemców, ale i dużo Włochów. Mężczyźni są starannie ubrani, o wiele staranniej niż w innych miastach, starannie i elegancko. Nie myślę, żeby któryś z nich dużo lub w ogóle pracował, bo przesiadują w w tych kawiarniach w godzinach dziennych. Są w różnym wieku, złota młodzież, lata średnie i starcy, dzielą się uwagami o przechodzącej publiczności, wśród której jest dużo bardzo ładnych pań. Kawiarnie na tej ulicy za wielokrotnie droższe, niż na innych.

Najprzyjemniejsza jest kawiarnia na Piazza dell'Esedra. Wieczorem gra tam pod kolumnami muzyka i występują śpiewacy i śpiewaczki. Stoliki rozstawione są na placu szerokim wachlarzem, a za stolikami stoi dosyć duży tłum, oklaskujący artystów na równi z tymi, którzy zapłacili za kawę czy lody. Tak, artystów, bo występują tam autentyczni artyści. Nie mają wielkich głosów, śpiewaczki nie są ani bardzo młode, ani specjalnie

przystojne. Ale umieją śpiewać, są nieprawdopodobnie muzykalni i ich precyzyjne wycucie rytmu porównać można tylko z wyczuciem śpiewaków i śpiewaczek murzyńskich w Harlemie. Program jest mieszany, stare, oklepane melodie i nowe, często śpiewane po raz pierwszy (zapowiadają po włosku, ale tyle można zrozumieć). Publiczność też jest mieszana. Trochę cudzoziemców, ale mało, dużo młodzieży, jeszcze więcej starszych osób różnych stanów, lepiej i gorzej ubranych, które karmią się tą muzyką jak chlebem. Wszystko to dzieje się na najpiękniejszym ze wszystkich rzymskich placów, pod granatowym nocnym niebem, które we Włoszech jest rzeczywiście inne, niż wszędzie na świecie. Spędziłem w tej kawiarni mój najprzyjemniejszy wieczór w Rzymie.

29 lipca

Jedziemy pociągiem z Rzymu do Wenecji. Samochód posłany został koleją do Meranu, bo zamierzamy pojechać z Wenecji do Meranu. W Rzymie samochód na nic by się nie przydał, jeździć w obcym mieście nie ma sensu, zwłaszcza w takim mieście, jak Rzym. A do Wenecji nie wolno zabierać samochodów, odbierają je na moście, który łączy Wenecję ze stałym lądem i stawiają do garażu. W Wenecji nie wolno jeździć ani samochodem, ani powozem, ani nawet na hulajnodze. Wolno tylko chodzić pieszo.

Przedział kolejowy udekorowany jest fotografiami Katedry Sw. Piotra. Byliśmy tam poprzedniego dnia. Robi istotnie imponujące wrażenie z zewnątrz, a wewnątrz jest olbrzymia, ale w każdym miejscu inna, kolorowa i inaczej piękna, niby wielki ogród w niebie. Natomiast katakumby wywarły na mnie przykre wrażenie, a Colosseum żadnego. Zle stoi, bez żadnego tła ani ram, dokoła są nędzne, brzydkie ulice i sklepiki i zgrzytają na zakrętach tramwaje. Katakumby wywołały myśli o śmierci. Wczoraj właśnie spadł do oceanu wielki pasażerski samolot, nikt się nie uratował. To jest pewnie jedna z najszybszych śmierci, i najlepszych. Najgorsza jest we własnym łóżku lub w szpitalu, bo z oczekiwaniem jej i chorobą.

W przedziale jedzie z nami trzech posłów z Rzymu, członków parlamentu. Każdy jest z innego miasta i każdy inaczej wygląda. Jeden jest czterdziestoletni, łysawy, chudy, mało mówi, ma potężny, orli nos i mądre oczy. Zgadza się zwykle ze swoimi rozmówcami, ale z uśmiechem, „ty mów a ja zdrów”, wie czego chce i nikt go nie przekona. Naprzeciwko niego siedzi starszy już pan, pobłażliwy *bon-vivant*, taki, co to wypił w życiu dużo dobrego wina, ma świetnie skrojone ubranie i białe, wypielegnowane ręce. Niczemu się nie dziwi, wszystko już pewnie widział, mówi miłym głosem, z na wpół przymkniętymi powiekami. Najżywszy jest trzeci. Silny, męski, kategoriyczny, ponad miarę poważny i był dawniej z pewnością robotnikiem,

co też łatwo poznać po rękach. Ten mówi najwięcej, prawie bez przerwy. Tematem ich rozmowy jest jakiś nowy projekt prawa, dotyczący chłopów. Kiedy *bon-vivant* wychodzi na chwilę z przedziału, mówi o nim z politowaniem, trochę nawet z pogardą, powiada że nie może zrozumieć chłopów, że ich nie zna. Jego łysawy rozmówca nie chce się angażować, kiwa tylko lekko głową. Jego uśmiech wykazuje, że może się zgadza, może nie. Nie wiadomo.

Jego towarzysze wysiadają po drodze, jeden we Florencji, drugi jeszcze gdzieś, i wówczas ten łysawy zaczyna mówić z nami po francusku. Udziela nam rzeczowych informacji o Wenecji i o całych Włoszech. Gadamy tak z pół godziny, po czym, uważając, że już można, pytam go, do jakiej partii należą w parlamencie on i jego byli rozmówcy.

Udaje, że nie wie o co mi chodzi, że nie całkiem rozumiem, i zmienia temat. Ale mnie to bardzo interesuje, więc go pytam jeszcze raz. Czerwieni się za mnie, za mój nietakt. Okazuje się, że popełniłem duży nietakt. Nie odpowiada po prostu nie.

Nigdy się więc już nie dowiem, do jakich partii należeli ci trzej panowie. Z wyglądu i manier nie można było poznać. Byli robotnik mógł być teraz neo-faszystą, arystokrata komunistą, ten trzeci też mógł należeć do każdej bez wyjątku partii. W dzisiejszym świecie zewnętrzny wygląd o niczym nie świadczy.

30 lipca

Nie chciałem początkowo jechać do Wenecji, myślałem, że jest przereklamowana i pocztówkowa. Nie jest. Sprawia niesamowite wrażenie, wrażenie niemożliwości. Przypomina rysunek, który kiedyś widziałem. Mały chłopiec patrzy w ogrodzie zoologicznym na żyrafę i pyta ojca, czy takie zwierzę naprawdę istnieje.

Nigdy nie miałem snów, dziejących się w odległych historycznie czasach. Ciekawe, czy mają je historycy albo czy na przykład Gołubiew rozmawia w nocy z jakąś postacią ze swoich sześciu tomów. Mam wrażenie że nie. Mógłbym nawet wytłumaczyć, dlaczego nie: sny powstają z własnych materiałów, z własnych życiowych pajęczyn, tylko z własnych. Ale Wenecja, zwłaszcza o drugiej nad ranem, jest takim snem. Kanały, których zresztą jest o wiele mniej niż myślałem, nie odgrywają w tym letargicznym widowisku wielkiej roli. Są tylko ciekawostką. Aktorami somnabulicznych zjaw są weneckie ulice, labiryntowe, jakby międzyskalne, wiodące do placyków o formie listków koniczyzny i niewiele od nich większych, istniejących może tylko po to, żeby odetchnąć, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. I z każdego takiego niemal prywatnego podwórca, do którego dochodzi się z myślą, że jest końcem miasta, że za nim nie już nie ma, biegnie nowy wąwóz, tak samo gładko wybrukowany, zwykle tylko jeden, mówiąc szeptem, że niedługo będzie

znowu placyk, i znowu skręt. Czasami te kamienne drogi przecina kanał i wąski most, z którego widać pałace i pałacyki po obu stronach kanału.

Szedłem przez to nocne miasto od Placu Świętego Marka do stacji kolejowej, w pobliżu której był mój hotel, przeszło godzinę. A właściwie szliśmy, bo była ze mną moja towarzyszka podróży. Zasiadaliśmy się na Placu Świętego Marka do drugiej w nocy, a później się okazało, że *vaporetto*, który w dzień kursuje po Wielkim Kanale co kilka minut, właśnie odszedł i na następny trzeba czekać całą godzinę. Można było wynająć gondolę, ale to kosztowałoby prawie piętnaście dolarów, i poza tym gondole tylko w kinie i na pocztówkach wyglądają romantycznie i zachęcająco, i od kanału wiało zimną wilgocią i pachniało też nie nadzwyczajnie. Postanowiliśmy wrócić pieszo, ktoś nam już przedtem powiedział, że można dojść suchą nogą, ale nie wiedzieliśmy jak. Pytaliśmy przechodniów. Włosi o tej porze już spali, po mieście wałęsali się tylko Anglicy, Szwedzi, Amerykanie, Japończycy i naturalnie Niemcy, Niemcy, Niemcy, najwięcej było Niemców i żaden nie wiedział, jak się idzie na stację.

W końcu zobaczyliśmy policjanta, który też wyglądał nie-realnie. Miał zwisające wąsy, duży brzuch i olbrzymią czapę, a pod czapą wesołe oczki. Zaczął coś uprzejmie gadać, ale tak prędko, że nic nie zrozumiałem.

Moja towarzyszka podróży urodziła się w Marsylii. Ojciec jej jest Francuzem, matka Polką z pochodzenia, ale też mieszkającą prawie całe życie we Francji. Moja znajoma w dzieciństwie nie mówiła ani nie rozumiała po polsku i dopiero grubo później, jak to czasami bywa, postanowiła się nauczyć. Trochę się nauczyła, ale niezupełnie. Ponieważ jednak w Marsylii mieszka dużo Włochów, rozumie trochę po włosku, choć też nie zawsze.

— Co on opowiada? — pytam ją.

— Same głupoty — odpowiada po polsku.

Jest to zwrot jej własnego pomysłu, oznaczający, że nie zrozumiała i uważa, że nie warto się wysilać, żeby zrozumieć. Wywołuje on niespodzianą reakcję. Policjantowi rozjaśnia się twarz, uderza mnie w piersi i woła:

— *Po russki goworisz?*

— A ty?

— *Goworim, goworim!*

Umie po rosyjsku tyle co nic, ale mówi po serbsku, pewnie nie gorzej niż po włosku, bo jest Serbem. Teraz już wszystko idzie gładko. Dowiadujemy się, że na stację łatwo trafić, bo ktoś tak mądrze urządził, że ulice, wiodące w kierunku stacji, oświetlone są jaśniej, niż inne. Doskonały pomysł.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Wacław SOLSKI

Pradauna opowieść

Ciemna noc. Wóz jedzie po mału. Trzeszczy i zgrzyta.

Daleko, na scenie tryskają różowe ognie. Wszystko jak z bajki. Przejmujące i nie na serio.

To pali się, zdaje się, miasto ale ona tego nie odczuwa.

Powódź: Stoi na moście, wpatruje się w rzekę, leży na rzece i rzeka płynie przez nią, unosząc domy i ciała krów. Czuje się wzmożona, napęczniała szumem, zahypnotyzowana prądem, uniesiona. To było równie bajeczne, jak rzecz na scenie.

Lotnik niemiecki. Osiemnastoletni chłopiec, w mundurze. Idzie wyprostowany i ludzie, którzy go prowadzą nie robią wrażenia prowadzących. Ma błyszczące, nieprzytomne oczy. W kąciку ust wyraz takiej pobłażliwej wyższości, którą trzeba uznać albo zabić. Gdy mija swoim wzrokiem jej wzrok czuje się na chwilę uniesiona, jak podczas powodzi. Podoba się jej, jak nie z tego świata. Czy dlatego, że niszczy z taką pewnością? Przechodzi ale jest oświetlony jej wzrokiem i długo jeszcze będzie go widać na tle popielatego tłumy.

Znów powraca noc i pije krew. Filip, profesor mikrobiologii byłego uniwersytetu, zraniony odłamkiem, mówi do siebie:

— Kurwa mać, cholera, cholera, kurwa mać — tak w kółko mamrocze.

I potem głośno:

— Niech pani, z łaski swojej, usunie kolano.

Ona siedzi, on leży wsparty o jej kolana. Czuje, pomimo zupełnej ciemności, że głaszcze brodę. Janek i Emil milczą.

Jeszcze wczoraj siedzieli na ziemi i Filip powiedział:

— Trzeba zapomnieć o przesądach bakteriologicznych.

I jedli niemyte jabłka, które smakowały.

Byli już daleko poza miastem, gdy ona wstała z nagłym skurczem przepony. Słońce zachodziło nad miastem kościołów. Zobaczyła przedmioty spadające, potem samoloty. Bomby spa-

dły jak w watę. Nie było słychać wybuchów. Cisza pozostała nietknięta. Usiadła, roześmiała się. Janek zapytał:

— Dlaczego się śmiesz?

— Bo... bo to wygląda wszystko, jak na wycieczce. Na umyślnie.

Nikt się nie odezwał. Po tym poszli do kolejki wąskotorowej, która miała odjechać albo i nie. Pani konduktorowa miała jeszcze zabrać toboły i nie mogła z tym skończyć. W końcu skończyła i odjechali.

Malutka, astmatyczna lokomotywa. Wzrok suwał się i głaszał zieleność.

— Niech pani, z łaski swojej, usunie trochę kolano.

Jadą na przełaj. Tylko koń zna drogę. I szelest kroków tysiąca ludzi w ciemności. Nagle z tyłu wozu słyszy zdyszany, przerażony głos:

— Proszę państwa, proszę mnie zabrać. Od X. idę ciągle pieszo.

Równocześnie Jo czuje po raz pierwszy zapach świeżego i starego potu; zapach wojny. Chwila milczenia. Filip:

— Proszę usiąść

— Jak w X. było z Niemcami? — pyta Janek.

Milczenie, które pogłębiło ciemność.

— Jak z Niemcami...

— Ach... proszę pana.

To „ach” było jak cichy granat. Mówiło o czymś strasznym nieznanym. O końcu świata. Człowiek siedzący z tyłu furmanki dyszał głośno.

Różowe ognie z punktu białego światła spływają w dół na małych spadochronach. Kołyszą się cienie mijanych drzew. Wóz staje. Janek schodzi. Pyta o Niemców. Ludzie uciekają: idą tam i z powrotem. Tam są Niemcy i tu są Niemcy. Wóz rusza i Jo woła:

— Janek!

On chce wiedzieć gdzie są Niemcy.

Jo zamyka oczy i usiłuje sobie przypomnieć co było naprawdę. Zabity koń koło poczty. Maski gazowe, które tu, tu leżą są nie do pojęcia. Uczucie, które miała schodząc ze schodów: — „Nigdy więcej” — leży schowane głęboko.

Stacja pierwszej pomocy, na której pracowała: Nad ranem, podczas dyzuru przychodzi okrwawiony człowiek i mówi:

— Wojna.

W tej chwili wchodzi lekarz:

— Co? Wojna? Pan jest pijany. Opatrunek i zamknąć aż otrzeźwieje.

Wóz staje znów. Potem rusza gwałtownie. Przechyliła się. Jo pyta woźnicę:

— Jakie miasteczko jest po drugiej stronie Wisły?

— Józefów, proszę pani.

Chce koniecznie do tych stron powrócić. Kiedyś. Dlaczego? Bo są tu kaniony i wielkie wyrwy w ziemi. I ludzie, których

spotkała we wsi, wyglądali jak dzicy: Obnażone kobiety. Nie mieli nawet kur. Żywili się korzonkami i kartoflami. Mieszkali w kurnych chatkach.

Zator. Koń stanął. Szum tysiąca ludzi. Janek schodzi. Pyta:

— Gdzie Niemcy?

Ludzie pokazują na wszystkie strony świata. Janek chce koniecznie wiedzieć, gdzie Niemcy. Jo mówi:

— Chodź tutaj, na wóz. Przykryjemy się kocem i nic nie będzie widać i opowiesz mi bajki.

— Oszałałaś?

— Chodź, przykryjemy się kocem i bajki. Proszę.

Janek gorączkowo pyta o Niemców. Wtedy w niej się coś kurczy i zwija:

— Nie chcesz jednej wiecznej chwili, wiecznej?

— Muszę wiedzieć dokąd jechać, w jakim kierunku.

Pogardliwy uśmiech Jo.

Zostaje całkiem sama.

Wóz rusza, ale Janek nie wie, że ją stracił.

Przed nimi wysadzili w powietrze most na Wiśle.

Leo LIPSKI

AMERYKA-ECHO

*Niezależne Pismo Tygodniowe
Pod Nowym Zarządem i Kierownictwem*

Daje poważne i wnikliwe artykuły o Polsce i o pracy dla Polski zagranicą. Dział dla Kobiet, Pogadanki z Czytelnikami, Kącik dla Wszystkich, informacje naukowe, powieści, poezje, humor. Czternaście stron doskonałej lektury. Roczna prenumerata w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie \$7.00, w Europie \$7.50, w Ameryce Południowej \$6.50, w Australii \$7.50.

Wysyłamy bezpłatnie egzemplarze okazowe.

Największa Księgarnia polska w Stanach Zjednoczonych

— Na składzie ponad 270 tysięcy tomów książek.

Posiadamy także przedstawicielstwo książek „Kultury”.

Po informację pisać:
AMERYKA-ECHO, INC.

1154 Nebraska Avenue
Toledo 7, Ohio
U. S. A.

BOGATO ILUSTROWANY TYGODNIK DLA KAŻDEGO
WYDAWANY ŁĄCZNIE Z „DZIENNIKIEM POLSKIM”

“TYDZIEŃ POLSKI”

Co tydzień przynosi artykuły polityczne i naukowe, wiadomości z całego świata, sprawozdania i reportaże z życia Polaków w Kraju i na obczyźnie, opracowania nieznanych rozdziałów najnowszej historii Polski, dwie powieści (Józefa Łobodowskiego i Zofii Guzowskiej), opowiadania humerystyczne i rozrywki umysłowe. Posiada dział pięknej Pani, Gospodyni, Matki; porady lekarskie, kulinarne i techniczne; kącik angielski, dodatek dla dzieci i dział sportowy.

**16 stron interesującej żywej, barwnej, aktualnej
i pożytecznej lektury**

“TYDZIEŃ POLSKI” można zamawiać:
Przedstawicielstwa — prenumeraty — wpłaty:

FRANCJA:

„Libella” — 12, rue St. Louis-en-l'Île — Paris (4)
Librairie Polonaise — 123 Bd St. Germain — Paris (6)

Kwartalnie frs. 520

NIEMCY ZACHODNIE:

St. Mikiciuk — (13 b) München 45, Gablonzerstrasse 7/1

Kwartalnie DM. 6

SZWAJCARIA:

Maria Wasung — 6 rue des Lilas — Genève

Kwartalnie 10 s.

POCZTĄ ZWYKŁĄ

U. S. A.:

P. Opalińska — Polish Book Importing Co.,
38, Union Sq. — New York, N.Y.

P. Józef Białasiewicz — The Polish Publishing Co.,
1455, W. Division Street — Chicago 22, Ill
Kwartalnie (pocztą lotniczą) \$ 4.00

BRAZYLIA:

F. Rokicki — rua Republica de Peru, 305, apt. 18 —
Rio de Janeiro

Kwartalnie (pocztą lotniczą) \$ 4.40

AUSTRALIA:

Vistula (Australia) Pty Ltd, Daking House, Rawson Place
Sydney

Kwartalnie (pocztą lotniczą) £ A 2.23.

Kazanie księdza Badury

Zbierając na tacę podczas nieszporów ksiądz Krzysztof Badura był smutny, albowiem już od dłuższego czasu dochodził niechętnie do przekonania, że jego życie stało się przedmiotem zorganizowanej zemsty jakiegoś fatum czy losu, jeśliby godziło się wierzyć w coś podobnego i jeśliby warto było używać szyfru na oznaczenie zwykłej złośliwości ludzkiej. Ręki Boskiej na pewno w tym nie było, bo Bóg czyta w sercach, a jeśli w nichyczyta miłość ku sobie, to gotów jest pobłażać drobnym ambicjom, które człowiek może wykazywać w tym życiu ziemskim. Ambicje są celowe, skoro celowa jest struktura organizacyjna religii, pragnienie stanowiska w hierarchii kościelnej jest więc jedynie objawem indywidualnej gorliwości i nie ma nic wspólnego z pychą, chociaż z tego rodzaju zarzutami spotykał się ostatnio u dziekana i w kurii.

Zbierając na tacę ksiądz Badura był smutny i bronił się przed samym sobą, jak gdyby bronił się przed konsystorzem, albowiem lubił formułować sądy scholastyczne, na których polegało jego wykształcenie, wmawiające mu słuszność racji wygodnej dla środowiska bez pytania o jej sprawdzalność poza środowiskiem. Już dawno odczuł i zrozumiał, że są jeszcze racje zewnętrzne, służące celom utrzymania gatunku, ale tak daleko jego ambicje intelektualne i interesy nie sięgały. Lubił środowisko, w którym przebywał od blisko dwudziestu lat, i pragnął na nim poprzestać, a tymczasem środowisko zaczęło go w ostatnich latach krzywdzić, spychać coraz niżej, bo kto nie idzie naprzód, ten się cofa. Ksiądz Badura po piętnastu latach kapłaństwa stał dokładnie w tym samym punkcie kariery duchownej, w jakim ją rozpoczął, gdy po uniesieniach święceń i prymicji został wikarym w dużej osadzie fabrycznej. Dziś jest również wikarym, tyle że w innej miejscowości. O ile jednak dawniej, gdy był młodszy, to stanowisko uchodziło za przejaw normalnego porządku rzeczy, a nawet następczo szereg momentów schle-

biających miłości własnej, o tyle z posuwaniem się w lata zaczęło zwracać uwagę jako rodzaj banicji, a stało się już zupełnie nieprzyzwoite, gdy kilka miesięcy temu, po śmierci starego proboszcza, u którego ksiądz Badura był najstarszym i wieloletnim wikarym, przysłano prawie natychmiast nowego proboszcza, tego, który przed chwilą odbeczał „Magnificat”, młodszego o dziewięć lat od swego wikariusza, jak gdyby na miejscu nie było dość godnych. Zaiste, kto nie idzie naprzód, ten się cofa. I dlatego smutny był ksiądz Badura.

Chodził po kościele ciężkim krokiem człowieka już otyłego i zbierając na tacę nie zapominał mimo smutku o taktyce podziękowań za ofiary, której nauczył się od zmarłego proboszcza. Kiedy padała drobna, „wdowia” ofiara, ksiądz Badura nie zauważając ofiarodawcy mówił cicho i jakby zajęty rozmyślaniami: „Bóg zapłać”. Kiedy rzucono ofiarę nieco większą, „bogobojną”, jak ją nazywał zmarły, ksiądz Badura podnosił nieco głos przy wypowiadaniu formuły podziękowania, ale nie wychodził z zamyślenia, dopiero gdy padała ofiara „dyrektorska”, otrząsał się z myślenia i mówił głośno: „Panie Boże zapłać!” Ale jedynie ofierze „pańskiej” towarzyszyła formuła: „Panie Boże Wielki zapłać!” wypowiedziana z siłą celebranta, przy czym dyskretnie pochylenie głowy, uśmiech i szybki uścisk ręki ofiarodawcy w momencie, gdy była przy tacy, stanowił dopełnienie słownej formuły podziękowania. Dzięki gradacji nasilenia wspianego organu, jakim był obdarzony ksiądz Badura, nawet z przeciwnego krańca obszernego kościoła i z trzeciej nawy można było rozpoznać, jakie padały ofiary, gdy on zbierał na tacę. On miał tu wygląd i postawę proboszcza, a nie ten celebrujący przed ołtarzem teologiczny mizerak, na którego wszystkie kapy i ornaty są za duże, a gdy powie kazanie, to nikt nic nie zrozumie, jeśli nawet zdoła dosłyszeć głosik mamroczący pod nosem. No i słuchu nie ma! Zupełna ryba! Śpiewa wszystko na jedną melodię, a przecież ksiądz bez słuchu to jest dopust Boży, to już lepiej, żeby serca nie miał, bo tego przynajmniej nie widać.

Sam ksiądz Badura był tylko słusznego wzrostu, ale masywny i rozrośnięty, o twarzy powiększonej łysiną, białej i mięsistej. Należał do tych ludzi, którzy są raczej śmieszni, dopóki nie włożą munduru, habitu czy pawich piór, które określeniem funkcji społecznej biorą ich w obronę, odwracając uwagę od bryłowości ciał i grubych, jakby niewykończonych rysów twarzy. Jeżeli tych ludzi oglądamy bez czujnej opieki jakiegoś uniformu, to zdumiewamy się, gdy dostrzeżemy w którymś z nich inteligencję lub przeblask indywidualności, tak dalece spodziewamy się po nich czynności seryjnych i odruchowych.

Miejscowy dygnitarz spółdzielczy, a zarazem przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej, który zaczął dość regularnie uczęszczać do kościoła, odkąd dzięki zdobytemu po wojnie stanowisku ożenił się z córką miejscowego patrycjusza, złożył tylko ofiarę „bogobojną”, ale mimo to ksiądz Badura porzucił zamy-

ślenie, powiedział głośno: „Panie Boże zapłać!” i jakby przełotnie opierając się na ręce ofiarodawcy, pochylał się nad nim i dodał szeptem:

— Niechże pan będzie dzisiaj wieczorkiem u teściów. Trzeba by o wielu rzeczach pomówić.

I uśmiechnął się, poszerzając swą wielką twarz do rozmiarów maskarona, który również uśmiechał się nad nim na zworniku sklepienia. Otrzymawszy uśmiech zgody, znów wpadł w zamyślenie i lekko potrząsnął tacą. Był to gest nabyty również od zmarłego proboszcza, ale nie stanowiący już jego indywidualnej własności. Był to gest przechodzący z pokolenia na pokolenie jak odruch postaci charakterystycznej w teatrze. Był to gest oczekujący brzęku monety i drgnęła w nim cała historia systemów monetarnych, gest archaiczny jak etymologia słowa, które zmieniło znaczenie.

„Tandetne i prowizoryczne są czasy — pomyślał ksiądz Badura, nie usłyszawszy dźwięku — których pieniędzy nie brzęczy. To znaczy, że rządzący musi prosić rządzonych o zaufanie, że apeluje do nich zamiast im zaimponować. A jeśli rządzący nie ma nawet czym zaimponować rządzonym, to znaczy, że jest im równy i moment zaufania wykorzystuje do swoich własnych celów, aby porosnąć w piórka. Że pragnie stać się *ex humili potens*, a potem im dopiero pokaże, tym rządzonym. Będzie się rozbił samochodami, tu i ówdzie rezerwy w złocie i obcej walucie pochowa, ubierze się tak pięknie, że go rodzona matka nie pozna, wżeni się gdzie dobrze i nowa arystokracja gotowa, i to z przydomkiem, z którym taki jegomość pałętał się parę miesięcy po lesie, gdy go Niemcy za szmugiel słoniny chcieli przymknąć. Exemplum ten Grot-Białkowski, który pewnie myśli, że mu za jego pomięte dwadzieścia złotych „Panie Boże zapłać” powiedział. Władza bez trzymania fasonu nie da się pomyśleć, a po kiepskim fasonie zawsze można poznać kiepską władzę, chociażby tak, jak dziś u nas. Brak im fasonu, ale mimo wszystko oni dużo mogą, więc należy wziąć od nich przynajmniej tyle, ile oni biorą od narodu. Jeśli się nie da zbiorowo, to chociaż indywidualnie. Pan Bóg nie wymagał od krzyżowców takiej samej moralności wobec Turków co wobec narodów chrześcijańskich, a ci nasi władcy to nowoczesne giaury, gorsze od Marcina Lutra”.

Przyszedłszy do zakrystii ksiądz Badura z trudem zdjął przyciasną nań komżę i nie czekając na koniec nieśporów wyszedł na dwór, aby zaczerpnąć powietrza.

Kościół stał na wzgórzu i całe miasto odwijalo się odeń jak od kłębka. „Orle gniazdo” — powiedział o swej świątyni nowy proboszcz, gdy ją zobaczył po raz pierwszy. I miał dużo racji. Stare bastiony oporowe, już pokruszone przez brzoźki i kaliny, które zagnieździły się w szczybach i szczelinach, rozsadzając korzeniami wietrzejące ciosy, opadały głęboko w dół, prawie niewidoczne wśród bujnej roślinności, a tylko miejscami ukazywały się omszałe głazy, o których trudno było orzec, czy

są ułożone ręką ludzką, czy też rodzime, tak były wielkie i tak nieruchomo wrastały w grunt. Zupełnie nisko rosły wysokie drzewa, topole, buki i lipy, sięgając koronami na wysokość parapetu, którego resztki się zachowały. Poza topolami, bukami i lipami, już wokół placu okalającego kościół, mnożyły się krzaczaste wierzby o liściach mieniających się spodnią stroną w wietrze i słońcu jak kwiat, i tym połyskiem, podobnym niekiedy do drgania wody, zasłaniały widok pod wysokie drzewa. Widziane z dołu i z pewnej odległości wzgórze kościelne przedstawiało sobą wstępującą gradację różnych odcieni barwy zielonej, od srebrzystego migotania wierzb, których zielen była niska, poprzez zielen głęboką lip, topól i buków, do jasnej zieleni brzoźek i kalin, wytryskujących ponad parapet. Na tych obłokach zieleni kościół stał nieco ciężki, romański w swym kształcie zasadniczym, czerwony i widoczny aż po fundamenty z szarego ciosu. Gdyby na obłokach z zieleni ukłękła przed tą masywną budowlą bez wieży jakaś postać, złudzenie podobieństwa do naiwnej ryciny średniowiecznej mającej przedstawiać Parsywala, który upadł na kolana przed Monsalwatem, byłoby zupełnie.

Ksiądz Badura przeszedł zaledwie dwa razy po wałach tuż przy samym parapecie i krótko pomodlił się przed figurą Matki Boskiej, do czego nawoływał po łacinie heksametryczny napis na cokole, gdy już ludzie zaczęli się wysypywać z kościoła, a tuż za nimi pojawił się z ukrywanym pośpiechem młody proboszcz. „Nawet nos ma za mały do okularów — pomyślał z pasją ksiądz Badura — a szaty liturgiczne to zdziera z siebie tak szybko jak chorągiew z kija”. Dzieci zaczęły się ku nim garnąć i całować ich po rękach. Proboszcz przestał się śpieszyć, a gdy fala minęła, rzekł ze smutkiem:

— Nie wiem dlaczego, ale to całowanie w rękę sprawia mi przykrość. A tu czynią to nawet stare kobiety, które mogłyby być naszymi matkami. Trudno przywyknąć do pewnych zaszczytów stanowiska, bo wydają się za duże.

— Ten Grot-Białkowski powiada — odrzekł ksiądz Badura — że jest to wynikiem zbyt długiego obcowania kleru z dworem. Dwór, powiada, znikł jako rzeczywisty czynnik społeczny, ale działa nadal szeregami przyzwyczajenia i uroszczeń u tych, którzy mu służyli. Takim przyzwyczajeniem i uroszczeniem pogrobowców szlachty, jak powiada, jest całowanie księdza w rękę.

— No, takie rozumowanie jest oczywiście złą wolą i popisem niedowiarka, któremu nie tylko hierarchia kościelna, ale i sama religia kościół w gardle stoi.

— Niedowiarkiem, przynajmniej na wierzchu, to on przestał być — rzekł ksiądz Badura, zapalając papierosa i siadając na parapecie — odkąd ożenił się z córką rejenta, ale nie zdołałem go jeszcze przekonać, że kapłan winien być całowany w rękę, bo ja tak uważam. Przelana jest na nas część władzy biskupiej, a to, co my oddajemy księdzu biskupowi, nam się należy od maluczkich.

— Księżu Krzysztofie — powiedział na to proboszcz ojcowskim tonem i nie podejmując dyskusji — po co też ksiądz tyle przestaje z tymi rozmaitymi Białkowskimi? Poza tym — ciągnął zacinając się z delikatności — te karty z nimi... tytoń... wino... Toż to zdrowia szkoda.

— Księżu proboszczu — odpowiedział tym samym tonem wikary — oni nie mają zielonego pojęcia, że wino jest alkoholem, oni piją tylko wódkę. Poza tym zaś jako członek Powiatowej Rady Narodowej, broniący na tym terenie wiary katolickiej oraz interesów Kościoła, muszę z tymi ludźmi przestawać w rozmaity sposób, aby uzyskać na nich dostateczny wpływ.

Proboszcz zaszepił się i w milczeniu poszedł naprzód. Ksiądz Badura niechętnie otrząsał sutannę i mruknawszy, że już ciągnie od kamieni, poszedł za nim.

Wiatr pod wieczór ustawał i ponad przeważnie gontowymi dachami miasta wiał tylko jednostajny i rześwy chłód wczesnej jesieni. Za olbrzymią przestrzenią sfaldowanych i ucichłych pól widać było lesiste garby Gór Świętokrzyskich, przyprószone oddaleniem jak błękitnym dymem, jednostajnym w odcieniu.

Proboszcz zachwycił się tym widokiem, mówiąc, że wczesną jesienią powietrze jest najczystsze i wszystkie plany w naturze występują jednakowo wyraziście, jakby perspektywy nakładane na pionową płaszczyznę, albowiem proboszcz spędził całą wojnę we Włoszech, obejrzał wiele muzeów i lubił posługiwać się manierą języka malarzy.

Ksiądz Badura, który nie znoślił tym silniej widoków natury, im były rozleglejsze, gdyż przypominały mu wszystkie wiatry i słoty rodzinnej wioski w Łysogórach, wysoko położonej na kamienistym grzbiecie między odsuwającymi się lasami i wystawionej na najgorsze wpływy atmosferyczne, ograniczył się do gospodarskiej wypowiedzi, że buki czerwienieją wcześniej, więc będzie wczesna zima. Trzymał się linii układnej obojętności, bo już zaczynał się domyślać, o co chodzi.

Wreszcie proboszcz wybuchnął.

— Księżu Krzysztofie — powiedział lekko sepleniąc, co było u niego znamię irytacji — jest życzeniem władz kościelnych, aby ksiądz złożył mandat członka Powiatowej Rady Narodowej.

Ksiądz Badura przydeptał nogą niedopałek papierosa i jeszcze bardziej zobojętniał. Chciał coś powiedzieć, ale tylko wydobył nowego papierosa zamaskował machnięciem ręką i już paląc zapytał zwięźle:

— Kiedy?

— Jak najprędzej, chociażby od jutra.

— To się nie da zrobić. Tam jest ustalona kadencja, której okres szkoda by było stracić.

— Ktoś inny z duchowieństwa wejdzie na to miejsce.

— Obawiam się, że nie. Wykorzystają moment i nie dopuszczą już nikogo. Utracimy możliwość rozsądnego łagodzenia wielu spraw szkodliwych dla Kościoła.

— Ależ ksiądz ma wpływ na nich. Można by ich przekonać, że wobec przeniesienia księdza do innej miejscowości...

— No, aż tak wielkiego wpływu mieć nie pragnę i nie mam — przerwał szorstko ksiądz Badura — a o przeniesieniu jeszcze nie słyszałem. W tej sprawie byłbym wezwany do kurii albo przynajmniej do dziekana. A poza tym chciałbym zapytać, dlaczego mam złożyć mandat.

— Dlatego, że bratając się z nimi, ksiądz daje się tym ludziom powodować.

— Czy to jest oficjalna opinia władz i czy ksiądz wypowiada ją w tej chwili oficjalnie jako mój przełożony?

— Tak daleko nie chciałbym sprawy posuwać — przestrzyszył się trochę proboszcz, nie miał bowiem jeszcze żadnych ostatecznych nakazów z góry. Zalecono mu jedynie, aby wziął wikarego pod obserwację i skłonił go do złożenia mandatu członka Powiatowej Rady Narodowej, albowiem dochodziły słuchy, że swym zachowaniem, które z trudem można by wybaczyć kapelanowi wojskowemu, sieje w mieście zgorzniecie, a poza tym wobec ludzi nowego porządku, z którymi współpracuje w Radzie i w szeregu innych instytucji społecznych, jest systematycznie ustepliwy, jakby miał w tym jakiś cel osobisty lub wrogi Kościołowi. Proboszcz uznał to za doskonałą okazję do pozbycia się wikarego, którego nie cenił dla wad umysłu i charakteru, a nie znosił za popularność. Ksiądz Badura potrafił spocić się na ambonie i rozkołysać tłum na kościele aż do szloch, chociaż mówił ordynarnie i wymyślał parafianom jak karbowy, a tymczasem cichym i rozmownym kazaniem proboszcza towarzyszył tylko ów krzątający się koło siebie szum i uroczyste czyszczenie gardel, co w kościołach wiejskich i małomiasteczkowych nazywa się milczeniem. Raz nawet, gdy proboszcz zrobił retoryczną pauzę, rzeźnik Pawiński, prezes parafialnego kółka śpiewaczego, zaintonował na cały kościół „Boże coś Polskę”, na co był przewidziany czas tuż po kazaniu. Chociaż dość młody, proboszcz był człowiekiem rozumnym i zdawał sobie sprawę, dla jakich powodów nie lubił księdza Badury, ale z miłością własną jest tak jak z zabobnem: zrozumienie mechanizmu jej sprężyn wcale od niej nie wyzwala. Poza tym proboszcz miał nieugięte zasady, wśród których miłość własna i egoizm chętnie szukają i łatwo znajdują sprzymierzeńców. Może właśnie dlatego, że chodzi na szczytach nieugiętych zasad, sprawiedliwość tak bardzo jest nieludzka i tak często upodabnia się do zemsty. Ale w środowisku, którego moralność opiera się na jakimś systemie metafizycznym, nieugięte zasady są niemożliwe do zdemaskowania, dopóki obowiązują sam system, nieugięte zasady stanowią tu więc rezerwę przyjaznych usprawiedliwień, ilekroć pragniemy dać bliźniemu tego po grzbiecie. Do nich właśnie sięgnął młody proboszcz.

— Tak daleko sprawy nie chciałbym posuwać — powtórzył, na pozór zapatrzony w dalekie lasy, nad którymi słońce świeciło żółknącą przed zachodem tarczą — tak daleko nie mogę jej w

tej chwili posunąć, ale — odwrócił się od krajobrazu i bystrym wzrokiem zmierzył wikarego — jako duszpasterz tutejszej parafii nie mogę równie tolerować, aby podwładny mi kapłan, pomazaniec Boży, noszący w sobie jakby cząstkę wielkości namaszczonego królów Starego Testamentu, świecił złym przykładem, ukazując się zbyt często w towarzystwie osobistości, które zaprzedały się wrogom Kościoła dla zgubnych uciech władzy.

„Ten mi chce dać łupnia!” — pomyślał ksiądz Badura i posmutniał na dobre, tracąc wszelką ochotę do obrony.

Proboszcz natomiast poczuł, że wobec tego starego wygi, za jakiego uważał księdza Badurę, jego słowa brzmią nieco fałszywie. Postanowił więc być konkretniejszym.

— Wiadomym jest w kurii — rzekł, przybierając ton hობowo komunikatywny — że na krótko przed moim tu przybyciem ksiądz, jako pełniący obowiązki proboszcza, wziął oficjalny udział w zjeździe powiatowym jakichś partyzantów niepewnego autorytetu, w przemówieniu na tym zjeździe wobec blisko dwóch tysięcy osób przyznał rację jednemu z mówców, że Stołica Apostolska miałaby obecnie cały świat u swych stóp, gdyby — porzucając dyplomatyczne milczenie — opowiedziała się podczas wojny przeciw hitleryzmowi, a następnie nadużył alkoholu po części oficjalnej na bankiecie i pozostawał tam mimo wznoszenia toastów na cześć kościoła narodowego i adwentystów, w wyniku czego obie te przewrotne sekty mają dziś w naszym mieście swe placówki. Jak mi się zdaje, kuria uznała te rzeczy za wystarczający powód, by księdza przenieść w trybie przyspieszonym, a zarazem zastanowić się głębiej nad rozmiarami właściwej kary i pokuty.

Ksiądz Badura znieruchomiał już od dawna. Poczernieniawszy i przymrużywszy swe i tak male oczy wyglądał teraz na zacieklego i gotującego się do ataku chłopca, jakim bywał jego ojciec, gdy na swym kamienistym poletku ujrzał bydłę w szkodzie. Nie drżał, ale był cały w napięciu i pięści przyłożone z obydwu boków do piersi miał tak zaciśnięte, jak gdyby chciał uderzyć. Proboszcz cofnął się, niedwuznacznie zaniepokojony, ale ksiądz Badura machnął tylko siarczyste rękami, parsknął zatajonym przez dłuższą chwilę oddechem i długim krokiem odszedł bez słowa ku drodze, wiodącej ze wzgórz kościelnego ku okalającemu je placowi z budami i straganami. Po kilkunastu krokach zatrzymał się, obrócił wielką i czerwoną twarz ku proboszczowi, machnął jeszcze siarczystej ręką i znowu poszedł dalej.

Ale gdy doszedł do figury Matki Boskiej z heksametrycznym napisem na cokole, stojącej na przegubie drożki, ukląkł na obydwie kolana i łapiąc jakby dla podpory lewą ręką gałązkę trzmieliny, na której pękały już z dojrzałości różowe jagody, odmówił tubalnym głosem: „*Misereatur mei omnipotens Deus et dimissis peccatis meis perducatur me ad vitam aeternam, amen*”. Po czym wstał i z odległości dobrych czterdziestu kroków zaczął

krzyczeć ku proboszczowi tak głośno, jakby mówił kazanie. Gwar na dole wokół kramów i straganów przycichł, a ludzie zaczęli się wysuwać ku brzegowi placu, aby widzieć ponad drzewami.

— W zjeździe — unosił się ksiądz Badura — wziąłem udział, bo tam bez obecności kapłana wszystko poszłoby sto razy gorzej niż poszło. Wiedziałem, że szykują introdukcję świadków Jehowy do miasta, więc świadek Jezusa Chrystusa winien był mocą osobistego wpływu i powagi stanowiska im się przeciwstawić. Na zjeździe nie wyklinałem i nie zabrałem stamtąd brzucha w troki, gdy się zaczęli zacietrzewiać, bo to mogłoby mnie tylko ośmieszyć i sprawie zaszkodzić, a pozostawszy — ja sam miałem możność wiele rzeczy ośmieszyć i wielu zacietrzewionych otrzeźwić. To nie byli partyzanci niepewnego autoramentu, to byli chłopcy i mężczyźni, których znałem, gdy bywałem u nich w lesie za pozwoleniem księdza biskupa jako ich kapłan, a wtedy więcej kibice z miasta wmawiali im różnic, niż oni sami czuli między sobą w lesie. To byli wtedy prawdziwi krzyżowcy, śpiewający piękne pieśni, aby Bóg skruszył ten miecz, którym siecze kraj — a Ojciec Święty stał już nieraz na czele krzyżowców, więc nie wiadomo, czy by było źle, gdyby i tym razem był z nimi. To nie jest sprawa dogmatyczna, więc tu wolno, mieć swoje poglądy.

Zbiegł już parę kroków dróżką w dół, ale jakby przypominając sobie rzecz najważniejszą, powrócił na przełęcz koło figury i wykrzyknął jeszcze:

— A Świętych Dnia Siódmego wykurzę z miasta, tylko niech mi ksiądz nie psuje roboty!

Zszedł między niedzielne stragany z barwionymi cukierkami i kramy z paciorkami, w których odbijało się słońce. Sapał jeszcze, ale już się uspokajać, miedląc dobrotnie uszy chłopaków zostawiających na jego rękach smak niedojedzonych słodczy. Posłał jednego z nich po pelerynkę i już zupełnie uspokojony, choć smutny, udał się dużo za wcześnie na spotkanie z Białkowskim, aby nie być w tej chwili pod jednym dachem z proboszczem.

Gdy doszedł do rynku, słońce dotykało już granatowego pasa dalekich lasów. Rynek zaszedł w cień, nawet piętrowe domy nie ukazywały odbłasku w oknach. Ktoś kręcił koło u studni, ktoś śpiewał fałszywie, pobrzękując fajerkami, ktoś pijany nie dał się wnieść do domu, świnię pochrząkiwały tak blisko, jakby w mieszkaniach. Romantyzm niedzieli w małym mieście, do którego można się było dostać jedynie po długich godzinach oczekiwanego na dworcu węzłowym i jazdy wąskotorówką, rozłamywał się na składniki banalne, jak gdyby ukazywały się porzewiałe sprężyny zużytej kanapy.

W swym przygnębieniu ksiądz Badura odczuł tę banalność, która mu zazwyczaj nie przeszkadzała. „Gdyby tak połączyć to ludzką koleją ze światem — pomyślał — przeżyć albo i przebudować tę setkę domów śródmieścia, z których wychodzą reu-

maty, wspominający przede wszystkim zapach wilgoci, gdy myślą o rodzinnym domu, położyć równe bruki i płyty chodników, zbudować na rynku studzienkę z granitowym świętym Janem albo wodotrysk otoczony pyzatkami dziećmi z brązu, jak to się widzi na Zachodzie, to by się zaraz przyjemniej zrobiło”.

Chciał doszukać się jakichś jeszcze nie odkrytych powodów, dla których my tego wszystkiego nie robimy, ale nie szło mu z myślami, bo gdy spojrzał na stojący wysoko kościół, który w głębokim cieniu najbliższej okolicy jeden jedyny był jeszcze do połowy oświetlony słońcem, zebrało mu się na prawdziwy płacz. Ileż nadziei łączył z tym kościołem, noszącym nadal, choć już tylko zwyczajowo, tytuł Prześwietnej Kolegiaty! Parę miesięcy temu, już po śmierci starego proboszcza, przybyła z rodzinnej wsi księdza Badury kompania mężczyzn i kobiet na doroczny odpust. Byli czołobitni, tytułowali go księdzem proboszczem i zapraszali na misje do siebie. Nie widziano powodu, aby nie został proboszczem. Był tu przez wiele lat pierwszym w randze wikarym, drugi bowiem stanowił zawsze siłę jak gdyby „praktykującą” i był zmieniany przeciętnie co dwa lata. A tymczasem oczekuje go przeniesienie, pokuta i kompromitacja w czterdziestym drugim roku życia!

Notariusz mieszkał w najkrótszej z czterech uliczek, które odchodziły od rynku i wraz z rynkiem stanowiły właściwie całość miasta, to bowiem, co ponadto do miasta należało, chociaż liczniejsze co do ilości zabudowań i mieszkańców, przedstawiało już tylko gmatwaninę przedmieść o uliczkach nawet nie zabrukowanych, jeżeli nie liczyć szos wylotowych.

Najkrótsza z ulic była zarazem najbardziej reprezentacyjna, tu bowiem mieścił się dwupiętrowy gmach starostwa, gimnazjum i liceum, komenda miasta, spółdzielcze placówki handlowe, ładne domki i wille jednorodzinne w ogrodach (wśród nich wesoło podciągnięty pod dach z czerwonej dachówki własny dom księdza Badury) oraz dawny kościół prywatny rodziny o historycznym nazwisku, której olbrzymie niegdyś latyfundia uległy w tych stronach ostatecznej likwidacji już kilkadziesiąt lat temu. W czasach zaboru Rosjanie przerobili ten kościół na cerkiew, nadbudowując olbrzymią rotundę bizantyjską, po pierwszej wojnie światowej natomiast urządzono tu kościół garnizonowy dla wojska polskiego. Przed najazdem niemieckim miał on swego kapłana, który jednocześnie pełnił funkcje samodzielnego proboszcza dla rodziny wojskowej, sięgającej przy obfitszym poborze nieraz trzech tysięcy głów. Ponieważ wojska było obecnie o połowę mniej, a poza tym — co stanowiło tajemnicę poliszy-nela — władze wojskowe nie mogły uzgodnić z kościelnymi osoby kandydata, przeto kościół nie posiadał własnego kapłana, podlegał administracji proboszcza Prześwietnej Kolegiaty i nosił tytuł filialnego, ale odprawiały się w nim wyłącznie niedzielne msze z kazaniem dla wojska, ponieważ liczącemu niespełna dziesięć tysięcy mieszkańców miasteczku powiatowemu olbrzymi kościół kolegiacki z proboszczem i dwoma wikariuszami całko-

wicie wystarczał, zwłaszcza że niektóre przedmieścia, powstałe z dawnych wsi, tradycyjnie należały do dwóch pogranicznych parafii wiejskich, chociaż administracyjnie wchodziły w skład miasta.

Ulica K-cka była więc krótka i nie miała większych szans rozwoju, albowiem tuż za kościołem garnizonowym rozpoczynały się tereny wojskowe, porośnięte rowami ćwiczebnymi i nie używanymi obecnie strzelnicami. Wąski pas podniszczanego asfaltu przechodził w bitą drogę, biegnącą przez puste place ćwiczebne, a dopiero na horyzoncie widać było nieskończone, jak się stąd zdawało, zabudowania koszar i bloków mieszkalnych wśród suchych łąk i zagajników.

Ksiądz Badura obszedł kościół garnizonowy naokoło, końcem dużego trzewika odbił tu i ówdzie osypujący się tynk, podniesionym z ziemi kijem domknął jakieś okienko i z tym kijem, jak pielgrzym z laską wszedłszy na obszerne schody popróbował już po gospodarstwu, czy drzwi między dwiema kolumnami są dobrze zamknięte. Popatrzywszy na wyniosłą Kolegiatę, gdzie świecił się jeszcze w słońcu tylko najwyższy rąbek krzyża, odrzucił kij daleko w trawę i westchnął, po czym wprost ruszył ku willi notariusza.

Zastał liczniejsze zebranie niż się spodziewał i doznał rażącego olśnienia ujrawszy, że są prawie wszystkie osoby, których dziś potrzebował. Musiało zaistnieć coś dlań korzystnego, bo starosta powitał go słowami *fortes fortuna adiuvat*, a pułkownik uśmiechnął się przyjaźnie. Tylko Białkowski, ta zjadliwa i wyrachowana „szara eminencja”, spojrzał na niego z powagą i lekko zmarszczywszy brwi, zacisnął aż do zupełnego zaniku swe wąskie wargi.

Siedziiano już przy stole i ksiądz Badura dostał wysokie miejsce między panią domu a starostą, który pochyliwszy się za plecami pułkownika ku Białkowskiemu, tak że trzy głowy zetknęły się ze sobą, rzekł półgłosem, że należałoby już wypić zdrowie nowego kapelana wojskowego.

— Za wcześniej, należy jeszcze omówić szczegóły — odrzucił Białkowski i skrzywił się raczej grymasem dolnej szczęki niż uśmiechnął, albowiem charakteryzował się na Robespierre'a, chociaż dolną szczękę miał cofniętą.

Ale już ich zakrzyczano, bo po kilku kolejkach pomarańczówki hamulce działały tylko na tyle, aby podkreślić swe istnienie, a nie na tyle, aby spełniać swą rolę. To gospodarz, któremu ksiądz Badura chrzczył w domu młodsze dzieci i święcił stół na Wielkanoc (stary proboszcz był od wielu lat obłożnie chory), wznosił bardzo głośno toast na cześć „kochanego przez wszystkich księdza Krzysztofa Badury, nowomianowanego kapelana garnizonu, kapitana wojsk polskich, a wkrótce proboszcza parafii garnizonowej pod wezwaniem Królowej Korony Polskiej”.

Wśród okólnego poruszenia głosów ksiądz Badura podniósł nad stołem twarz rozjaśnioną szerokim i dobrodusznym uśmiechem maskarona w Kolegiacie, podczas gdy mięsistymi rękami

i ciężkim tułowiem stylizował gesty głębokiego zdumienia i wyniosłej niechęci, jak gdyby mówił: „*Quid tibi vis, satanas? Vade post me!*” A nachyliwszy się do pani domu, szepnął:

— Chcą mnie skrzywdzić, ale nie wiedzą, co czynią, więc Pan Bóg im wybaczy. Kto przywdziewa suknię duchowną, ten wyrzeka się uciech tego świata, a przyjmuje wszystkie jego gorycze, aby służyć Bogu. Ci ludzie — wskazał oczami na grupę dostojników cywilnych i wojskowych — gubią się bez Boga, albowiem pycha wspomagana modnymi dialektykami nie pozwala im się przyznać, że Go pragną. A przecież oni mają wpływ na losy narodu, należy więc sprowadzić ich na powrót do Boga, należy w tym celu z nimi obcować, choćby to łączyło się dla kapłana z upokorzeniem.

— Całą duszą będę popierała tę sprawę, chociaż mi ksiądz dla nich szkoda — odrzekła wzruszona gospodyni, albowiem stare kobiety łatwiej wzruszają się górnym frazesem niż widokiem prawdziwego nieszczęścia.

Wrzawa już cichła i ksiądz Badura, dzwoniąc srebrną cygarniczką w nóżkę kryształowego kieliszka, doszedł do głosu.

— Rzeczą kapłana — rzekł, nadając swej twarzy powagę wiejskiego świątka, któremu wieloletnie deszcze i burze zatępiły wyrazistość rysów — jest służba Bogu i ludziom, a ludzie to jest w pierwszym rzędzie naród. Służyłem Bogu i narodowi, kochając Polskę żyjącą w sercach żołnierskich po lasach, gdy najechał na nas wróg, chętnie pozostałbym z żołnierzami podczas pokoju. Władza świecka, o ile dobrze zrozumiałem, wyraziła na to zgodę. Jeżeli zgodę wyrazi również władza kościelna, od której zależy i posłuszeństwo wobec której było zawsze radością mojego życia, nie uchylę się przed przyjęciem obowiązku kapłana i poświęcę im wszystkie siły mojego życia. Ten toast wzniosę na wieczną zgodę między władzami Kościoła i państwa, co oby się spełniło!

I wypił kieliszek do dna.

Po kolacji długo na osobności koło pianina rozmawiał z Białkowskim. Poza kręgiem głównego światła twarze ich były mało widoczne.

— Ja wiem — mówił Grot — że ksiądz powie: jestem z ludu, więc jestem z ludem. Ale nam chodzi o rzeczy konkretniejsze. Nam chodzi o to, aby nasza robota kulturalno-wychowawcza miała auspicje, aby na przykład ksiądz katolicki odwiedził raz na tydzień naszą ochronkę, aby ksiądz poświęcił kamień węgielny pod budowę nowego Domu Spółdzielczego i aby ksiądz celebrował doroczny Dzień Spółdzielczości. W tej miejscinie, oddalonej od centrów i zacofanej aż do zupełnej ciemnoty, byle Rembosz lub Chlebosz stawia znak równości między kulturą a chrześcijaństwem, jak za czasów szkoły klasztornej. Nie lubię porównań i koziolków poetyckich, ale doprawdy czasem wydaje mi się, że tu czas rzeczywiście stanął, więc wszelka robota kulturalna da się rozpocząć tylko od punktu, w którym ten czas stanął.

— Dopóki ta robota nie stanie samodzielnie na nogi — wtrącił, nie wytrzymał, ksiądz Badura, ale po robespierrowskim grymasie Białkowskiego poznał natychmiast, że wskazana jest jak najdalej posunięta ostrożność, jeżeli nie chce popsuć sobie sprawy. Ukazał więc ponownie pustą i bez najmniejszego wyrazu twarz kamiennego świątka, któremu deszcze zatęrzyły rysy, i dodał: — Jakby powiedział nasz nowy proboszcz.

— Teolog! — skrzywił się Grot, stosując popularne już przezwisko proboszcza. — Wiem, że ksiądz ma z nim na pieńku, ale z nim nikt nie dojdzie do ładu. Przypomina tego uczonego, któremu kazano rozplątać kłębek, a on, zamiast poszukać końca, szarpnął za pierwszą nitkę z brzegu i zaciągnął wszystko na dobre.

Ksiądz Badura ukazał na chwilę twarz maskarona, tak określenie wydało mu się trafne.

— Z nim się nie da pracować — ciągnął Białkowski — on swego nie robi, a nasze popsuje, o ile tylko będzie mógł.

— Będzie mógł — ścisząc głos, ale twardo rzekł ksiądz Badura — bo zostanie sam na placu. Powiedział mi dziś, że na skutek doniesień, które, jak się domyślam, pochodzą w przeważnej mierze od niego samego, jestem źle widziany u biskupa za współpracę z lewicą. Oświadczył mi na koniec, że mam złożyć mandat członka Powiatowej Rady Narodowej w godniejsze ręce, ponieważ zostanę przeniesiony w trybie przyspieszonym.

Przyzwyczajony do używania dolnej szczęki jako zasadniczego elementu mimicznego, Grot-Białkowski aż przesunął ją ku tyłowi w ramach naturalnego układu swej twarzy, tak był zdumiony. To, co usłyszał, wydało mu się podejrzaną szczerością, albowiem stanowiło rzadko w ogóle spotykany objaw niesolidarności zawodowej, a już zupełnie niesłychany na tle środowiska tak ekskluzywnego i karnego, jakim jest duchowieństwo. Czyżby to był ksiądz na złej drodze, ksiądz pod groźbą zasuspendowania? Wtedy byłby mu zupełnie niepotrzebny i nie budziłby nawet litości.

Zapomniałszy o charakterystyce, patrzył na księdza Badurę mocno zdetonowany, a jego normalnie ułożona twarz, sucha i z płonącymi oczami, stała się nawet przyjemna. „To musi być dobry kogut, choć patrzy teraz na mnie jak cielę na malowane wrota. Czy mówią za niego, a ta podstarzała rejentówna niezły zrobiła interes” — pomyślał ksiądz i jeszcze bardziej cofnął z twarzy wszelki wyraz, jak gdyby rysy jego zaszły zupełnie w kamień, z którego zrobiony był świątek, a tylko małe wypukłości wskazywały, że to niegdyś była twarz. Półmrok sprzyjał wrażeniu.

— Dlatego mam poczucie pewnej nierealności naszych zamierzeń — nawiązał ksiądz spokojnie i ze smutkiem — i dlatego przy stole mówiłem warunkowo o zgodzie władzy kościelnej, chociaż dwa tygodnie temu, gdyśmy po raz pierwszy o tych sprawach rozmawiali, z tej strony przeszkody zdawały się nie istnieć. Pan ma dobrą wolę, panie Stanisławie, więc czuję się

w obowiązku pana uprzedzić. Żal mi, że Dzień Spółdzielczości według wszelkiego prawdopodobieństwa będzie musiał odbyć się bez mszy polowej, ponieważ ksiądz proboszcz swego udziału na pewno odmówi. Obawiam się zarazem, że wszystko wypadnie znowu tak nagle i z takimi szkodliwymi plotkami, jak w roku ubiegłym, gdy bliski już śmierci świętej pamięci ksiądz proboszcz zakazał mi katarycznie celebrowania mszy świętej polowej na waszym święcie. Cóż, mści się na mnie fakt, że usiłowałem znaleźć język porozumienia z lewicą.

Grot-Białkowskiego poruszyły te słowa księdza Badury aż do ostrej irytacji. „A więc wszystko na nie!” — pomyślał z pasją. Znowu rzeźnicy poszczują mu szczeniaków na pochod, znowu gruba Waliszewska, która już odsiedziała zeszlóroczny psikus i wyszła dopiero co z kryminału wcale nie skruszona, postawi w oknie na trasie pochodu wiadro ze śmieciami, usunąwszy przedtem pelargonie i laki, a potem rozpuści po mieście przysłowie jeszcze dziś go prześladowające: „Z śmieciaś powstał, w śmieć się obrócisz!” Koalicja kupców i kleru jest nie do przewyciężenia. Trzeba by chyba całe miasto wvaresztować i nawieźć innych ludzi. Kler jest siłą złowrogą, ale nią jest, i dlatego trzeba się z nim liczyć. Znowu puszcza porłoskę, że pochod spółdzielczy odbywa się bez księdza jak żydowski pogrzeb albo psie wesele, a wyrostki będą krzyczeć z drzew: „Oddajcie marmoladę! Oddajcie Unrre!” Znowu ochronka opustoszeje, i wszystko trzeba będzie montować na nowo.

Dumny i chytry partyzant Grot zapomniał o księdzu, chociaż jeszcze wciąż patrzył na niego. Był bliski rozpacz i ciśnięcia jakimś sprzętem o ziemię, gdy — jakby gdzieś z daleka — usłyszał słowa księdza Badury:

— Chyba że mi dacie w ręce jakieś atuty wobec księdza biskupa. Zamiast tych, które straciłem we współpracy z wami.

— Jakie? — zapytał krótko i zaczepnie Grot.

— Należałoby pomóc narodowcom i adwentystom do zabrania manatków z miasta, bo w kurii panuje przekonanie, że to moja ustępliwość we współpracy z urzędzeniami lewicowymi doprowadziła do tego, że się tu zagnieździ.

— To by się dało zrobić — odrzekł Grot wśród namysłu i wysunął po robespierrowsku brodę, gdyż w obliczu nowych pociągnięć strategicznych odzyskał w jednej chwili werwę — Byli nam potrzebni jako przeciwwaga. Przy jakiej takiej współpracy z klerem stają się elementem, że tak powiem, ideologicznie deficytowym. Może nie w jednej chwili, ale stopniowo, bez zwracania uwagi, to dałoby się zrobić.

— Pierwsze kroki trzeba by uczynić zaraz, żeby mieć jakieś argumenty, gdy pojedę do księdza biskupa. A należałoby z wyjazdem nie zwłóczyć, skoro do Dnia Spółdzielczości mamy niespełna miesiąc.

Grot-Białkowski rozważał, manipulując nadal dolną szczęką.

— Pierwsze kroki trzeba by uczynić... — powtórzył za księdzem. — Pierwsze kroki dałoby się uczynić nawet jutro...

Można by cofnąć adwentystom nakaz kwaterunkowy na remontujący się dom, przeznaczony na kaplicę i kuchnię charytatywną dla nich.

— O! — potwierdził ksiądz. — Można by im powiedzieć, że w ubogim i zniszczonym przez wojnę mieście wylonili się potrzeby naglejsze. Niech im Ameryka zbuduje, skoro taka bogata. Święci Dnia Siódmego od sabatu czarownicy!

Grot milczał, przebiegając palcami po zamkniętej klawiaturze. Ksiądz nie doczekał się propozycji co do reprezentantów Kościoła Narodowego, więc rzekł sam:

— A narodowców można by z Orfeum, gdzie sala jest jakby stworzona na świetlicę, przenieść do bóżnicy, która jeszcze da się używać, dopóki słoty nie nastaną. Zobaczmy, czy tam wtedy kto pójdzie.

Kołysząc się wahadłowym ruchem na śrubie taboretu od pianina, Grot w milczeniu przecząco potrząsnął głową.

— W każdym razie mógłby się ktoś upomnieć o salę Orfeum — nastawał ksiądz kusząco. — Przeniesienie ich z centrum miasta, z najlepszej kamienicy w rynku, gdzieś trochę dalej wywarłoby swoje wrażenie. Miałoby swój wpływ psychologiczny — dodał kładąc nacisk na ostatnie słowo, jak gdyby chciał dać do poznania, że docenia naukową teorię zjawisk.

Grot skinął powoli głową i dokonawszy na śrubie taboretu nagłego półobrotu, podrzucił nogi, jak gdyby przeskakiwał przez burzę, i poszedł do stolika, gdzie siedział przy kartach starosta z pułkownikiem. Ksiądz zasunął się w gondolkę koło pianina i położył spokojnie wielkie ręce na kolanach. Po niejakiem czasie otrzymał potakujące gesty od stolika. Grot powrócił i rzekł:

— Dobrze, ale pragnę dać wyraz przekonaniu, że nie prowadzimy gry. I pragnę wypowiedzieć sentencję, że odwet tych, w których ręku spoczywa wymiar sprawiedliwości, bywa skłonny do lichwy, a wiadome jest, że postępowanie księdza jako kapelana w okresie partyzantki, wobec której reprezentował ksiądz, powiedzmy to jasno, interesy polityczne Kościoła, staje się co najmniej problematyczne w świetle dzisiejszej racji stanu.

Ksiądz Badura roześmiał się dobrodusznie, ale z wymuszoną hałaśliwością.

— Panie Stanisławie — rzekł — jedynie pańskiemu wiekowi i pańskim troskom wybaczyć można takie gadanie, bo tak do kapłana się nie mówi.

— A zegnając się dodał:

— Zajdę jutro do pana po kopie odnośnych pism.

Wyszedłszy na dwór i poczuwszy od razu, że się za lekko ubrał, ksiądz Badura wstrząsnął się od podwójnego dreszczu, ogarnął go bowiem jednocześnie strach, żeby się w to wszystko na dobre nie zaplątał. Wiedział, że zostanie bezwzględnie osamotniony i pójdzie na pastwę losu, o ile wynik jego zabiegów spowoduje jakąkolwiek szkodę dla Kościoła, a nawet o ile tylko wyjdzie oficjalnie na jaw, że zakulisowymi drogami usi-

lował zdobyć jakiegokolwiek dla Kościoła i dla siebie korzyści. Nikt go nie weźmie pod opiekunęce skrzydła, chociażby nawet spod tych skrzydeł wyszło jego natchnienie.

Przypomniawszy sobie, co opowiadała mu, gdy jako uczeń przyjeżdżał do rodzinnej wsi na wakacje, stara i połamana, ale do śmierci trzeźwa i chytra babka, która pamiętała czasy pańszczyzny. Chodziła często z kompaniami po odpustach, a gdy postarzała na dobre, porą letnią znikała na całe miesiące, uprawiając zawód babki prosińskiej w dalszych okolicach, żeby nie kompromitować rodziny żebraniem w pobliżu. Z tych wędrówek przynosiła zawsze sporo grosza, niezliczone węzłki i nieprawdopodobne wieści polityczne, wynaturzone przez legendę i zabobon. Mówiła o synach cesarza Napoleona, którzy na „europianie” przybyli do Warszawy i osiedli na Zamku Królewskim, nawołując naród polski do powstania przeciwko carowi i obwołania ich królami, ale ich panowie polscy zabili, bo im kazali uzbroić chłopów, a oni się bali uzbrojonego ludu. Mówiła, że dopiero teraz powrócił z Sybiru ksiądz Piotr Sciegienny, zamieszkał u stolarza Chałapskiego w Kielcach, nikomu się nie pokazuje, ale swoje myśli i szykuje.

— Co to za ksiądz, babko, co myśli i szykuje? — zapytał.

— To święty ksiądz — odpowiedziała — który od Pana Boga pisanie otrzymał, żeby na wielkiej dolinie ustawił po jednej stronie panów polskich i rosyjskich, a po drugiej żeby sam stanął z chłopami polskimi i rosyjskimi, i żeby panów pobili. Ale mu biskupi pisanie odebrali, żeby siły nie miał, i wydali go żandarmom, bo biskupi to też panowie.

Ksiądz Badura otrząsnął się z odrzutu.

„Też wspomnienia i porównania! — pomyślał z goryczą. — To był buntownik i oszust, który sfalszował bulę papieską, by głupi lud wodzić na pokuszenie, więc na swój los zasłużył, a ja jestem wiernym sługą Kościoła i uznanego przezeń społeczeństwa stanowego. Pragnę tylko bronić się przed krzywdą, wszystkiemu zaś winien ten nieszczęsny Teolog, który chce mnie stąd wygryźć”.

Mimo to stara i zreumatyzowana babka, którą jego dziadek przywiózł ongi do domu jako żonę z rodzinnej wsi Sciegiennego, stała mu przed oczyma i powtarzała opowieść o księdzu, którego biskupi wydali żandarmom. Poszedł więc w stronę kościoła garnizonowego, ukląkł między dwiema kolumnami, oparł czoło na zimnych od okuć drzwiach i zaczął modlić się za jej duszę. Kłęczał długo, widoczny między dwiema białymi kolumnami niby zdeformowany cień czarnego odziewu.

Nazajutrz z samego rana widziano księdza Badurę, jak osobiście kupował szynkę w wędliniarni spółdzielczej i żartował weselo z pannami sklepowymi. Wkrótce potem kupował mydło

i sznurowadła w innej spółdzielni, gdzie bez trudu naklonił sklepowe, aby zawiesiły lampkę oliwną przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. Około południa przyszedł do Centrali Spółdzielczej, ale zanim udał się na górę do gabinetu dyrektora Białkowskiego, porozmawiał ze stróżem i zaszedł do magazynu, gdzie robotnicy ładowali cukier na samochody. Nadal był wesół i w usposobieniu żartobliwym. Blisko do trzeciej jeździł z Białkowskim niebieską bryczką po urzędach, ciągle w stanie silnego i jowialnego ożywienia, toteż gdy nad wieczorem tak pięknego dnia jesieni, że zdawał się być panoramą flamandzkich płócien, z których nie opadł jeszcze ani jeden żółty liść, jechał również z Białkowskim w stronę ochronki utrzymywanej wspólnym sumptem partii lewicowych, towarzyszyły mu już ciekawe spojrzenia i zwiady.

Dopiero w ochronce postradał wesołość i nastrój jowialny. Zachowywał się jak ostrożny lekarz, który wszedł do domu, gdzie panuje tyfus, wobec czego zachodzi przede wszystkim konieczność zastosowania środków antyseptycznych. Powiesił na widocznym miejscu duży, drewniany krzyż z ołowianym Panem Jezusem, pytał dzieci o pacierz, a pielęgniarki o spowiedź wielkanocną, urządził mały wykład głównych zasad katechizmu i pocałowałszy najbliższe czoła, wsiadł z powrotem do bryczki, zamyślając się co chwila i tylko urywany słowy chwalał przed Białkowskim „urządzenia higieniczne i inne” (jak się wyraził) obejranej wspólnie instytucji wychowawczej.

O świcie wyjechał do miasta biskupiego.

Ta część historii jest prawie zupełnie nieznaną. Wiadomo tylko, że ksiądz Badura był nieobecny przez okrągłe dziesięć dni. Ktoś jeżdżący za handlem widywał go podobno w mieście biskupim to na długich spacerach podmiejskich wśród ożywionych rozmów ze starym i wysoko w kurii postawionym prałatem, to znowu godzinami przesiadującego w pustych stallach katedry, jak gdyby odbywał rekolekcje. Ktoś inny utrzymywał, że widział go nawet w Warszawie.

Historia wraca do faktów, gdy i on powrócił nieco przychudły, ale w doskonałym humorze i z nowym rodzajem pewności siebie, jak ktoś wychodzący na deszcz w świeżo podzielowanych butach. Pogłoska zresztą go uprzedziła, albowiem w błyskawicznym rozchodzeniu się wieści sekretne działały tylko żywotność jaszczurki, o której z góry wiemy, w jakiej postaci zregeneruje odcięty człon.

Wiedzano więc już, że ksiądz Badura obejmuje kościół garnizonowy i że został mianowany kapitanem. Przeprowadził się prawie natychmiast do własnego domu, chociaż ten nie był wykończony nawet w połowie, doglądał porządków koło kościoła i na ogół nie miał czasu na zajęcia społeczne. Nie nosił munduru, ale w dwie końcowe niedziele września ukazał się na mieście w nowiutkiej czapce wojskowej z trzema kapitańskimi gwiazdkami. Dwukrotnie odprawił niedzielne msze dla wojska i parokrotnie był w koszarach, aby podziwiać z dosłownej

ruiny miniaturową kapliczkę przy izbie chorych. Dużo popołudniami spowiadał.

Tymczasem przygotowania do Dnia Spółdzielczości dobiegały końca. Pogoda utrzymywała się ciągle wspaniała i szumiąca turkotem wszystkich dróg niby odgłosem ukrytej za lasami zabawy, przed kościołem garnizonowym ustawiono więc wielki ołtarz polowy i ambonę w kształcie łodzi Piotrowej z żaglem, a nazwisko księdza Badury figurowało na afiszach wśród patronów uroczystości. Salę Orfeum, skąd wynieśli się narodowcy, przystosowano do potrzeb okolicznościowej akademii oraz przyozdobiono jedliną i festonami z bibulek. Woda w karafce już od trzech dni oczekiwała tam na mówców, a tymczasem capstrzyki z orkiestrą wojskową lub strażacką chodziły wieczorami po mieście. Dzieci nosiły tęczowe chorągiewki.

Ksiądz Badura był nadal zapracowany i mało się pokazywał. Zobaczono go naprawdę publicznie dopiero w sam Dzień Spółdzielczości, gdy wśród żółtych liści padających ze wszystkich drzew celebrował uroczystą mszę świętą, polyskując wielką i różową łysiną ponad białą ołtarza. Począty sztandarowe otaczały ołtarz i ambonę owalną zatoką, dostojnicy siedzieli w paru rzędach krzesel ustawionych na żwirze, dalej dzieci szkolne furkotały tęczowymi chorągiewkami, a z tyłu organizacje i olbrzymia ława tłumu zajmowały nie tylko najdalej zakamarki cmentarza kościelnego, ale i prawie całą ulicę K-cką. Słońce grzało nie przeszkadzając w chłodzie wiatrowi.

Po skończonej mszy ksiądz Badura u stóp ołtarza zdjął przez głowę ornat, złożył go na ręce ministrantów i w długiej po kostki albie wyszedł jak archaiczny siewca na ambonę, poprawiając złożoną na krzyż stulę. Miał lekki katar, przeto jego piękny głos wydawał się jeszcze głębszy, gdy zaczął czytać ewangelię.

Przypadała zapisana u świętego Mateusza w rozdziale dwudziestym drugim, wiersz pierwszy do cztertnastego, ewangelia zawierająca przypowieść o tym, że podobne się stało królestwo niebieskie człowiekowi-królowi, który sprawił gody weselne synowi swemu i posłał sługi, aby zawezwały zaproszonych na ucztę, ale ci nie chcieli przyjść. Posłał tedy sługi ponownie, kazać im rzec do zaproszonych, że przygotował obfity posiłek, pozabijawszy woły i utuczony drób, niechaj tedy przybędą. Ale oni wzgardzili ucztą ponownie i jeden odszedł do domu swego, a inny do handlu swego. Inni jeszcze zatrzymali sługi królewskie i znieważywszy pozabijali je. Usłyszawszy to król rozgniewał się, posłał wojska swe i wygubił zabójców, a miasto ich zapalił. Wtedy rzekł do swych sług: „Oto wprowadźcie uczta weselna jest gotowa, ale ci, którzy byli zaproszeni, okazali się jej niegodni. Idźcie tedy do krańca dróg, a kogokolwiek będziecie spotkali, wołajcie na ucztę”. I słudzy jego wyszedłszy na drogi zgromadzili wszystkich, których napotkali, złych i dobrych. I zasiadło do stołu mnóstwo gości. Przyszedłszy zaś król, aby zobaczyć biesiadników, ujrzał człowieka nie odzianego w szatę

godową, więc rzekł doń: „Przyjacielu, jakoś tu wszedł, nie mając szaty godowej?” A ten zamilczał. Wtedy król rzekł do sług: „Zwiążcie mu ręce i nogi, i rzućcie go do najgłębszych ciemności. Tam będzie płacz i zgrzytanie zębów”. Albowiem wielu jest wezwanych, a mało wybranych.

Skończywszy czytać, ksiądz Badura pocałował księgę, odłożył ją na bok i trzymając na niej rozczapierzone palce lewej ręki zdawał się przez chwilę namyślać z pochyloną nisko głową. Potem podniósł głowę, popatrzył nieobecny wzrokiem na Prześwieconą Kolegiatę, która widniała przed nim ponad dachami warowną i ciemną sylwetą o barwie ściany sosnowego lasu, albowiem słońce było teraz poza nią, przesunął następnie oczami po zgromadzonym tłumie, zbliżył spojrzenie do dzieci z chorągiewkami i z wolna wypogadzając twarz przelotnie rzucił okiem na dostojników siedzących w pierwszym rzędzie krzesel, składając im krótki ułkon lekkiem pochYLENIEM głowy, które równie dobrze można było wziąć za nowy moment namysłu. Wreszcie wyprostował się i zaczął donośnym głosem:

— Najmilsi bracia i siostry w Chrystusie! Dzisiejsza ewangelia święta opowiada nam o królestwie niebieskim przez przypowieść, to znaczy tak, jakbyście tylko poprzejnawali nazwiska sąsiadów i znajomych, o których wiecie, że królestwu niebieskiemu albo źle służą, albo nie odpowiadają nawet na wezwanie Pana Boga i jego sług, którymi są kapłani. Dzisiejsza ewangelia święta pokazuje nam króla niebios, czyli Boga Ojca, który sprawił ucztę duchową na cześć swego Syna, a Pana naszego Jezusa Chrystusa i zaprosił na nią wiele ludzi, ażeby ich nakarmić chlebem niebieskim. Bo są dwa pokarmy dla człowieka: chleb niebieski i chleb ziemski. Chleb niebieski jest pokarmem duszy, który daje nam Pan Bóg przez usta i ręce kapłanów, a chleb ziemski jest pokarmem ciała, który tworzymy sami pracą rąk na roli i w warsztacie, a który rozdziela nam zwierchność świecka. Dziś właśnie obchodzimy święto chleba ziemskiego i jego świeckiej zwierchności.

Siedzący w pierwszym rzędzie krzesel Grot-Białkowski poruszył się niespokojnie. Tracił lekko starostę, który siedział koło niego, ale ten, nie rozumiał jeszcze nic, kontemplując w spokoju ogrzewające go promienie słońca. Skinął głową z uśmiechem, jak gdyby pojmując, że Białkowski przeprasza go za potrącenie.

— Święto chleba ziemskiego — ciągnął dalej ksiądz Badura wśród klaskania oddalonych turkotów — ukazuje nam prawdę, że tylko chleb niebieski jest dostępny dla wszystkich, bo Bóg zaprasza do stołu swego wszystkich i wszyscy mogą zeń pożywać do woli, jako że chleb niebieski nie podlega omyłkom i ograniczeniom albo i złej woli w rozdziale.

Białkowski zachrząsał nogami po żwirze i nastroszył się, podnosząc brodę niemal pod sam nos. Chciał coś półgłosem powiedzieć do starosty, ale w pół słowa został przywołany do porządku przez żonę, która siedziała z jego drugiej strony. Pod

wplywem ruchu koło siebie starosta powziął jakieś podejrzenie i zaczął uważać na kazanie.

Tymczasem ksiądz Badura wywodził, że obchodząc święto spótdzielności, czyli święto chleba ziemskiego, powinniśmy pamiętać, że jest to w pierwszym rzędzie święto opierające się na wynikach naszej pracy, że z naszych to rąk wyszły plody, które zwierchność ma do podziału, to więc, co otrzymujemy, jest nasze. Dlatego winniśmy dbać o swoje dobro i pomagać zwierchności, aby podział był sprawiedliwy i aby dostęp do dóbr stał każdemu otworem. Powinniśmy ze zwierchnością współdziałać w kontroli nad rozdziałem dóbr, albowiem kto niesprawiedliwie dzieli chleb ziemski, ten nie jest godzien pożywać z chleba niebieskiego, jest tym, który przychodzi na ucztę Pańską bez szaty godowej, bez czystej duszy i czystych rąk. Takiemu należy łańcuchem skuć ręce i nogi i rzucić go w najgłębsze ciemności, jak mówi dzisiejsza ewangelia święta, rzucić go do czeluści piekielnych, gdzie panuje wieczny płacz i zgrzytanie zębów.

Do tej pory ksiądz Badura nie powiedział właściwie nic karygodnego, ale sens „drugiego pietra” jego słów był tak przejrzyisty, że w tłumie słuchaczy, żyjących od dzieciństwa w atmosferze małego miasta, gdzie o wydarzenia jest trudniej niż o grzechy na puszczy, nastąpiło już silne poruszenie w przewidywaniu czegoś niezwykłego. Sytuację uroczystą są bowiem urodzonymi wrogami rachunku sumienia, który wtedy ma zawsze posmak sensacji jak przypomnienie dziadkowi jego nieprawych dzieci w chwili, gdy pełen wzruszenia i wiary we własne słowa głosi wnukowi w błogosławieństwie przedślubnym wielkość zasad wierności małżeńskiej.

— Udał nam się ksiądz — szepnął Grot do starosty. — Powinniśmy właściwie natychmiast stąd pójść.

Ale poszeptawszy doszli do wniosku, że ściągnęłoby to niebezpieczeństwo powszechniejszej demonstracji, której skutki mogłyby się okazać gorsze niż samo kazanie. Może się utemperuje. Może ludzie nie rozumieją.

Ksiądz Badura nie myślał jednak o utemperowaniu swych słów, a ludzie rozumieli go doskonale. Właściwie nie mówił nic konkretnego. Postawiwszy w jasnych i obrazowych sformułowaniach samo zagadnienie, już tylko modulacjami głosu i gestykulacją potężnego ciała sugerował słuchaczom nie zauważoną dotąd przez nich groźbę rzeczy małych i potocznych, o które co dzień się ocierali, podobnie jak reżyser filmowy robi z figur woskowych gabinet upiórów. Tu i ówdzie dał się słyszeć szloch.

— A ci, którzy wywołują gniew Pański — krzyczał kaznodzieja — albowiem chodzą tylko wokół sklepików i kramów, jak Judasz wokół srebrników, pójda w ogień wieczny. A ci, którzy pojmają sługi Pańskie i zabijają je, rzuceni będą w tak głębokie ciemności, że nawet płaczu i zgrzytania zębów nikt nie usłyszy. A sługa Boży wyjdzie na wszystkie drogi i powoła do

stołu Pańskiego tych, którzy uczyli weselnej są godni. Albowiem wielu jest wezwanych, ale mało wybranych.

Gdy skończył, ktoś wielkim głosem zaintonował „Święty Boże”. Mówiono później, że to zaintonowanie hymnu suplikacyjnego było dla samego księdza Badury niespodzianką, ale wtedy zachował się tak, jak gdyby niczym nie był zaskoczony. Zszedł mierzonym krokiem z ambony i ukląkł u stóp ołtarza ze złożonymi rękami i w pełnym skupieniu. Jedynie poczerwieniała twarz i krople potu wskazywały na przeżyte emocje kaznodziejskie. Gdy wierni doszli do słów: „My grzeszni Ciebie Boga błagamy, zmiłuj się nad nami!”, rozległ się przejmujący bariton księdza Badury śpiewającego tę strofę wspólnie z ludem. Szloch tym razem powszechny zatrzęsł zebranymi. Rzucono się do kościoła po chorągwie i feretrony. Skinawszy na ministrantów, jakby odchodził w ramach ustalonego porządku od ołtarza, ksiądz opanował sytuację, zamykając kościół od wewnątrz, a tych, którzy tam weszli wcześniej po sprzęt religijny, by uformować procesję, kazał wypuścić przez zakrystię.

Na dworze wściekły i czerwony Białkowski ustawiał rwący się pochód, który ruszył na miasto w zmniejszonym składzie i wśród wrogiej postawy stłoczonej na chodnikach gawiedzi. Po rozwiązaniu pochodu doszło na akademii w sali Orfeum do wyzłazła, a nad wieczorem dokonano pogromu stopniałych już przedtem adwentystów. Na żwirze przed kościołem garnizonowym szeleściły porzucone przez dzieci tęczowe chorągiewki, a Prześwietna Kolegiata była jeszcze do połowy oświetlona słońcem, gdy całe miasto napelniał już cień i chłód. Drogi, do których krawca ma iść sługa Boży, stały otworem i ucichło już na nich klaskanie dalekich turkotów o jeszcze dalsze lasy.

Ksiądz Badura nie ukazał się więcej tego dnia na mieście.

Adolf SOWIŃSKI

Archiwum polityczne

Spór

Marx profoundly affected those who did not accept his system.

John Kenneth Galbraith („The Affluent Society”)

The materialist philosophy in which the average modern scientist was reared has retained its dogmatic power over his mind, though matter itself has evaporated.

Arthur Koestler („The Sleepwalkers”).

Miałem wuja (Panie świeć tam nad jego szlagońską duszą) — który ilekroć rozmowa zeszła na tematy religijne — wygłaszał następujące credo: „Do kościoła chodzę, a na temat dogmatów religijnych nie dyskutuję. Po czym ostentacyjnie unosił z fotela swoje sto kilo żywej wagi i wychodził z pokoju.

Mój wuj, mimo typowo szlachecko-burżuazyjnego pochodzenia był człowiekiem wszechstronnie wykształconym i na swój sposób postępowym. Uważał jednak, że pewien porządek rzeczy wyłączyć należy spod prawa dyskusji. Kiedyś postanowiłem przyprzeć go do muru i wykorzystując dobry nastrój postawiłem mu następujące pytanie: „Zalóżmy dla przykładu absurdalną tezę. Oto komuś powiodło się drogą rozumowego argumentu podkopać wiarę wuja w kościół katolicki. Co by wujaszek zrobił w takiej sytuacji?” Starszy pan odpowiedział bez chwili wahania: „Jako Polak muszę być katolikiem — wierząc czy nie wierząc. Więc o czym tu dyskutować?”

Dla ludzi owego pokolenia i tradycji odstępstwo od katolicyzmu było równoznaczne z wynarodowieniem. „Wybrać wolność” od religii oznaczało to samo co wyemigrować z polskości. Innymi słowy, katolicyzm w oczach tych ludzi był rodzajem metafizycznej „geopolitycznej konieczności” — którą będąc Polakiem trzeba było akceptować.

Gdy byłem młodym człowiekiem buntowałem się zawzięcie przeciwko tej metafizycznej „geopolityce”. Argumentowałem,

**PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P.K.O. - WOLNE od CŁA
LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOŚĆ**

Katalog 200 popularnych paczek
oraz obszerny Cennik Lekarstw (400 poz.)
na żądanie.

CENTRALA WYSYŁKOWA

HASKOBA LTD.

121 Earls Court Rd, London S.W. 5



że katolikiem czy muzułmaninem winno się być z wyboru a nie z racji narodowo-państwowej. Narodowość nie może składać się z samych imponderabiliów — z mozaiki wartości wyłączonych z dyskusji — z tradycji, którą można albo czcić albo szargać, nigdy jednak krytykować. Im pojęcie narodowości bardziej przypomina kaftan bezpieczeństwa krępujący swobodę intelektualną — tym większe ryzyko wynarodowienia. Nielatwo jest bowiem być członkiem społeczności, która kaftan bezpieczeństwa przyjęła za strój narodowy.

Ileż razy z ust moich znacznych rodaków z Kraju słyszałem następujące sentencje: „nie dyskutujemy na temat Gomułki i Rosji — bo to są konieczności geopolityczne, z którymi każdy Polak musi się pogodzić”. W takich wypadkach mam zawsze ochotę powiedzieć mojemu rozmówcy: „zdejm pan ten kaftan bezpieczeństwa z siebie — tu, w Londynie, wystarczy marynarka”. Ba, kiedy wielu nie chce zdjąć tego kaftana bo stanowi on kontusz Polski Ludowej i oznakę lojalności wobec partii i wielkiego słowa „socjalizm”.

Jest rzeczą charakterystyczną, że ci sami ludzie, którzy odmawiają krytycznego spojrzenia na „kaftan” narodowych racji i tradycji — w chwili zagrożenia zdobywają się na nagminne bohaterstwo w obronie tych wierzeń. Dopiero ci nieliczni, którym przy Bożej pomocy powiedzie się przeżyć klęskę, dokonują „post mortem examination”. Wydaje mi się, że należałoby odwrócić porządek rzeczy. Nam — małemu narodowi — potrzeba ludzi, którzy przed śmiercią odważnie myślą a nie ludzi, którzy tchórzliwie myślą a odważnie umierają.

I jeszcze jeden punkt istotny. Fakt, że coś w danej epoce i sytuacji jest konieczne, bynajmniej nie znaczy iż to „coś” jest słusznie i wyjęte spod prawa krytycznej oceny. W Polsce przedwojennej wielu skąd inąd przyzwoitych ludzi godziło się z takimi rzeczami jak Bereza, ponieważ wierzyło, że z punktu widzenia polityki państwowej to jest konieczne. Współczesna sytuacja w Kraju jest utkana z samych konieczności. Owa zasadnicza konieczność geopolityczna obejmuje reakcją łańcuchową całość naszego życia — od gospodarki po literaturę, od organizacji handlu po filozofię. Napór tych konieczności na jednostkę wywołuje serię konfliktów. Istnieje tylko pewna określona suma konfliktów, z którymi można uspiąć. Dlatego człowiek nawet w najciemniejszym obrazie usiłuje znaleźć konstelację jaśniejszych barw. To będzie owa wysepka pozytywnych wartości, która pozwoli mu trwać. Jakże często od ludzi stamtąd słyszy się wyznanie: „na moim odcinku robię pozytywną i pożyteczną robotę — wszystko inne nie ode mnie zależy”. W ten sposób kupuje się spokój sumienia i niezbędą dozę szacunku dla samego siebie. Dramat tzw. przyzwoitych ludzi w ustroju totalnym polega na tym, że obrona owej wysepki pozytywnych wartości wymaga kompromisów na innych polach. Powiedzmy, starosta w przedwojennej Polsce, który w swoim powiecie robił

dobrą i pozytywną robotę, gdyby nagle zaczął aktywnie występować przeciwko Berezie — byłby prawdopodobnie sam tam wyładował, a w każdym wypadku utracił swój powiat. W moim przekonaniu ów starosta jeżeli wybrał kompromis — to znaczy milczał na temat Berezy a robił dobrą robotę w swoim powiecie — postąpił słusznie. Ale jak daleko można iść po tej drodze? Organicznie wrodzone zło ustroju totalnego polega na tym, że suma kompromisów którą trzeba płacić za tzw. przyzwoitość czyni często ową przyzwoitość iluzją. Weźmy dla przykładu lekarza SS w hitlerowskim obozie koncentracyjnym. Zakładamy, że był sumiennym lekarzem dla więźniów. Czy jego wysepka pozytywnych wartości może go rozgrzeszyć z faktu, że był oficerem SS i należał do personelu hitlerowskiego obozu koncentracyjnego? W moim przekonaniu — nie. Straszny jest ustrój, w którym przyzwoitość trzeba okupywać heroizmem. Przyzwoitości można się domagać od każdego, ale heroizmu tylko od ludzi wyjątkowych. Straszny jest ustrój, w którym przyzwoitość dostępna jest tylko dla ludzi wyjątkowych. Straszny jest dla tego, że i zwyczajni ludzie nie dysponujący heroicznym charakterem pragną żyć przyzwoicie i mają do tego prawo.

Niewyczerpanym źródłem deprawujących kompromisów jest dogmatyzm doktryny komunistycznej. Najbardziej zdumiewającym zagadnieniem w tej całej sprawie jest naiwne pytanie: komu to jest potrzebne?

W grudniu ub. roku pewną sensację wywołały wykłady (tzw. *Reith Lectures*) w BBC prof. A.C.B. Lovella, jednego z twórców radiowej astronomii. W końcowym odczycie uczony brytyjski oświadczył, że w jego przekonaniu nauka w najbliższych latach da nam odpowiedź na fundamentalne pytanie: jak powstał wszechświat? Prof. Lovell dodał, że odpowiedź na tą arcy-kwestię z całą pewnością wywrze potężny wpływ na filozoficzne poglądy współczesnego człowieka. Ten olbrzymi kompleks naukowych i filozoficznych zagadnień nie istnieje dla astronomii sowieckiej. Astronomia sowiecka odrzuca bowiem z góry możliwość jakiegokolwiek teorii, która podważałaby dogmaty materializmu.

Czy klasie robotniczej, światowemu proletariatu, czy sprawie socjalizmu potrzebne jest w czymkolwiek udogmatyzowanie astronomii? Czy dzięki temu wyzysku będzie mniej? Czy na tej drodze można podważyć system kapitalistyczny? Jeżeli nie — to komu właściwie to jest potrzebne? Odpowiedź na to pytanie jest tylko jedna. Dogmatyka materialistyczna nie jest potrzebna ani klasie robotniczej ani socjalizmowi. Potrzebna jest wyłącznie państwu sowieckiemu. Dogmat to jest „power”. Dogmatyzm materialistyczny stanowi główny instrument sowieckiej nowoczesnej „power politics”. I dlatego, w tym świetle, rewizjonizm w ramach obozu państw socjalistycznych jest de facto walką o niepodległość. Klasycznego przykładu dostarcza Jugosławia. Kraj ten jest dokładnie w tym stopniu nie-

podległy w jakim jest rewizjonistyczny. Każdy odwrót od rewizjonizmu jest odwrótem od niepodległości.

Prof. Schaff w swym przemówieniu na XII Plenum wyraził pogląd, że rewizjonizm przegrał swą stawkę zarówno w Polsce jak i w świecie. Nie wydaje mi się by to twierdzenie miało pokrycie w faktach.

Lecz może zacznijmy od uzgodnienia terminu. Polacy krajowi i zagraniczni łączą rewizjonizm z buntem „angry young men”, których nazwisk — choć znanych, może bezpieczniej będzie na tych łamach nie cytować. W naszym rozumieniu rewizjonizm jest pojęciem niewspółmiernie szerszym. Rewizjonistami są wszyscy ci, którzy mówią: „socjalizm — tak, dogmatyzm doktrynalny — nie. Socjalistyczna droga do uprzemysłowienia — tak, satelicka zależność od Rosji — nie. Solidarność narodów o ustroju socjalistycznym — tak, ideologiczny „Watykan” na Kremlu — nie. Marksizm jako doktryna równouprawniona w ramach wielopoglądowej kultury społecznej — tak, marksizm religia państwowa — nie”.

Prasa emigracyjna podala niezmiernie mało szczegółów o podróży prez. Tito po środkowym i dalekim wschodzie. Trasa podróży obejmuje Egipt, Abisynię, Sudan, Indonezję, Burmę, Indie i Ceylon. Wizyta w Kairze przyniosła już rezultaty, co wyraziło się w licznych aresztowaniach komunistów egipskich i syryjskich. Prez. Tito ma wiele do powiedzenia przywódcom krajów, które osiągnąwszy wolność pragnęłyby wejść na drogę możliwie szybkiego uprzemysłowienia. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że przywódca komunistów jugosłowiańskich nikomu nie będzie zalecał „drogi sowieckiej”.

W swym programie uchwalonym na VII Zjeździe Zw. Komunistów Jugosłowiańskich (w kwietniu ub. roku) — Jugosłowianie oskarżyli Rosjan o... rewizjonizm stalinowski. Zarzucają Chruszczewowi odstępianie od zasad marksizmu, który zastąpiono imperialistyczno-państwową doktryną Stalina. Afroazjatyckich przywódców narodowych nie interesują doktrynalne subtelnosci. Ale interesują ich problemy praktyczne. Interesuje ich odpowiedź na pytanie czy pomoc sowiecka jest równoznaczna z satelictwem i eksploatacją, czy wkroczenie na drogę socjalistycznej przebudowy musi oznaczać utratę suwerenności i podporządkowanie Kremlowi, czy poza sowieckim modelem uprzemysłowienia istnieje jeszcze jakaś inna recepta, z której skorzystać by mogły kraje o zapóźnionym rozwoju gospodarczym? Na powyższe, istotne pytania prez. Tito może udzielić szczegółowych odpowiedzi w oparciu o jugosłowiańskie gorzkie doświadczenia.

Trzeba jednak z całym naciskiem podkreślić, że cytowany Program Związku Komunistów Jugosłowiańskich — choć stanowi dokument na jaki do tej pory nie zdobyła się żadna z komunistycznych partii świata — nie jest wolny od zasadniczych sprzeczności. Jak długo stoi się na stanowisku monizmu ideologicznego — dogmatyka jest nieodzowna. Monolityczność ko-

ściola katolickiego wypływa z jego dogmatycznej struktury. Państwo komunistyczne nie może równocześnie uznawać zasady monizmu ideologicznego i walczyć z imperializmem Rosji. Albowiem źródłem i fundamentem imperializmu Sowietów jest monizm ich doktryny. Logicznie biorąc, jeżeli komunista odrzuca hegemonizm polityczny Rosji odrzuca de facto monizm ideologiczny i jego dogmatykę.

Jugosłowianie — przynajmniej w teorii — nie są dalecy od przyjęcia zasady wielopoglądowości w ramach państwa socjalistycznego. Teza, że partie komunistyczne nie mają monopolu na socjalizm i że możliwa jest ewolucja ku ustrojowi socjalistycznemu poprzez rozwój związków zawodowych — tezy powyższe atakowane namiętnie przez „Komunistę” — noszą wyraźne cechy wielopoglądowości.

W sumie nie będzie żadnej przesady jeżeli komunistów jugosłowiańskich nazwiemy „sui generis” rewizjonistami. Skłonny jestem również twierdzić, iż nie będzie przesadną opinią, że prez. Tito może w pewnym stopniu pokrzyżować afro-azjatyckie plany imperialistycznej polityki sowieckiej. Tak w Azji jak i w Afryce obserwuje się bacznie stosunek Rosji do krajów satelickich. Sprawa dalekiej Finlandii była szeroko omawiana na łamach prasy induskiej.

Wchodzą tu w grę dwa momenty. Jest oczywiste i zrozumiałe, że narody afro-azjatyckie nie pragną jednego kolonializmu i zależności zamieniać na inny kolonializm i zależność. Lecz w tym zagadnieniu ważny jest jeszcze punkt drugi. W krajach tych wpływ kultury europejskiej przetrwał europejskich wicekrólów. Warstwa inteligencji zawodowej tych narodów posiada wykształcenie europejskie.

Materialistyczny dogmatyzm reprezentowany przez „Komunistę” znosić muszą tylko ci, którzy są w bezpośrednim zasięgu sowieckiego zagrożenia. Mimo sputników i fenomenalnej kosmicznej wystawy technicznego postępu — ideologia sowiecka nie może poszczycić się sukcesami. Poniosła natomiast liczne klęski — w szczególności we Francji i we Włoszech. Z tego wniossek, że dogmatyczny materializm sowiecki może być szerzony tylko „ogniem i mieczem”, to znaczy przyjmują go tylko ci, którzy są bezpośrednio zagrożeni sowiecką przemocą.

Spór Jugosłowiańsko-Rosyjski można również rozstrzygać w perspektywie europejskiej. Jugosłowianie są zbyt przebiegli i kulturalnie europejską i europejskim sposobem myślenia, by mogli przyjąć bez zastrzeżeń rosyjską autokratyczną, dogmatyczną doktrynę materialistyczną, która w swym obecnym wydaniu stanowi antytezę myśli europejskiej. Rosjanie nie są w stanie pojąć, że Europejczyk w słowie wolność zawiera zarówno wolność narodową, a więc niepodległość, jak również wolność religii i przekonań. Dla tego zasada wielopoglądowości stanowi fundament kultury europejskiej. Zrywając z tą zasadą zrywamy z Europą.

U dna spór między Wschodem a Zachodem jest sporem teologicznym. Marksizm-leninizm jako doktryna materialistycz-

na utracił dziewiętnastowieczny autorytet naukowości. Jak słusznie zauważa Koestler w swej świeżo wydanej książce — materia wyparowała a z materializmu pozostała tylko dogmatyka. Sytuacja się odwróciła. Dziś kościoły chrześcijańskie wykazują daleko więcej giętkości — jeśli wolno się tak wyrazić — w stosunku do współczesnych interpretacji odkryć i teorii naukowych, niż oficjalny materializm głoszony przez Kreml. Jeżeli dana teoria naukowa nie idzie po liniach dziewiętnastowiecznego materializmu — nie oznacza to bynajmniej — że automatycznie stanowi argument na rzecz poglądu idealistycznego. Oznacza to tylko, że ani materialisci ani idealisci nie mają podstaw do głoszenia, że ich systemy znajdują pełne i wyłączone pokrycie w dowodach naukowych. Wszystkie wielkie religie opierają się na prawdach objawionych, a więc prawdach „danych” a nie zdobytych metodą naukową. Natomiast materializm sowiecki w przeciwieństwie do wszystkich innych religii opiera się w całości na rzekomych fundamentach naukowych. Choćby nawet przyjąć, że owe „fundamenty” sto lat temu były naukowe, to jednak należy stwierdzić, że dziś naukowość ich staje się coraz bardziej wątpliwa. Daną doktrynę wbrew nauce można utrzymać tylko poprzez udogmatyzowanie. W większości wypadków za materializmem w wydaniu sowieckim nie stoi dziś nauka tylko dogmat, a za dogmatem siła.

Sowiecka doktryna materialistyczna pretenduje do rangi uniwersalnego systemu metafizycznego, a więc systemu który by dawał odpowiedź na wszystkie pytania i ujmował całość problematyki istoty ludzkiej. Specjaliści sowieccy mają gotowe odpowiedzi na wszystko: jak powstał wszechświat, jaki jest cel człowieka na tej ziemi, wiedzą nawet, że kiedyś narody świata zleją się w jeden naród i mówić będą jednym językiem.

Jeżeli z obrazu współczesnej nauki europejskiej można wysnuć jakiś ogólny wniosek, to chyba tylko ten jeden, że budowa uniwersalnego, finalnego systemu filozoficznego przekracza i zawsze przekraczać będzie ludzkie możliwości. I dlatego postulat wielopoglądowości jest jedynym, który harmonizuje z powyższym stanem rzeczy.

To małżeństwo socjalizmu z „metafizycznym materializmem” odcina dziś intelektualnie sowieckie imperium od Europy wydawniej niż wszystkie „żelazne kurtyny”.

W krajach afro-azjatyckiego obszaru Europa w pewnej mierze odnosi swoje za kolonialnym grobem zwycięstwo. Prezydent Nasser w wywiadzie z korespondentem BBC oświadczył onegdaj, że Egipt kulturalnie należy do Zachodu. Z wypowiedzi Chruszczewa na XXI Zjeździe wynika, że istnieją zasadnicze nieporozumienia pomiędzy Kremlem a nacjonalistycznymi przywódcami arabskimi. Nie ulega wątpliwości, że ideę samostanowienia narodów i wolności ludy afro-azjatyckie przejęły z kultury europejskiej i model sowiecki na powodzenie może liczyć tylko tam — gdzie ogólna ignorancja zaciemnia obraz sytuacji.

W sumie należy przyjąć, że nawet gdyby komunizm w najbliższych latach zaczął się rozszerzać — to przybywać będzie „Jugosławii”, a nie satelitów. Rosja nie ma żadnych szans wymuszenia uznania dogmatu nieomyślności Kremla na kraju, który nie graniczy bezpośrednio z jej imperium. Potęga wpływu europejskiej kultury w świecie jest zbyt wielka i głęboka, by autokratyzm polityczny i ideologiczny Sowietów mógł ją wykorzystać. Ponieważ trudno jest sobie wyobrazić by Rosja mogła okupować wszystkie kontynenty globu, wszędzie tam gdzie nie sięgłoby bezpośrednio zbrojne ramię Moskwy, podniósłby głowę rewizjonizm, a więc prąd usiłujący komunizm wprowadzić w życie europejskiej kultury. Ramy strukturalno-społeczne upadają i giną ale z zasadniczych wartości kulturalnych, które kryształizowały się we krwi i wysiłku dziesiątków pokoleń — ludzie nie rezygnują łatwo.



Na temat rewizjonizmu ukazało się w prasie emigracyjnej wiele bałamutnych artykułów. Są panowie, którzy naiwnie pytają: cóż za pożytek z niekomunistycznych komunistów? Nie chcemy w ogóle komunizmu i dlatego zwalczamy go w każdej postaci.

Tego typu wypowiedzi stanowią miarę poszerzającej się rozpaczliwie przepaści oddzielającej nas od Kraju. Tym panom patriotyzm z ust nie schodzi ale nie rozumieją, że wynarodowienie zaczyna się od utraty rozeznania w problematyce własnego narodu. „Historyczni” Polacy nie orientujący się w dzisiejszej krajowej rzeczywistości są wynarodowieni — choćby jeszcze ciągle... nie zgłębili składni języka angielskiego.

Wyjaśnijmy przy okazji jeszcze jedno osobliwe nieporozumienie. Wysuwa się przeciw nam zarzut, że często zmieniamy kurs polityczny „Kultury”. Przed sześciu laty wysuwaliśmy ideę federacyjną, następnie walczyliśmy o „pas neutralny”, dziś dla odmiany protegujemy rewizjonistów. Za czym opowie się „Kultura” jutro czy za miesiąc? Otóż opowiemy się za każdym planem czy projektem, który w danej sytuacji będzie zmierzał do poprawy pozycji Polski i poszerzenia sfery wolności. Od kół na emigracji, które od dwudziestu lat powtarzają ten sam zestaw patriotycznych postulatów, różnimy się poglądem na politykę. W naszym zrozumeniu polityka musi odzwierciedlać możliwości wypływające z sytuacji tak krajowej jak i międzynarodowej. Sytuacja w Kraju na przestrzeni dwóch dziesiątków lat ulegała radykalnym przeobrażeniom i te przeobrażenia, a nie sentymenty i ortodoksje emigracyjne, stanowią muszą punkt wyjściowy każdej polskiej polityki. Oczywiście nie jesteśmy rewizjonistami, gdyż termin ten odnosi się wyłącznie do ludzi w Kraju. Sympatyzujemy z tym prądem ponieważ sympatyzujemy z wszystkimi, którzy dążą do poszerzenia sfery wolności i re-europeizacji wschodniej wersji socjalizmu.

Niedawno dyskutowałem kilka godzin z pewnym inżynierem przybyłym z Kraju. Mój rozmówca — nazwijmy go Zet — przed wojną sympatyzował raczej z prawicowo-chrześcijańskimi ugrupowaniami. Zet jest typowym technikiem o umysłowości wdrożonej do logicznego i praktycznego myślenia. Interesują go zagadnienia gospodarcze i społeczne.

W pewnym momencie naszej dyskusji Zet powiedział co następuje: „W więzieniu i po wyjściu z więzienia przemyślałem dokładnie program ugrupowania, z którym przed wojną byłem związany. Otóż wy, na emigracji, musicie zrozumieć jedno. W Polsce nie będzie nigdy restauracji kapitalizmu. Wskutek tego w Kraju będzie miejsce tylko na partie antykapitalistyczne”.

Oświadczyłem inżynierowi Zet, że jeżeli przyjęlibyśmy jego punkt widzenia to w konsekwencji należałoby stwierdzić, że w ogóle w Kraju nie potrzeba innej partii poza socjalistami ponieważ socjaliści są klasyczną partią antykapitalistyczną.

Zet uczynił niecierpliwy gest ręką i oświadczył: „Wy, w „Kulturze” również nie z tego nie rozumiecie. Niech pan słucha uważnie co panu powiem. Dziewięćdziesiąt osiem procent inteligencji pracującej w Polsce uważa, że nie będzie ani wojny ani tzw. wyzwolenia i, w konsekwencji, nie będzie również kontrrewolucji. Wielki spór nie dotyczy kwestii: kapitalizm czy socjalizm, rewolucja czy kontrrewolucja. Spór dotyczy wyłącznie zagadnienia jak ustroj socjalistyczny wolno nam będzie pojmować? Czy tak jak pojmują go Rosjanie, czy tak, jak pojmują go Europejczycy. Jest jeden istotny punkt w tej sprawie, który musi pan zrozumieć. Walka przeciwko dogmatyzmowi i ideologicznemu monopolowi nie może być prowadzona z pozycji kontrrewolucyjnej. Dążymy do reformy a nie do obalenia ustroju. Gdybyśmy dążyli do kontrrewolucji a nie do reform wówczas nie byłoby żadnej różnicy między rewizjonizmem a reakcjonizmem. Osobiście nie jestem socjalistą, ale akceptuję ustroj socjalistyczny. Domagamy się reform demokratycznych w ramach ustroju socjalistycznego. Uważamy, że ustroj socjalistyczny jest jedynym nowoczesnym postępowym ustrojem i od tej linii nie może być odwrotu. Na czym opieramy nasze nadzieje? Obserwując rozwój sytuacji w Kraju sądzimy, że w pewnym nowym układzie zewnętrznym komuniści będą musieli poszerzyć platformę reprezentacyjno-rządową. Pax jest agenturą a „stronnicwa” oficjalne są skompromitowanymi „transmisjami”. Ruch radykalny i chrześcijański mógłby współpracować z komunistami w ramach zdemokratyzowanego ustroju socjalistycznego, ponieważ, podobnie jak komuniści, jesteśmy antykapitalistami. Ale, podkreślam — podobnie, a nie tak samo. I wreszcie punkt najważniejszy. Komuniści polscy i komuniści sowieccy nie zgodzą się nigdy na powstanie jakiegokolwiek partii socjalistycznej. To jest najsłabszy punkt strategii „Pax-u”. Paxowcy chcieliby być katolickimi komunistami i chrześcijańskimi marksistami. Komuniści — jeżeli sytuacja zewnętrzna i wewnętrzna ich do tego zmusi — wejdą w rodzaj koalicji ra-

czej z nami, ponieważ nie jesteśmy socjalistami, choć równocześnie trudno byłoby nas określić mianem ugrupowania burżuazyjnego. Przyszły ustroj Polski — jeżeli układ zewnętrzny umożliwi ewolucję w tym kierunku — widzę w postaci antykapitalistycznej demokracji, opartej o koalicję stronnictw wyznających zasadę wielopoglądowości, ale w ramach państwa socjalistycznego. Socjalizm na tym szczeblu rozwoju będzie oznaczał formę ustroju i formę kultury demokratycznej. Każdy obywatel bez względu na przynależność partyjną będzie w tym sensie socjalistą, jak w dzisiejszej Anglii wszyscy są zwolennikami demokracji parlamentarnej”.

Oto w wielkim skrócie credo inżyniera Zet. I znowu należy podkreślić, że to nie jest program „Kultury”. Osobiście muszę wyznać, że wypowiedź powyższa budzi we mnie wiele zastrzeżeń. Ale niemniej tego typu poglądy nurtują ludzi w Polsce. W oparciu o dziesiątki rozmów z Polakami z Kraju na przestrzeni ub. roku — doszedłem do wniosku, że rewizjonizm ani się nie zaczyna ani się nie kończy na marksistach. Rewizjonistami w Polsce są ludowcy, socjaliści, chrześcijańscy demokraci, katolicy — wszyscy z wyjątkiem Komitetu Centralnego PZPR. Rewizjonizm nie objął również tzw. historycznych partii na emigracji — co jest o tyle zrozumiałe, że partie te zatrzymały się w swym rozwoju dwadzieścia lat temu. Rewizjonizm nie jest niczym innym jak ewolucją i postęmem. Z prądu ewolucji i postępu wyłączeni są dogmatycy tam, a ortodoksi tu.

Juliusz MIEROSZEWSKI

U progu V Republiki

Francja ma za sobą 8 miesięcy rządów gen. de Gaulle'a. Okres początkowej euforii należy do przeszłości, odbywa się konfrontacja z rzeczywistością. Na zasadzie pełnomocnictw, uchwalonych w czerwcu 1958 na ostatniej sesji ostatniego parlamentu IV Republiki i wygasłych we wrześniu, a następnie — na podstawie uprawnień konstytucyjnych, których czteromiesięczna ważność dobiegła kresu 5 lutego r.b. — rząd sprawował w tym czasie władzę autorytatywną: wykonawczą i jednocześnie ustawodawczą.

Jego wysiłek reformatorski w jednych dziedzinach, a tylko reorganizacyjny w innych, objął wszystkie działy funkcjonowania państwa. Kilka set praw i zarządzeń, które wypełniły swą treścią kilkadziesiąt numerów Dziennika Urzędowego, przekraczających nieraz 20 stron druku zdaje obecnie egzamin wobec życia. Gen.

de Gaulle, wybrany w grudniu przez 70.000 elektorów prezydentem Republiki, przejął dnia 8 stycznia władzę od ostatniego prezydenta IV Republiki, René Coty. V Republika rozpoczęła swój żywot oficjalny. Jej oblicze zaczyna się powoli wylaniać z mgły sloganów, hipotez i domysłów. Od początku było wiadome, że główne źródło jej siły zawarte jest w jednym człowieku. Wraz z ukończeniem okresu tymczasowości zaczynają się zarysowywać jej przyszłe trudności, główne punkty oporu, zarodki przyszłych konfliktów. Chwila to właściwa dla dokonania próby pierwszego bilansu.

II

Referendum konstytucyjne, które odbyło się 28 września 1958 r., a następnie wybory do pierwszego parlamentu, przeprowadzone w dwóch terminach 23 i 30 listopada, zmieniły gruntownie układ sił politycznych we Francji. W chwili obecnej Zgromadzenie Narodowe, liczące 576 deputowanych, składa się z następujących ugrupowań:

U. N. R.	206	deputowanych
Niezależni (tradycyjna prawica)	117	"
Deputowani Algeru	66	"
MRP (republikanie ludowi) i spokrewnieni	56	"
Dep. Afrykańscy spokrewnieni z M.R.P.	8	"
S.F.I.O. (socjaliści)	47	"
Bez przynależności klubowej	40	"
Centrum republikańskie	12	"
Komuniści	10	"
Izolowani (m. in. Georges Bidault)	14	"

Ten skład Zgromadzenia wynikał z zastosowania ordynacji wyborczej, zastępującej proporcjonalność wyborami większościami w dwóch terminach, w okręgach jednomandatowych. Z natury rzeczy nie może on odpowiadać ilości głosów, złożonych na poszczególne partie w I terminie, najbardziej miarodajnym dla oceny wpływów poszczególnych ugrupowań. Wynik głosowania w dniu 23 listopada był następujący:

Komuniści	3.882.204 głosów	18,9%
Niezależni	4.092.600	" 19,9%
U.N.R.	3.603.958	" 17,6%
S. F. I. O.	3.167.354	" 15,5%
Radykali i centrum	2.347.989	" 11,5%
M. R. P.	2.378.788	" 11,6%
Różni	1.016.816	" 4,7%

Jeżeli chodzi o wpływ na masy to wybory listopadowe, tak jak wynik referendum konstytucyjnego, oznaczają przede wszy-

stkim dotkliwą klęskę partii komunistycznej, która pomimo znanej dyscypliny straciła w porównaniu z wyborami z roku 1956, 1.656.000 głosów i spadła z 25,7% do 18,9% tracąc pierwsze miejsce w układzie sił politycznych we Francji na rzecz Niezależnych (prawica). Beznadziejność systemu politycznego, opartego na partiach, słabość partii komunistycznej okazana w przełomowych dniach majowych, solidaryzowanie się partii z akcją terrorystyczną F.L.N. we Francji metropolitalnej — spowodowały odejście od niej 30% zwolenników. Mimo ostatnich zarządzeń rządowych w dziedzinie gospodarczej klimat psychologiczny jest nadal dla partii niekorzystny i nie ułatwia jej odzyskania w krótkim czasie dawnego dynamizmu i wpływów na masy robotnicze.

Następne miejsce wśród pokonanych zajmują ugrupowania centrowe, które uległy rozproszkowaniu i, gdy chodzi o radykałów, na pół zanikowi. Nie uzyskali mandatów czołowi i aktywni przywódcy tych ugrupowań, m.in. Mendes-France i Mitterand, którzy wzywali do głosowania przeciwko konstytucji w referendum wrześniowym.

Wielką, choć niesprawiedliwie pokonaną jest S.F.I.O. (socjaliści) partia, która w porównaniu z 1956 rokiem (14,8% głosów) poprawiła swój wynik a przecież spadła z 88 mandatów na 40, pomimo, że według oceny prefektów z okresu kampanii wyborczej, jej szanse były oceniane na 120 mandatów. Na jej losach zaważyło nowe prawo wyborcze. Głosowanie w drugim terminie na kandydata socjalistycznego, będącego w drugiej lub w trzeciej pozycji nie zawsze dawało pewność zwycięstwa nad komunistą, pomijając, że było nie do przyjęcia dla tradycyjnej prawicy.

M.R.P. (Republikanie Ludowi) w porównaniu z 1956 rokiem utrzymali swój stan posiadania jeśli chodzi o ilość głosów, natomiast stracili z podobnych powodów co socjaliści 15 mandatów. Rzecz charakterystyczna: tracąc wiele tradycyjnych okręgów wyborczych, M.R.P. zdobyło szereg innych, dzięki wysunięciu nowych, nieraz bardzo młodych kandydatów, przeważnie działaczy syndykatów katolickich. — Dokonana w walce wyborczej odnowa tego stronnictwa nie pozostanie bez wpływu na jego orientację polityczną, krystalizującą się w kierunku zbliżenia do S.F.I.O.

Wielkimi zwycięzcami są Niezależni i U.N.R. Pierwsi — dzięki skoncentrowaniu na sobie tendencji konserwatywnych, właściwych — moim zdaniem — większości społeczeństwa francuskiego oraz dzięki obecności w rządzie Antoine Pinay'a, idealnego wcielenia średniej burżuazji francuskiej. Dopóki teka ministra finansów spoczywa w jego rękach, dopóty kapitalista, przemysłowiec, sklepikarz, ciulacz francuski czują się zabezpieczeni przed eksperymentami sprzecznymi z ortodoksją finansową i gospodarczą. Stosunek tej tradycyjnej prawicy do de Gaulle'a jest ściśle racjonalistyczny i raczej chłodny. W jej szeregach nie wygasły jeszcze tradycje petain'owskie. Sekretarz generalny

tej grupy Duchet, wskazał na de Gaulle'a jako wyłącznie odpowiedzialnego za całość zarządzeń finansowo-gospodarczych z końca grudnia, zapominając o decydującej roli swego politycznego przyjaciela, ministra Pinay.

Rozstrzygająca rola w pierwszym parlamencie V Republiki przypada niewątpliwie grupie U.N.R. (Unia Narodowo Republikańska), niezwykle aktywnej i uznającej się za wcielenie gaulizmu. Uzyskawszy 17,6% głosów w pierwszej turze wyborczej, grupa ta zdobyła w drugiej turze 206 mandatów, a razem z idącymi wspólnie z nią 66 posłami algierskimi kontroluje połowę parlamentu. Ta dysproporcja pomiędzy ilością głosów i mandatów, znajdująca swoje wytłumaczenie w ordynacji wyborczej, spowodowała wewnątrz grupy pewne zakłopotanie, którego zewnętrznym wyrazem było zajęcie w sali Zgromadzenia pozycji centrowej między socjalistami i Niezależnymi. U.N.R. odżegnywa się energicznie przed zaliczaniem jej do prawicy, lansując tezę, że tradycyjne podziały na prawicę i lewicę straciły swą sens w zetknięciu z obecną rzeczywistością. Nie ulega wątpliwości, że w postawie politycznej U.N.R. nacjonalizm dominuje nad zachowawczością i że partia ta zdolna byłaby pójść nawet na radykalizm społeczny i gospodarczy, gdyby tego wymagały jej cele polityczne. Nie jest ona jednolita i przypomina nieco B.B.W.R., z tym, że o ile polski obóz pomajowy zawierał żywioły od konserwatystów do b. socjalistów, to rozpiętość U.N.R. kończy się na lewo na odpowiedniku bartłowskiej partii pracy, za którego można by uznać Edmunda Michelet, obecnego ministra Sprawiedliwości. Tendencje nurtujące U.N.R. znajdują swój wyraz w nazwiskach przywódców. Jeden z najwybitniejszych, Soustelle, polityk o cechach intelektualisty, oscyluje pomiędzy wiernością dla de Gaulle'a a możliwością odegrania samodzielnej roli jako przywódca tendencji integracyjnej. Mimo wszystko przypuszczać należy, że w razie przyparcia do muru, podobnie jak to uczynił w maju 1958, podporządkuje się raczej Generałowi. Chaban-Delmas, obecny przewodniczący Zgromadzenia, i Michał Debré, pierwszy minister, mimo zaliczania ich do zwolenników integracji dochowują raczej ich tradycyjnej wierności wobec de Gaulle'a. Tendencję centrowo-lewicową, opartą na bezwzględnej wierności nowemu szefowi państwa, reprezentuje Edmund Michelet. Młody deputowany z północnej Francji Delbecque, dał się poznać z energii, zreczności i śmiałości w czasie majowych wydarzeń algierskich, a jego duża inteligencja nie wyklucza ewolucji w kierunku rozległych koncepcji politycznych Generała. Na skrajnym skrzydle grupy usadowiły się elementy faszystujące z deputowanym Biaggi, jako postacią reprezentacyjną. W grupie algierskiej wybijają się rzutkością i ślepym integracjonizmem młody adwokat Lavallarde, który na czele studenckiej bojówki opanował w dniu 13 maja gmach gubernatorstwa w Algierze. Przewodzi on grupie nieprzejednanym, zdecydowanym na wszystko, by nie dopuścić do jakiegokolwiek odrębności Algieru w jakiegokolwiek dziedzinie.

Jest rzeczą charakterystyczną, że na łamach tygodnika „Carrefour” z pierwszego tygodnia lutego ukazał się artykuł, który nawiązuje do pewnych różnic pomiędzy deklaracjami politycznymi nowego prezydenta Republiki i nowego premiera, po czym rzuca następujące ostrzeżenie:

„Bądźmy pewni, że w dniu, w którym zaszłoby więcej niż odciśnięcie stylu pomiędzy językiem dwóch frakcji egzekutywy, byłby usłuchany język bardziej kategorycznie narodowy. Prąd jest nieodwracalny. Zrobiono by więc dobrze, gdyby sobie zaoszczędzono doświadczenia z jego odwróceniem. Byłoby ono katastrofalne”.

Najliczniejsza liczebnie grupa U.N.R. nie przeszła jeszcze swej próby ogniowej, jaką będzie znalezienie się w sprzeczności z polityką szefa państwa, o ile taka sprzeczność istnieje lub powstanie. W razie takiej ewentualności spoistość grupy znalazłaby się pod znakiem zapytania. Od stanowczości szefa państwa i od mądrości politycznej M.R.P. i S.F.I.O. zależałoby wówczas ułatwienie większości U.N.R. wykrystalizowania się za polityką de Gaulle'a i rozejścia z prawicą, zarówno tradycyjną jak skrajnie nacjonalistyczną.

III

Kluczowy problem polityki francuskiej, sprawa Algieru, od którego losów zależy realizacja innych dalekosiężnych i na wielką skalę zamierzonych celów, nie został jeszcze rozwiązany i mało jest widoków na to, aby mógł być szybko rozwiązany.

W czasie kilkakrotnych podróży do Algieru w ciągu lata 1958, gen. de Gaulle włożył ogromny wysiłek w rozpoznanie zagadnienia i to nie tylko na podstawie raportów lokalnej hierarchii cywilnej i wojskowej, lecz w drodze kontaktów bezpośrednich, zarówno z osobistościami arabskimi odnoszącymi się przychylnie lub negatywnie do programu integracji, jak z najniższymi szczeblami kadr wojskowych. Godne było uwagi w swoim czasie jego przyjęcie dla kilkuset kapitanów, zwolanych do Algieru z oddziałów walczących, bez udziału oficerów wyższych stopni.

O tym, że obecny szef państwa francuskiego nie uznał, jak dotychczas, hasła integracji świadczy nie tylko fakt, że w żadnym ze swoich przemówień nie wymienił tego słowa, ale że wyraźnie wykluczył je ze swego słownika wypowiadając się publicznie przeciwko usztywnianiu problemu algierskiego w tej czy innej formule. Wytrwałość w unikaniu tego słowa jest tym bardziej znamienita, że doprowadza ona do objawów wyraźnej desperacji zarówno koła aktywistyczne ludności europejskiej w Algierze, jak klub deputowanych Algieru, a pozostaje w wyraż-

nej sprzeczności z oficjalną postawą większości U.N.R. Przy okazji swego rozpoznania gen. de Gaulle zauważył z całą pewnością rozbieżność w interpretacji hasła integracji przez aktywistów algijskich i przez armię. Dla pierwszych integracja oznacza przede wszystkim organiczny związek administracyjny Algieru z Metropolią dla drugich — poprawę warunków egzystencji mas muzułmańskich jako najpewniejszy sposób pojednania ludności Algieru z Francją i utrwalenia suwerenności Francji na tym obszarze.

W obecnym stanie umysłów i w klimacie wojennego zaognienia, podsycanego przez akcję terrorystyczną F.L.N. — gen. de Gaulle wybrał metodę działania empirycznego, polegającego na ostrożnym posuwaniu się od etapu do etapu w kierunku celu, jaki sobie nakreślił, a którego publiczne sformułowanie odkłada na sposobniejszą chwilę. Pierwszym z tych etapów było przemówienie w Constantine, wygłoszone w początkach września 1958, w którym General otworzył perspektywę zagospodarowania Algieru, kładąc szczególny nacisk na stworzenie przemysłu, m.in. zakładów stalowych w okolicach Bône i rafinerii ropy w Algierze, na modernizację rolnictwa i na masowy rozwój szkolnictwa.

Stwierdziwszy pozytywny rezonans tego programu wśród ludności Algieru i w Metropolii oraz na terenie międzynarodowym, gen. de Gaulle posunął się o krok dalej wysuwając oficjalnie, w czasie konferencji prasowej w dniu 23 października, propozycję zawieszenia broni, która doprowadziłaby do „pokoju walecznych” i wskazując nacjonalistom algijskim masowy udział w wyborach, jako najskuteczniejszą drogę do legalnej walki o przyświecające im cele polityczne.

Olbrzymi rezonans tych propozycji na terenie międzynarodowym, w Algierze i w Metropolii, wytworzył atmosferę entuzjastycznej niemal euforii. Zdawało się, że pokój w Algierze jest kwestią dni.

Tak zwany tymczasowy rząd algijski, utworzony w początkach października przez F.L.N. i przebywający w Kairze, odrzucił propozycję de Gaulle'a popełniając zaraz na wstępie swego istnienia katastrofalny błąd polityczny.

Przywódcy powstania nie zdali sobie sprawy ze zmiany klimatu na terenie międzynarodowym na ich niekorzyść, w wyniku powtarzających się od czerwca 1958 objawów dobrej woli ze strony czołowej osobistości francuskiej, skupiającej w swych rękach w tym czasie władzę autorytatywną, i której prestige osobiste zapewniało poszanowanie osobistych zobowiązań. Nie kontrolując w sposób stały żadnej części terytorium Algieru, rząd powstańczy nie spełnia warunków prawnych, które zmuszałyby Francję do uznania go i pertraktowania z nim na terenie państwa neutralnego. Nie posiada on również absolutnej reprezentatywności gdy chodzi o występowanie w imieniu ludności Algieru. F.L.N. jest w dziejach walk powstańczych jedyną organizacją, która zmuszona jest zapewniać sobie posłuch

własnego narodu terrorem. Ilość Algierczyków zarżniętych (rządziej zastrzelonych) w ciągu czterech lat wojny przez bojówki F.L.N. przewyższa kilkakrotnie ilość Francuzów, którzy padli w walkach lub na skutek zamachów. Nie ulega wątpliwości, i pod tym względem nie ma różnic w opinii korespondentów prasy zagranicznej, nawet niechętnych Francji, że ludność Algieru znajduje się przede wszystkim w stanie skrajnego wyczerpania czteroletnią wojną partyzancko-terrorystyczną i pragnie przede wszystkim pokoju. Nie ulega także wątpliwości, że niezależnie od dążenia do jakiejś formy niepodległości istnieje wśród ludności Algieru, a zwłaszcza wśród jej elity społecznej, kulturalnej i ekonomicznej przekonanie, że niepodległość w oderwaniu od Francji oznaczałaby powrót do warunków średniowiecznych. F.L.N. nawet odmawiając wysłania delegacji do Paryża mógł być wykorzystać pozytywnie okazję, jakieś dostarczyła mu propozycja de Gaulle'a. Ryzyko, wynikające z zawieszenia broni nie było wielkie, gdyż bazy zaopatrzeniowe, magazyny broni i ośrodki szkoleniowe powstańców znajdują się na terenie Tunisu i Maroka. Nawet pozostając zagranicą i nie uznając oficjalnie ważności wyborów, F.L.N. mógł być nieoficjalnie zachęcić nacjonalistów algijskich do masowego udziału w głosowaniu listopadowym. Gdyby kandydaci nacjonalistyczni uzyskali większość mandatów algijskich, F.L.N. oprócz nielegalnej uzyskałby legalną platformę walki o swoje cele, dostarczając de Gaulle'owi tak bardzo przezeń upragnionego „miarodajnego rozmówcy” (*interlocuteur valable*). W razie gdyby kandydaci nacjonalistyczni znaleźli się w mniejszości, istniała zawsze możliwość wyboru pomiędzy pozostawieniem ich w parlamencie, lub skłonieniem do dymisji pod pretekstem, że niepowodzenie wyborcze wynikało z rzekomej kontroli wyborów przez armię francuską. Żadna z tych możliwości nie została wykorzystana, a politycznie przywódcy powstania utrudniając wysiłki de Gaulle'a działali tak, jakby byli w zмовie z nieprzejednanymi nacjonalistami francuskimi z Algieru.

Sprawa Algieru znalazła się ponownie w impasie, a w wypowiedziach przedstawicieli dowództwa francuskiego lub administracji zaczyna powracać tak dobrze znany sprzed maja slogan o ostatnim kwadransie oporu powstańców. W kołach aktywistów algijskich i w ich prasie, spotyka się coraz częściej krzywkę amnestii, zastosowanej przez de Gaulle'a z okazji oficjalnej inauguracji V Republiki, pod pozorem, że zabieg ten może wywołać wrażenie słabości. Zapomina się przy tym, że metoda bezwzględnej surowości w represjach, stosowana przed 13 maja 1958, nie dała żadnych wyników i nie została potraktowana przez powstańców jako objaw siły Francji.

Przedłużanie wojny w Algierze nie ma sensu z punktu widzenia interesów Francji i zainteresowanej ludności. Przewaga wojskowa Francji nie zapewnia stłumienia akcji terrorystycznej i nie zapobiega uzupełnieniu szeregów powstańczych rekrutem i bronią. Zniszczenie nieuchwytnego przeciwnika, który uchyla się

od przyjęcia walki w otwartym polu, jest wojskowo niewykonalne. Z drugiej strony powstańcy nie mają i nie mogą mieć żadnych możliwości pobicia armii francuskiej i osiągnięcia kontroli terytorium algierskiego. Na tym obszarze nie ma warunków dla powtórzenia się eksperymentu indochińskiego.

W niektórych skrajnie nacjonalistycznych kołach francuskich przebąka się o ewentualnym rozciągnięciu na Maroko i Tunis operacji wojskowych przeciwko powstańcom algierskim. Jeżeli wyjść z założenia poszukiwania rozwiązania wojskowego, zamiar taki byłby na wskroś logiczny. Aby zniszczyć bazy przeciwnika trzeba uderzyć tam, gdzie one się znajdują. Założenie grzeszy jednak brakiem przewidywania na dalszą metę i lekkomyślnością. W naszej epoce — a uczy tego doświadczenie Korei, Indochin i Suez — żadna wojna lokalna nie może zakończyć się zwycięstwem jednej ze stron, gdyż każda staje się natychmiast terenem interwencji sił trzecich. Nie ulega wątpliwości, że armię francuską stać na szybkie uporanie się z regularnymi siłami zbrojnymi Maroka i Tunisu, choćby z tego powodu, że przedstawiają one pod każdym względem znikomą wartość. Interwencja taka oznaczałaby jednak rozszerzenie wojny partyzancko-terrorystycznej na cały obszar Afryki Północnej, wiązałaby na długi czas całość francuskich sił zbrojnych i osłabiałaby pozycję Francji w Europie na korzyść Niemiec. Oznaczałaby ona jednocześnie załamanie się zasadniczej koncepcji gen. de Gaulle'a, polegającej na stworzeniu wielkiej całości francusko-afrykańskiej z dobrowolnym udziałem Maroka i Tunisu. Nie ma więc obaw, aby z możliwością tego rodzaju awantury należało liczyć się poważnie.

Powstańcy algierscy odrzucając propozycję de Gaulle'a znaleźli się również w impasie. Nie mając możliwości stawienia czoła armii francuskiej w polu, zmuszeni są do dalszego uprawiania partyzantki i terroru, zniechęcając do siebie nawet komunistów francuskich w Metropolii, a w Algierze pogłębiając z każdym dniem nędzę i zniszczenie materialne i biologiczne własnego narodu. I w tych kołach rodzą się rozpaczliwe plany rozszerzenia wojny przez wciągnięcie do niej Maroka i Tunisu, ale nie ma wątpliwości, że rządy tych krajów uczynią wszystko, aby do podobnej awantury nie dopuścić. Ponieważ impas jest dwustronny, jedynym wyjściem może być próba zmiany położenia wyjściowego i oparcie na niej nieuniknionego dla obydwu stron kompromisu.

Próba zmiany położenia wyjściowego polegająca na stworzeniu nowych elementów rzeczywistości algierskiej, została zapoczątkowana przez Francję w drodze zabrania się do poważnego opracowania i realizacji programu naszkicowanego przez de Gaulle'a w Constantine. Nie ulega wątpliwości, że śmiałe zaangażowanie się Francji w poważne inwestycje, mogące dostarczyć zatrudnienia dziesiątkom tysięcy osób, połączone z zakrojoną na szeroką skalę akcją szkolną, społeczną i higieniczną — nie może nie wywołać wśród ludności autochtonicznej echa pozy-

tywnego. Byłyby to niewątpliwe dowody dobrej woli Francji, których F.L.N. i jego zakulisowi sojusznicy nie mieliby żadnych możliwości zrównoważyć.

W dziedzinie czysto politycznej gen. de Gaulle dokonał dwóch nowych posunięć: Odpowiadając b. prezydentowi René Coty, podczas uroczystości przejmowania władzy, rozwinął on jeszcze raz perspektywę wspólnoty francusko-afrykańskiej, w której uprzywilejowane miejsce powinien zająć Algier jutrzejszy „spacyfikowany i przebudowany, rozwijający się z samą osobowością i ściśle stowarzyszony z Francją”.

W kilka dni później, w czasie przemówienia radiowego w dniu 14 stycznia i jak gdyby podejmując rękawicę rzuconą przez krytyków jego polityki, gen. de Gaulle, wymieniając sprawę Algieru jako decydującą o odrodzeniu Francji, posunął się o nowy krok naprzód mówiąc o pacyfikacji i przebudowie, jako o koniecznych warunkach rozwiązania „politycznego”, które będzie przeprowadzone w drodze głosowania powszechnego. Po raz pierwszy padła zapowiedź rozwiązania politycznego, po raz pierwszy zarysowała się ewentualność poddania rozwiązania politycznego pod referendum, w razie gdyby obecny układ sił politycznych w parlamencie nie pozwolił na inne wyjście *).

IV

O ile problem Algieru oczekuje jeszcze rozwiązania, o tyle zagadnienie francuskiej Afryki Czarnej zostało rozegrane przez de Gaulle'a z powodzeniem i może być zapisane jako pierwsze poważne osiągnięcie V Republiki.

Jak wiadomo, przeciwko pozostaniu w ramach Wspólnoty wypowiedziała się w referendum wrześniowym tylko jedna z 13 kolonii francuskich w Afryce Czarnej — Gwinea. Po kilku miesiącach poszukiwania własnej drogi, kraj ten zdecydował się pozostać w strefie frankowej i korzystać nadal z francuskiej pomocy kapitałowej, technicznej, kulturalnej i lekarskiej. Językiem urzędowym pozostał francuski. Doświadczenie nacjonalistów gwinejskich potwierdza, że niepodległość nie rozwiązuje

*) W chwili gdy podpisuję ten artykuł nadchodzą wiadomości o demonstracjach w Algierze przeciw de Gaulle'owi z okazji oficjalnej podróży premiera Debré. O ile te wystąpienia byłyby dziełem aktywistów zorganizowanych, można by je potraktować jako rozpaczliwy odruch na skutek uświadomienia sobie przegranej politycznej. Gdyby, przesadzając, potraktować je poważnie, nasuwałby się wniosek, że ich inspiratorzy gotowi są posunąć się aż do ewentualnej secesji z Metropolią. Decydującą rolę musiałaby wówczas odegrać armia. Mogła się ona wahać i próbować narzucić Metropolii swoją wolę w epoce słabych rządów, które ustępowały pod naciskiem wypadków i szły na koncesje jednostronne bez żadnej równowagi. Obecnie armia jest dowodzona, a kraj rządzony.

automatycznie problemów wobec których znajdują się kraje kulturalnie prymitywne, gospodarczo — niedorozwinięte.

Pozostałe dwanaście kolonii wybrało, zgodnie z możliwością przewidzianą przez nową konstytucję francuską, statut państwa o ograniczonej niepodległości w ramach Wspólnoty. Wśród przywódców murzyńskich wybuchł jednak spór na temat sposobu związania się z Francją w ramach Wspólnoty. Cztery kolonie dawnej Francuskiej Afryki Zachodniej: Senegal, Sudan, Volta i Dahomej postanowiły związać się w federację pośrednią, której nadano nazwę „Mali” gdyż jej granice pokrywają się na ogół z granicami potężnego państwa, jakie na tym obszarze istniało w Średniowieczu. Trzy pozostałe terytoria Afryki Zachodniej: Maurytania, Nigeria i Wybrzeże Kości Słoniowej oraz cztery terytoria Afryki Równikowej: Czad, Oubangi-Chari, Gabon i Kongo przekształciły się w republiki, pragnące wchodzić w skład Wspólnoty bezpośrednio. Ze względów zrozumiałych nie było problemu gdy chodzi o bezpośrednią przynależność Madagaskaru.

Jedną z trosk de Gaulle'a jest stwarzanie precedensów w zakresie ścisłego stosowania nowej konstytucji. Jako jej inspirator i główny autor, zarezerwował on prezydentowi Republiki Francuskiej prerogatywy szefa Wspólnoty. Jedną z jego pierwszych czynności, po przeniesieniu się do Pałacu Elizejskiego, było zwołanie pierwszego posiedzenia egzekutywy Wspólnoty, które odbyło się pod jego aktywnym przewodnictwem w pierwszym tygodniu lutego. Udział w tym posiedzeniu wzięli premierzy dwunastu republik afrykańskich oraz ministrowie francuscy, stojący na czele resortów wspólnych. O federacji Mali nie było na razie mowy, a przebieg dwudniowych obrad upoważnia do stwierdzenia, że aspiracje narodowe poszczególnych terytoriów francuskiej Afryki Czarnej zostały na długi okres czasu zaspokojone. Długotrwałość tego okresu zależy od atrakcyjności Francji jako federatora. Powodzenie koncepcji de Gaulle'a w zakresie Afryki Czarnej potwierdza raz jeszcze korzyści śmiałego ryzyka, powziętego na czas. Przed wybuchem powstania algierskiego, w 1954 roku, obecny prezes „rządu tymczasowego”, Ferrhat Abbas, walczył jeszcze o przeprowadzenie uczciwej integracji. O hasło niepodległości nie było wówczas mowy.

Z punktu widzenia znaczenia Francji w stosunkach między narodowych godzi się zwrócić uwagę na fakt, że Wspólnota Francusko-Afrykańska jest związkiem o wiele bardziej zwartym niż Wspólnota Brytyjska. Egzekutywa Wspólnoty jest prawdziwym rządem wspólnym, a przyszły senat — organem władzy ustawodawczej, interesującej całość Wspólnoty. Od lutego 1959 można mówić o dobrowolnym związku francusko-afrykańskim, liczącym 80 milionów mieszkańców i zajmującym wyjątkową pozycję geopolityczną po obydwu stronach morza Śródziemnego i z olbrzymim wybrzeżem oceanicznym. Realizując Wspólnotę zdobył de Gaulle nieodparty argument do udziału w koncercie światowym obok Stanów Zjednoczonych i Anglii.

V

We wrześniu 1958 r. wystosował de Gaulle memoriał do rządów: Stanów Zjednoczonych i W. Brytanii przedstawiając im konieczność reformy organizacji Paktu Atlantycznego i zapewnienia Francji stałego udziału w opracowywaniu decyzji politycznych na skalę światową. Głównym argumentem był fakt, że Francja zapewnia jedyną skuteczną barierę przeciwko penetracji sowieckiej w Afryce Północnej, ponosząc cały ciężar obrony frontu europejskiego przed oskrzydleniem od południa. Zadanie to, narzucone ipso facto przez rozwój sytuacji na Bliskim Wschodzie, uzasadnia z jednej strony obecność francuskich sił zbrojnych w Afryce, z drugiej strony — aspiracje Francji do współpracy z dwoma mocarstwami anglosaskimi w sprawach wykraczających poza granice kontynentu europejskiego. Zaniepokojenie, które w pierwszej chwili powstało w Niemczech i we Włoszech zostało szybko załagodzone, gdy okazało się, że dyplomacja francuska nie żąda żadnych zmian instytucjonalnych i że z wzorową lojalnością informuje swoich europejskich partnerów o każdej inicjatywie. Wizyta premiera włoskiego w Paryżu, a zwłaszcza dwa spotkania de Gaulle'a z Adenauerem, w ciągu których okazało się, że szef rządu francuskiego nie zamierza opóźnić wejścia Francji na Wspólny Rynek Europejski, wyczuliśmy atmosferę! Jedynie Anglia pozostała niezadowolona, gdyż udział Francji w koncercie światowym oznacza wyłom w duumwiracie anglosaskim, którego utrzymanie gabinet angielski uważa za kamień węgielny swej polityki zagranicznej.

Nowym motywem ochłodzenia stosunków francusko-angielskich stała się sprawa Wspólnego Rynku Europejskiego, obejmującego sześć krajów zachodnich, 170.000.000 ludności i produkcję zajmującą w skali światowej trzecie miejsce po Stanach Zjednoczonych i Bloku Sowieckim. W powstaniu tego rynku i w wynikających z niego perspektywach na zjednoczenie polityczne, dopatruje się Anglia zagrożenia całej swej polityki, która od czasów Pitta stawiała sobie za cel niedopuszczenie do politycznej i gospodarczej konsolidacji kontynentu europejskiego. Ponieważ Wspólny Rynek jest więcej niż unią celną, bo przy zastosowaniu wspólnego ustawodawstwa gospodarczego i społecznego prowadzi do integracji, Anglia uchyliła propozycję przystąpienia do niego, motywując ją swymi zobowiązaniami wobec Wspólnoty Brytyjskiej. Żądając dla Europejskiej Unii Współpracy Gospodarczej (O.E.C.E.), do której należało 17 państw, takich samych przywilejów jak dla Wspólnego Rynku, zmierzała Anglia praktycznie do unicestwienia tego ostatniego. Francja wytrzymała napór, podobnie jak jej partnerzy, i Rynek Wspólny wszedł w życie z dniem 1 stycznia rb. Nie tutaj miejsce na szersze omówienie tej sprawy, która zasługuje na odrębne studium.

W listopadzie 1958 rząd sowiecki zapowiedział, że za 6 miesięcy przekaże swe uprawnienia w Berlinie, jak również kontrolę komunikacji Niemiec Wschodnich z Zachodem — rządowi w Pankow. Kilka tygodni później nastąpiło ogłoszenie przez Sowiety projektu traktatu pokojowego z Niemcami i odbyła się podróż Mikołajana do Stanów Zjednoczonych.

W przeciwieństwie do swoich partnerów anglosaskich, dyplomacja francuska potraktowała oba wystąpienia sowieckie spokojnie, wypowiadając się przeciwko szybkiej i nieprzemyślanej na nie reakcji. Stanowisko to zostało z uznaniem przyjęte przez rząd Adenauera, a w końcu także przez amerykańskiego sekretarza Stanu. Podyktowana względami polityki wewnętrznej decyzja premiera angielskiego udania się do Moskwy, krytykowana zarówno w Waszyngtonie jak i w Bonn i w Paryżu, ułatwiła wejście Francji na szczybel kierownictwa polityką światową Zachodu. Paryż wypowiedział się za polityką zdecydowania, stanowczości, a w każdym razie przeciwko jakimkolwiek ustępstwom, niezrównoważonym ustępstwami sowieckimi.

Istnieją dwie interpretacje inicjatyw sowieckich w sprawie Berlina i w sprawie pokoju z Niemcami oraz ich zjednoczenia na podstawie konfederacji parytetowej dwóch państw niemieckich. Pierwsza z nich, prawdopodobnie bliższa prawdy, przypisuje zamiarom sowieckim cele ograniczone: zmuszenie Zachodu do uznania rządu wschodnio-niemieckiego i zlikwidowanie w Berlinie zachodnim oazy, znajdującej się w samym sercu komunistycznej republiki niemieckiej i oddziaływującej demoralizująco na strefę wpływów sowieckich. Druga z nich zakłada, że Sowiety pragną, poprzez neutralizację Niemiec, porozumieć się z Zachodem w celu zabezpieczenia swych tyłów europejskich, co umożliwiłoby im zwrócenie się całym frontem w kierunku Azji, gdzie zaczyna narastać potęga chińska.

W obu wypadkach polityka odmowy ustępstw, którym nie towarzyszyłyby równoległe i równie daleko idące ustępstwa sowieckie, wydaje się w chwili obecnej jednoczyć Stany Zjednoczone i Francję, a także i Niemcy Federalne, choć te ostatnie do pewnego tylko stopnia. Nas na tym miejscu interesuje jaki rodzaj ustępstw proponują aliansi Sowietaom wzajemian za ewentualną zgodę na zjednoczenie dwóch państw niemieckich na zasadzie konfederacji i nieutralizacji. Należy się lękać, że warunki wysunięte przez Zachód będą za płytkie i wyjaśnienia sytuacji nie przyniosą. Na końcu perspektywy, otwartej przez ewentualną neutralizację Niemiec byłoby rozwiązanie Paktu Atlantyckiego, a co najmniej wycofanie atomowych broni taktycznych z terytorium niemieckiego na francuskie. Cena za takie ustępstwa powinna być wysoka. Dlaczego nie proponować Sowietaom jednoczesnej neutralizacji co najmniej Polski, Czechosłowacji i Węgier, jeżeli nie Rumunii i Bułgarii? Taka kontrproponycja połączona z jednoczesnym uznaniem granicy Odry i Nisy, byłaby nie tylko zrównoważeniem ewentualnych ustępstw zachodnich, ale i sondażem istotnych zamiarów so-

wieckich. Jedno z dwojga: albo Sowiety stawiają sobie ograniczony cel polityczny, usztywnienia żelaznej kurtyny na europejskim teatrze zimnej wojny i wtedy kontrproponicje Zachodu z większym lub mniejszym trzaskiem odrzuca i sprawa zostanie wyjaśniona, albo — jeżeli istotnie zależy im na odprężeniu w stosunkach z Zachodem, wówczas mogą znaleźć w kontrproponicjach Zachodu okazję do honorowego wycofania się z krajów, w których komunizm przegrał i nie posiada żadnych warunków na odegranie się. Nawet jeżeli przyjąć, że Niemcy Wschodnie obaliliby nazajutrz po ustąpieniu okupacyjnych wojsk sowieckich ustroj komunistyczny, i że to samo nastąpiłoby w Polsce i w innych krajach zneutralizowanych — operacja byłaby jeszcze opłacalna dla Sowietów, bo między nimi a zjednoczonymi Niemcami istniałby pas państw, z których żadne nie miałyby ochoty zamienić okupanta sowieckiego na hegemonia niemieckiego.

Zjednoczenie Niemiec, gdyby się dokonało naprawdę, stwarzałoby w środku Europy 70-ciomilionową masę ludności o olbrzymim potencjale przemysłowym. Taka perspektywa nie może wywoływać nadmiernego entuzjazmu Francji i innych partnerów europejskich Niemiec i to nawet zakładając ich szczerą wolę stopniowej integracji gospodarczej. Zrównoważenie aporitu, jakim byłoby dla Niemiec Federalnych zjednoczenie z Niemcami Wschodnimi przez aort 50-ciu milionów Polaków, Czechosłowaków i Węgrów do Wspólnoty Europejskiej byłoby na pewno skuteczną gwarancją harmonii i równowagi. Ale czy myśl polityczna Zachodu, nawet tak śmiała i dalekowzroczna jak myśl gen. de Gaulle'a, sięgnie tak daleko?

VI

Pod koniec roku 1958 rząd gen. de Gaulle'a zdecydował się na przeprowadzenie rozległej akcji uzdrowienia finansowo-gospodarczego.

Jak wspominałem kilka miesięcy temu *) ekspansja gospodarcza Francji odbyła się w ostatnich latach w warunkach inflacji. Francja spożywała więcej niż produkowała, importowała więcej niż eksportowała. Pod koniec pierwszej połowy roku 1958 została bez dewiz, groziło wstrzymanie importu, a co za tym idzie — paraliż przemysłu i bezrobocie. Pożyczka Pinay'a i wzrost wkładów oszczędnościowych przyniosły chwilową ulgę, ale nie mogły mieć znaczenia rozstrzygającego. Pozwoliły jednak zyskać na czasie i przygotować serię zarządzeń zharmonizowanych i obejmujących całość życia gospodarczego państwa. Konieczność tych zarządzeń wynikała również z zobowiązań międzynarodowych. Francja nie mogła wejść z dniem 1 stycznia 1959 na Wspólny Rynek z walutą utrzymywaną sztucznie na zbyt wysokim poziomie w obrotach międzynarodowych, ani z wysokimi cenami swoich towarów.

*) W artykule pt. „Powrót Francji?” Nr. 9/131 „Kultury”

W ostatnim tygodniu grudnia został ogłoszony nowy budżet i wielka seria zarządzeń natury finansowej. Nowy budżet przewiduje wzrost wydatków, w porównaniu z rokiem 1958, o 1.258 miliardów franków, czyli o 20%, z czego 671 miliardów ma być pokryte przez wzrost dochodów, a 587 miliardów pozostawiono bez pokrycia, jako tzw. impas, czyli po prostu deficyt.

Wzrost dochodów zostanie osiągnięty poprzez zniesienie subwencji, których zadaniem było utrzymanie niskich cen na szereg artykułów podstawowych (m.in. chleb, mleko, wino), przez powiększenie podatków pośrednich i bezpośrednich oraz przez ograniczenie pewnych świadczeń społecznych.

Jednocześnie zdecydowana została dewaluacja franka o 17,5% i wymiennosc franka na obce dewizy.

Francja weszła śmiało i zdecydowanie na drogę surowości, której nie potrafiła sobie narzucić zaraz wojnie, jak Anglia, Niemcy i inne kraje europejskie. W przeciwieństwie do dawnych zarządzeń dewaluacyjnych, decyzje grudniowe stanowią całość zharmonizowaną, a celem ich jest zahamowanie inflacji przez ograniczenie spożycia, stworzenie bardziej sprzyjających warunków dla eksportu i uzdolnienie rynku wewnętrznego do konkurencji z towarami importowanymi, na skutek otwarcia Wspólnego Rynku i zmniejszenia opłat celnych o 10%.

Całość tych zarządzeń nakłada po raz pierwszy poważne ciężary na całe społeczeństwo francuskie i nie ulega wątpliwości, że na podobny zabieg nie mógłby sobie pozwolić żaden z rządów IV Republiki.

Bezpośrednim wynikiem zniesienia subwencji i wzrostu podatków pośrednich jest wyższa cen i obniżenie stopy życiowej ludności. Aby uchronić najuboższą część społeczeństwa przed tymi skutkami, rząd podniósł o 4,5% wysokość najniższych, gwarantowanych zarobków i w tej samej mniej więcej proporcji pensje urzędników państwowych.

Całość zabiegu grudniowego została opracowana przez komitet ekspertów, powołany przez ministra finansów, Pinay'a i nosi wszelkie cechy ortodoksji liberalnej. Z punktu widzenia sprawiedliwości społecznej można by krytykować zniesienie subwencji i zwiększenie podatków pośrednich, jako uderzające przede wszystkim w najsłabsze warstwy narodu. Tymi względami zresztą umotywował Guy Mollet odmowę partii socjalistycznej udziału w pierwszym gabinecie V Republiki i przejście do opozycji konstruktywnej. Niewątpliwym błędem było ograniczenie świadczeń społecznych (zmniejszenie zwrotu kosztów lekarstw i zniesienie zasiłku rodzinnego przy jednym dziecku powyżej 5-ciu lat) gdyż opinia francuska uważa, nie bez słuszności, obowiązujący obecnie system opieki społecznej za jedną z największych zdobyczy tego wieku. Nie brakło również głosów i ostrzeżeń krytycznych w stosunku do samej koncepcji gospodarki Pinay'a i jego komitetu ekspertów. Zarówno socjaliści, jak i M. R. P., jak nawet jeden z przywódców U. N. R. — Chalandon, młody i utalentowany bankier, wyrażają lęk

przed poświęceniem ekspansji na rzecz ortodoksji finansowej. Z tymi wszystkimi zastrzeżeniami, mimo nie zawsze sprawiedliwego podziału obciążeń, całość powyższych decyzji może przynieść w ciągu dwu do trzech lat uzdrowienie finansów i gospodarki francuskiej pod warunkiem kontroli wzrostu cen i nie dopuszczeniem do ponownego wyścigu pomiędzy cenami i płacami.

Ponieważ ograniczenie spożycia grozić może dalszym spadkiem produkcji, i tak już dotkniętej skutkami recesji światowej, powodującej zmniejszenie eksportu, rząd przewidział wzrost wydatków inwestycyjnych na sektorze publicznym i w budownictwie mieszkaniowym, licząc, że inwestycje prywatne czerpać mogą z oszczędności prywatnych.

Mimo niewątpliwiej surowości całość tych zarządzeń przyjęta została przez społeczeństwo ze spokojem. Masy francuskie pragną wierzyć, że tym razem poświęcenia nie będą daremne. Groźba bezrobocia lub zmniejszenia godzin pracy nie sprzyja protestom i strajkom. Jeżeli wzrost cen nie przekroczy 8 maksimum 10% spókoj społeczny może być utrzymany aż do osiągnięcia równowagi budżetowej i bilansu płatniczego. Francja weszła na Rynek Wspólny bez żadnych zastrzeżeń i specjalnych przywilejów. Kurs franka, mimo wolnej wymiennosci, utrzymuje się na poziomie parytetu z dnia dewaluacji, to znaczy na poziomie 493-494 franki za dolara. Giełda zareagowała przychylnie, kurs francuskich papierów wartościowych wzrósł o 10 do 20% świadcząc o napływie kapitału zagranicznego lub francuskiego, repatriowanego. Francja jako partner finansowy zyskała na zaufaniu. Banki amerykańskie i niemieckie postawiły jej do dyspozycji kredyt do wysokości 600 milionów dolarów, z którego zresztą rząd stara się nie czerpać. Filie przedsiębiorstw amerykańskich w metropolii uzyskały od banków amerykańskich poważne pożyczki. Powstało nowe towarzystwo eksploatacji źródeł naftowych w Saharze z udziałem Standard Oil, który dostarczył połowę kapitału. Mimo pożyczki Pinay'a, która wydrenowała rynek pieniężny z 450 milionów dolarów, wkłady oszczędnościowe wzrosły poważnie w ciągu drugiej połowy 1958 roku. Wzrosły także w styczniu 1959, mimo znanych już zarządzeń finansowych.

W tej chwili wzrost cen zdaje się być częściowo zahamowany wskutek zmniejszenia spożycia i wyprzedaży stoków. Nowa fala wyżek będzie jednak nieunikniona w miarę rozprowadzania na koszty produkcji wyżek cen energii i transportu oraz surowców importowanych. Niewątpliwie w ciągu roku wzrosną ceny artykułów tekstylnych oraz artykułów użytku domowego o wartości stałej, do których fabrykacji potrzebna jest pewna ilość towarów importowanych.

Poważną troskę przedstawia sprawa produkcji i zatrudnienia. Francja zakończyła rok 1958 wzrostem produkcji o 5% w porównaniu z 1957, co nie jest wynikiem złym w porównaniu z jej sąsiadami, których produkcja ogólna cofnęła się o kilka procent. Produkcja stali wzrosła o 3,7%, gdy w Niemczech zma-

łała o blisko 10%. Produkcja samochodów wzrosła z nieco ponad 900.000 w roku 1957 na blisko 1.200.000 w roku 1958, z czego 30% wyeksportowano. Jednak wskaźnik produkcji wykazywał stały spadek z miesiąca na miesiąc. W listopadzie i grudniu 1958 r. Francja produkowała mniej niż w tych samych miesiącach roku 1957. Ilość godzin pracy spadła w niektórych działach wytwórczości, jak w tekstyliu, poniżej 40 na tydzień. Wprawdzie ilość bezrobotnych, mających prawo do zasiłku, nie przekracza 28.000 i jest znikoma w porównaniu z innymi krajami, to jednak ograniczenie ilości godzin pracy poniżej 40 na tydzień, może być traktowane jako bezrobocie częściowe. Uruchowienie inwestycji zarówno na sektorze publicznym jak i prywatnym staje się najwyższą koniecznością. Jest to może jedyny wzgląd, który tłumaczy oparcie reform finansowych na zasadach ortodoksyjnego liberalizmu. Jeżeli kapitał prywatny zaangażuje się w inwestycjach na poważną skalę, kierunek polityki finansowej rządu będzie usprawiedliwiony. Na ogół sytuacja gospodarcza Francji nie wzbudza większego niepokoju, a sytuacja finansowa przechodzi proces uzdrowienia. Przyszłość zależy od rozwiązania sprawy Algieru. Wojna pochłania obecnie — jeżeli wziąć pod uwagę tylko koszty związane z bezpośrednim jej prowadzeniem — 10% budżetu państwa, czyli tyle ile wynosi deficyt. Z drugiej strony likwidacja tej wojny warunkuje przyspieszenie eksploatacji źródeł naftowych Sahary. Samo tylko podniesienie produkcji ropy do 20 milionów ton, przewidywane na rok 1965 — rozwiąże sprawę równowagi bilansu handlu zagranicznego i pozwoli na powiększenie importu surowców, stwarzając sprzyjające warunki dla wznowienia ekspansji.

VII

Dominującą siłą przewodnią Francji pozostaje, bardziej niż kiedykolwiek, generał de Gaulle. Budowa Wspólnoty, zapewnienie wpływu Francji na decyzje o charakterze światowym, praca nad rozwiązaniem sprawy Algieru, reorganizacja przestarzałej armatury państwowej, surowa polityka gospodarcza w kraju przyzwyczajonym do życia ponad stan — wszystko to wymaga przewidywania, koncepcji, woli i energii realizacyjnej. Zarysowują się już kontury konfliktów, które wypadnie rozstrzygnąć może nieraz w sposób drastyczny. Kto jednak obserwował metody działania de Gaulle'a w czasie wojny ten łatwo zrozumie jego taktykę obecną. Szef nowej Francji nie rezygnuje z żadnego z celów jakie sobie nakreślił. Empiryk i chłodny realista, posuwa się od etapu do etapu cierpliwie usuwając przeszkody, o ile to jest możliwe wyczekując odpowiedniej chwili i wykorzystując nadarżające się okazje. Dzięki pełnomocnictwom, nadanym mu przez Zgromadzenie Narodowe w początkach czerwca, dzięki objęciu prezydentury w styczniu tego roku, skupił on w swoich rękach władzę, jakiej od czasów cesarstwa nie posiadał

żaden szef państwa francuskiego. Będzie tę władzę stosować stopniowo, w miarę utrwalania się w społeczeństwie francuskim przekonania o jej skuteczności. W jednym z ostatnich przemówień uczynił de Gaulle aluzję do przysługującego mu na podstawie nowej konstytucji prawa odwoływania się w razie sporów z parlamentem do opinii publicznej w drodze referendum. Trudna jest naprawa demokracji w sposób legalny i demokratyczny, ale to uprawnienie, pozwalające szefowi państwa znaleźć wyjście z impasu przez oddanie sprawy spornej pod sąd narodu, jest chyba w tej dziedzinie osiągnięciem najdonioślejszym. Kto wie czy nie na tej drodze rozstrzygnie się sprawa Algieru, ostatnia przeszkoda na drodze do powrotu Francji do roli wielkiego mocarstwa.

Aleksander KAWALKOWSKI

Kronika angielska

CZY JEST „BUSINESS” BYĆ POLAKIEM?

W pewnej wielkiej brytyjskiej fabryce samochodów pracuje kilku inżynierów Polaków. W ubiegłym roku firma zdecydowała się wysłać dwóch swoich konstruktorów do Stanów Zjednoczonych by przypatrzeli się amerykańskim metodom produkcji, oraz by zakupili i przywieźli skomplikowane aparaty pomiarowe.

Po dłuższych konferencjach w dyrekcji zdecydowano się ostatecznie wysłać inżyniera Anglika i inżyniera Polaka. Młodzi panowie zadowoleni z wyróżnienia spakowali walizki, wsiadli w samolot i odlecieli. Gdy wylądowali wreszcie w Detroit — wykąpali się w hotelu i ogoleni, odprasowani i odświeżeni zameldowali się u dyrektora super-firmy samochodowej. Dyrektor przyjął młodych inżynierów bardzo uprzejmie — częstował kawą i cygarami, ale poza sakramentalnym „yes” i „yes — of course” nie wiele można było od niego się dowiedzieć. Inżynier, który oprowadzał przybyłych z Anglii po fabryce również obawiał się ich bardzo nieufnie. Aż w pewnej chwili nasz Polak w jednej z gigantycznych hal montażowych posłyszał tuż koło siebie dźwięk rodzimej mowy. Od tego momentu wypadki potoczyły się w filmowym tempie. Okazało się, że w fabryce pracuje nie tylko setka polskich robotników, lecz również kilkunastu polskich inżynierów na kluczowych stanowiskach. Nasz rodak z Anglii w przeciągu kilku godzin wiedział wszystko czego chciał się dowiedzieć i zakupił dla swej firmy w Wielkiej Brytanii owe tajemnicze i skomplikowane aparaty pomiarowe. Na obiedzie był u jednego z polskich inżynierów — na kolacji u drugiego — a tymczasem jego kolega Anglik pykał fajkę w hotelu i kłął w duszy na Yankesów.

Następnego dnia była sobota i wywiązała się nowa trudność. Skrzynie

z owymi instrumentami trzeba było załadować na pociąg w godzinach wieczornych. Ale przepisy związków zawodowych zabraniają robotnikom fabryki podejmowania się tego rodzaju zajęć w sobotę i to w dodatku w sobotę wieczorem. Anglik kłął i pykał fajkę — a jego kolega a nasz rodak z wrodzoną swą rasie obrotowością wywahał po kilku telefonach, że sekretarzem związku zawodowego w tym okręgu jest Polak, p. Wieczorek. Mój Boże! Czego nie robi się dla krajana! Okazało się przy pierwszej głębszej, że p. Wieczorek — podobnie jak nasz rodak inżynier — pochodzi ze Śląska. Udzielił wyjątkowej dyspensy i cenne skrzynie odjechały.

W Nowym Jorku, gdy ciężki bagaż załadowano szczęśliwie na statek — nasi młodzi inżynierowie wsiadli w samochód i pojechali na lotnisko. Gdy Anglik zobaczył na rozbieżni liniący samolot brytyjskich linii lotniczych — odetchnął całą piersią i wskazując swemu polskiemu przyjacielowi flagę powiewającą na masce samolotu oderwał się żartobliwie: „wiesz Stephen tego Union Jacka — to już jest Anglia, tam kończy się polska „okupacja“.

Nasz rodak uśmiechnął się pod wąsem i nic nie odpowiedział. (W czasie wojny służył w RAF'ie i nie zgolił tradycyjnego rafłowskiego wąsa na wieczną rzecz pamiątkę).

Po chwili nasi młodzi inżynierowie siedzieli już w samolocie, który mknął szybko po rozbieżni. Za nimi pozostał Nowy Jork a pod nimi burzył się już wielki Atlantyk. Gdy osiągnęli przepisaną wysokość — otworzyły się drzwi od kabiny pilota i stanął w nich oficer — słusznej postawy — jakby powiedziała moja babka. Rzucił bystrym okiem na pasażerów — uśmiechnął się i podszedł szybko do naszego inżyniera rodaka. „Stefan — nie poznajesz mnie?“ — zawołał wyciągając prawicę do braterskiego uścisku.

Inżynier Anglik siedzący obok wznosił oczy ku bliskiemu niebu i westchnął: „Ci są wszędzie“.

Ten epizod, który osiągnął już dziś rangę anegdoty — opowiedział mi inż. K. Gluchowski, szef referatu „propagandy i rekrutacji“ Stowarzyszenia Techników Polskich w Wielkiej Brytanii. Bo jaki jest kardynalny dylemat każdego polskiego zawodowego stowarzyszenia na obczyźnie? Przyciągnąć młodych. Stow. Tech. Pol. jest doskonale postawioną instytucją — liczy kilkaset członków — wydaje fachowy periodyk na wysokim poziomie pt. „Technika i Nauka“ — organizuje odczyty i dyskusje — jednym słowem przejawia zdrową aktywność i dynamikę. Ale młody polski technik czy inżynier, który ukończył studia w Anglii — odpowiada: „To wszystko jest cacy-cacy, ale jestem już członkiem brytyjskiego instytutu zawodowego. Przynależność do brytyjskiego instytutu daje szereg konkretnych uprawnień i korzyści. Jakich korzyści mogę oczekiwać zapisując się do polskiego instytutu zawodowego — co w tym jest za „business“?

Otóż jest „business“. I gdyby tego „businessu“ nie widział, nie pisałbym tej notatki. Może się to na pierwszy rzut oka wydać „overstatement of the year“ — ale Polacy zagranicą są nieświadomi swojej potęgi. Stanowią międzynarodówkę, która swymi wpływami sięga szeroko, daleko i wysoko. Według moich obserwacji — a przebywam już za granicą dwadzieścia lat — z wyjątkiem drętowych oficjalnych emigracyjnych instytucji — Polacy zagranicą są solidarni i uczynni. Nie leży w naszym interesie — a już na pewno nie leży w interesie młodych polskich fachowców — odci-

nać się od polskiej międzynarodówki. Kontakty, stosunki, znajomości — decydują o sukcesie w równej mierze jak uzdolnienia i dyplom. Młody polski technik czy inżynier zapisując się do Stow. Techników Polskich w Wielkiej Brytanii — zyskuje możliwość nawiązania osobistego kontaktu z dziesiątkami inżynierów, którzy pracują często na wysokich stanowiskach w dziesiątkach firm brytyjskich. Młody inżynier Polak poszerza w ten sposób krąg swoich zawodowych brytyjskich kontaktów i możliwości — bo przecież członkowie Stow. Techników Polskich są pracownikami przemysłu brytyjskiego.

Niestety znam polskich inżynierów na poważnych stanowiskach w służbie państwowej czy samorządowej, którzy nie należą do żadnych polskich stowarzyszeń. Tym panom wydaje się często, że polskość to jest „liability“ z którą nie należy się afiszować. Ale znam wypadek, że taki dygnitarz stracił swą znakomitą posadę i rad nie rad wrócił na „ojczyznę łono“. Pracuje dziś w dużej fabryce brytyjskiej dzięki poparciu szefa sekcji — Polaka.

W moim przekonaniu stowarzyszenia zawodowe mają najrealniejsze podstawy bytu i największe perspektywy przetrwania. Młodzi panowie — bądźcie Polakami... *and make most of it!*

„ZAMKI NA ŁODZIE“

Wydaje się, że tzw. Tymczasowa Rada Jedności Narodowej — dobiega kresu swego istnienia. Przyczyną bezpośrednią kryzysu była uchwała Rady Centralnej PPS — domagająca się „usunięcia wszelkich powiązań z tzw. legalizmem“. Obrońcy legalizmu — a wśród nich p. A. Ciołkosz — człowiek niewątpliwych zasług i wielkiego patriotyzmu — wprowadzają zagadnienie, jak zwykle Polacy, do alternatywy: wóz — przewóz. Innymi słowy w myśl tej filozofii albo się jest legalistą, albo pro-reżymowcem — albo się jest za Radą Trzech albo za Cytankiewiczem. Tymczasem 90% Polaków na emigracji nie jest ani za Radą Trzech ani za Cytankiewiczem.

Drugim nieporozumieniem jest problem „polityczności“ emigracji. Zwolennicy legalizmu uważają, że utrzymanie politycznego charakteru emigracji możliwe jest tylko poprzez kultywowanie „legalnych“ fikcji. W moim przekonaniu — fikcje i polityka wykluczają się wzajemnie.

Zastąpienie dotychczasowej Rady Jed. Nar. uznającej „trójkątowego“ erztarz-prezydenta — jakąś luźną konferencją czy komitetem stronnictw trudno byłoby uznać za postęp. W rezultacie mielibyśmy radę legalistyczną, a obok niej radę opozycyjną według schematu Rada Narodowa i Rada Polityczna. Istota legalizmu nie wyczerpuje się w uznawaniu śmiesznych pretekstów Rady Trzech. Istotą legalizmu jest w pierwszym rzędzie fałszywe przekonanie, że tzw. partie historyczne — mimo upływu lat dwudziestu — posiadają mandat do reprezentowania Polaków tak w Kraju jak i na emigracji. Ów mandat jest jeszcze bardziej fikcyjny i komiczny niż „tytuły zwierzchnie“ Rady Trzech.

Byłoby dobrze byłoby raz wreszcie oprzytomnieć i zaczęli się rządzić jak dorośli ludzie. Trzeba powołać reprezentację emigracji wyłonioną w całości z wyborów. Siła klubów politycznych będzie wówczas zależna od ilości wybranych radnych. Tym, którzy twierdzą, że tak zorganizowane wybory przyniosą zwycięstwo endeckim — odpowiadam: trudno! Komuniści

zwalczać ideę wyborów w Polsce wysuwając ten sam argument tzn., że wybory przyniosłyby zwycięstwo czarno-podniebiennej reakcji. Trudno! Nie można być postępowym za cenę odstępstwa od demokracji — bo to w ogóle nie jest żaden postęp. Autentyczny postęp musi iść od dołu i nie ma na to żadnej rady.

Prez. Ciołkosz w artykule pt. „Zamki na lodzie” na łamach „Orla Białego” wyraził pogląd, że wybory na emigracji są mizronką, gdyż żaden szef Egzekutywy nie będzie miał na tę imprezę pieniędzy. Otóż w moim przekonaniu pieniądze może by się znalazły ale musiałby być spełnione pewne warunki. Doświadczenie uczy, że emigranci dają pieniądze na aktualne, konkretne, praktyczne cele. Szef Egzekutywy winien podać do wiadomości publicznej jasny i zwięzły projekt ordynacji wyborczej (wraz z konkretnym terminem), która by przewidywała powołanie nowej reprezentacji wyłącznie w drodze wyborów. Innymi słowy nie dwa procent czy trzydzieści procent radnych wybieralnych, ale sto procent. Równocześnie winno się utworzyć specjalny fundusz wyborczy — całkowicie niezależny od Skarbu Narodowego. Pieniądze wpłacane na ten fundusz mogłyby być użyte wyłącznie i jedynie na pokrycie kosztów przeprowadzenia wyborów. No i należałoby przeprowadzić wybory nie tylko w Wielkiej Brytanii ale we wszystkich krajach osiedlenia.

Gdyby w przeciągu dziesięciu miesięcy — licząc od daty apelu — nie wpłynęło na fundusz nic, względnie tak nie wiele, że obliczone przez komisję wyborczą minimum nie zostałoby osiągnięte — wówczas szef Egzekutywy mógłby ze spokojem stwierdzić, iż wyczerpał wszystkie środki, by wybory przeprowadzić. Odmowa złożenia koniecznego minimum oznaczałaby bowiem, że przytłaczająca większość emigrantów wyborami nie jest zainteresowana. Dopóki jednak nie przeprowadzi się tej próby nikt nie ma prawa twierdzić, że wybory na emigracji to są „zamki na lodzie”.

KOMENTARZE

W bardzo interesująco redagowanym przez Andrzeja Manteuffla „Dodatek Literacko Społeczny” („Głos Polski” — Toronto) — ukazał się dłuższy artykuł poświęcony prasie emigracyjnej. Sporo cennego miejsca poświęcił autor charakterystyce „Kultury”. Ponieważ z „Kulturą” związany jestem od dziesięciu lat niech mi wolno będzie sprostować i wyjaśnić pewne dość istotne nieporozumienia.

P. Manteuffel zarzuca mi, że zaczynam coraz częściej przemawiać w majestatycznej liczbie mnogiej, obejmując owym „my” społeczeństwo polskie na emigracji. Odpieram ten zarzut jak najkategoryczniej. Ilekroć piszę „my”, nie mam na myśli ani narodu polskiego ani ośmiu milionów Polaków zagranicznych, tylko i wyłącznie kilku osobowy zespół „Kultury”. Każdy z członków naszej redakcji korzysta z pełnej swobody pióra. Nie wszystko co spływa z maszyny do pisania Londyńczyka reprezentuje pogląd Redaktora czy zespołu „Kultury”. Tym różnimy się od prasy krajowej. Podobnie jak w periodykach angielskich czy francuskich — znakomita większość artykułów drukowanych w „Kulturze” reprezentuje indywidualne i prywatne poglądy autorów i na tym kropka. Gdyby było inaczej „Kultura” byłaby śmiertelnie nudna. Są pewne pisma na emigracji, których redaktorzy każdy

artykuł muszą uzgadniać z „czynnikiem” — w rezultacie jednak pisma te czytują z dobrym skutkiem tylko ludzie cierpiący na bezsenność.

W pewnych sprawach zespół naszego pisma uważa za stosowne wyrażać swą własną opinię. Wówczas, Londyńczyk — czy ktokolwiek inny przedstawiając ten pogląd używa owego sakramentalnego „my”, które tak irytuje p. Manteuffla.

Drugie nieporozumienie dotyczy tematyki religijnej. P. Manteuffel w omawianym artykule pisze m.in.: „Kultura” miała dotąd też swoje „tabu”. Była nim religia i wszystkie zagadnienia z nią związane, tak ideologiczne jak i organizacyjne. Nie istniały w „Kulturze” sprawy Kościoła Katolickiego np. w Polsce — mimo intensywności tego zagadnienia.”

Zdaniem autora wyłomem od tego „tabu” był artykuł o Piusie XII.

Istotnie publicystyka katolicka jest raczej słabo reprezentowana na łamach „Kultury”, ale nie oznacza to bynajmniej, że unikamy (uwaga: liczba mnoga!) tematyki religijnej. Ale zapytuję p. Manteuffla — gdzie są ci publicyści katolicy? Publicystyki katolickiej na miarę chwili nie widzimy ani w Kraju ani na emigracji. Można nad tym boleć, ale trudno nam z tego robić zarzut.

Ponadto „Kultura” poza działem literackim porusza tyle zagadnień — od politycznych, historycznych, filozoficznych, ekonomicznych, socjalnych po dział poświęcony Polonom rozsiadłym po świecie — że siłą rzeczy nie może zbyt wiele miejsca poświęcać sprawom religijnym, zresztą nie jest to nawet konieczne ze względu na sporą ilość pism, wychodzących zarówno na emigracji jak i w kraju, poświęconych wyłącznie tej tematyce. Poza tym p. Manteuffel zamiast stwierdzać autorytatywnie, że „w „Kulturze” nie istniały sprawy Kościoła Katolickiego np. w Polsce” powinien przedtem przeczytać choćby wydany w roku 1953, V Zeszyt Krajowy „Kultury”, poświęcony właśnie położeniu Kościoła w Polsce.

LITWINI

Każdego dnia biorąc do ręki prasę emigracyjną oczekiwałem płomienistego artykułu w obronie braci Litwinów. Ale Polaków zagranicznych interesuje tylko los ich własnej ambasady przy Watykanie. A przecież to co spotkało nas i Litwinów — to są dwie rzeczy całkowicie różne i nieporównywalne. Polska nie jest jedną z sowieckich republik — kardynał Wyszyński i hierarchia kościelna znajdują się (chwaląc Boga) nie tylko na wolności ale i na świeczniku. Ambasada polska przy Watykanie miała przede wszystkim charakter emigracyjno-prestizowy. W obronie tej placówki ze strony władz kościelnych w Polsce nie padło ani jedno słowo. Pozycja Kardynała Wyszyńskiego w Watykanie jest wyjątkowa i trudno przypuścić by w tak delikatnej materii postąpiono wbrew jego radzie.

Litwa jest małym, katolickim krajem, zdławionym i wchłoniętym przez imperializm sowiecki. Bez prymasa — bez kardynała — odcięta od Watykanu, Zachodu i wolnego świata. Cofnięcie uznania posłowi litewskiemu było niewątpliwie błędem, który odbija się szerokim echem nie tylko na Litwie, ale wśród katolików i chrześcijan w całym Związku Radzieckim. A przede wszystkim w krajach bałtyckich, które utraciły niepodległość w

wyniku zwycięstwa Stalina nad Zachodem. A kto wie czy nie i w Chinach Ludowych, gdzie już powstała schizma.

W wypadku Polski można sobie wyobrazić, że ambasada przy Watykanie utrudniała normalizację stosunków pomiędzy rządem warszawskim, a hierarchią kościelną w Polsce. Podkreślam — można sobie wyobrazić, gdyż de facto nic nie wiemy o treści rozmów Kardynała Wyszyńskiego z Papieżem i wysokimi dygnitarzami administracji watykańskiej. 90% katolików polskich mieszka w Polsce i oczywiście ich interesy są główną troską Watykanu. Lecz jeżeli chodzi o Litwę to analogiczne domniemania odpadają. Kościół Katolicki ani dziś niczego nie zyskał ani nie poprawił swych jutrzejszych perspektyw likwidując poselstwo litewskie. Przeciwnie, poniósł czystą stratę, której nie równoważą absolutnie żadne korzyści.

Nie jest wykluczone, że poselstwo litewskie padło ofiarą decyzji cofnięcia uznania Doktorowi Papée. Jeżeli postanowiono — z takich czy innych przyczyn — cofnąć uznanie ambasadorowi polskiemu, trudno było, powołując się na technika prawa dyplomatycznego, uczynić wyjątek dla posła litewskiego. Niewątpliwie sprawę polskiej ambasady można było rozwiązać inaczej. Np. amb. Papée na skutek sugestii Kardynała Wyszyńskiego — popartej rzeczowymi argumentami — byłby z całą pewnością podał się do dymisji. Wówczas zamierzony rezultat zostałby osiągnięty i nie byłoby potrzeby cofania uznania posłowi litewskiemu.

Rola Kościoła w Polsce od wieków nie ogranicza się i nie może się ograniczać jedynie do terytorium polskiego. O tym fakcie trzeba pamiętać dziś bardziej niż kiedykolwiek.

„KULTURA” W OBCYCH JĘZYKACH

Na emigracji napisano setki przeważnie nudnych ale za to kilometrowych artykułów na tematy federacyjne. Wyjątek od tej federacyjnej reguły ustanowił mistrz Zygmunt Nowakowski, który wyznał kiedyś z rozbrajającą szczerością, że wrogów swej ojczyzny wyliczyć może na palcach jednej ręki: Niemcy, Rosjanie, Czesi, Ukraińcy a kto piąty to już nie pamięć. Ci sami panowie, którzy pisali o „Międzymorzu” i o związku federacyjnym mającym objąć narody między Bałtykiem a Morzem Czarnym — piętnowali „Kulturę” za każdy przyjazny gest pod adresem Ukraińców.

Z projektów federacyjnych — choć idea jest piękna — nie nie wyszło, bo krokiem wstępnym na tej drodze, pomijając warunki sytuacji zewnętrznej, jest wzajemne zbliżenie. Niechcąc, nierzadko nienawidząc, zadawnione kompleksy podejrzeń i nieufności — rozładować może tylko aktywna dobra wola i cierpliwa praca jednostek.

Na emigracji nie zrobiono wiele w tym kierunku. W Kraju nastawienie przeciętnego obywatela do Ukraińców, Czechów, Litwinów — pozostawia bardzo wiele do życzenia. „Kontra” Józefa Mackiewicz z wydana w Bibliotece „Kultury” — w pewnych kołach w Polsce wywołała oburzenie ponieważ autor ujął się za krzywdą Kozaków.

Podjętą obcojęzyczne wydawnictwa „Kultura” w ramach swych możliwości pragnie czynnie współdziałać w procesie zbliżenia pobratymczych narodów. Jako pierwsza książka z tej serii ukazał się poemat Józefa Łobodowskiego pt. „Pieśń o Ukrainie” z równoczesnym przekładem na

język ukraiński Swiatosława Hordynskiego. Dużym wydarzeniem historycznym i literackim będzie niewątpliwie „Rozstrzelane Odrodzenie”. Jest to tom około 800 stronicowy obejmujący utwory (poezja, proza, dramat esej), czterdziestu najwybitniejszych pisarzy Ukrainy Sowieckiej z okresu 1917-1933, w opracowaniu J. Ławrynenki. Ponieważ pisarze ci w większości zostali zlikwidowani, a dzieła ich są zakazane — antologia wydana przez „Kulturę” będzie dla czytelników władających ukraińskim, a przede wszystkim dla samych Ukraińców, prawdziwym odkryciem nieznanej Ukrainy.

W tej samej serii ukaza się w Bibliotece „Kultury” „Cmentarze” Marka Hłaski w przekładzie na język czeski.

Warto może przy okazji wspomnieć, że zamierzamy w najbliższym czasie co kwartał drukować w „Kulturze” obszernie streszczenie w językach angielskim i francuskim, by umożliwić cudzoziemcom interesującym się polskimi sprawami zaznajomienie się z głównymi artykułami politycznymi, gospodarczymi i literackimi, które ukazują się na łamach naszego miesięcznika.

Jak widzicie, drodzy Czytelnicy — program przed nami nie wąski. O stagnację i jałowość nikt nas chyba nie posądzi.

LONDYN CZY

WYSYŁAMY DO POLSKI
na zlecenie krewnych i znajomych z zagranicy

MASZYNY DZIEWIARSKIE

oraz szereg innych artykułów, jak maszyny i narzędzia rzemieślnicze itp.

Wysyłamy towary wysokogatunkowe — i po niskich cenach hurtowych —

Piszcie jeszcze dziś do nas po bliższe informacje

“WIMEX”

Solothurnerstrasse 15, BASEL 2 (Suisse)

KONKURS Z NAGRODAMI NA PLAKAT POLSKIEJ GALERII SZTUKI

Informacje:

M. B. GRABOWSKI EXPORT IMPORT, Ltd
175, Draycott Avenue, London S. W. 3, (England)

Sprawy i troski

W Glasgow czy w Glasgowie ?

„Młodość pała jedną chęcią :
Dużo, byle jak i prędko !”
(Boy)

Londyn nie budzi wątpliwości : dwaj panowie, którzy piszą w „Kulturze” (nry 131-133) o Polakach w Szkocji, mieszkają niewątpliwie w Londynie, nie w London. Ale przyjechali do Glasgow i wyjechali też z Glasgow, zostawiwszy tam zresztą po sobie jak najmiłsze wspomnienie.

My zaś, „tutejsi” z przeproszeniem, mieszkamy w Glasgowie, wyjeżdżamy z Glasgow i wracamy (z przyjemnością ! nawet z Londynu i Edynburga !) do Glasgow. Tak jak moglibyśmy wracać do Krakowa, Lwowa czy zgoła Ojcowa.

Innymi słowy — wyraz „Glasgow” jest dla nas spolonizowany. Stał się rzeczownikiem swojskim (prawie...), odmienianym wedle zasad polskiej gramatyki. Inaczej snąc dla londyńczyków, przynajmniej niektórych. Ta zasadnicza różnica w stosunku — jakby tu rzec ? zwyczajowym ? uczuciowym ? w każdym razie opartym na codziennym obcowaniu — leży prawdopodobnie u podstaw zasadniczych również nieporozumień pomiędzy nami a piszącymi o nas gośćmi z Londynu. Co innego nieścisłości faktyczne, których niestety nie brak w artykule pp. Czykowskiego i Sulika „obrabiającym” Glasgow („Kultura”, nr 11/133 ; nawet prostując niektóre szczegóły, np. dotyczące T-wa Przyjaciół Kultury Polskiej w n-rze 12/134, str. 154, nie unikają autorzy dalszych nieścisłości). Te gotów bym był przypisać raczej momentom związanym z mottem do niniejszej notatki. Cóż, młodość ma swe prawa, zwłaszcza gdy jest tak prawdziwie, tak ujmująco sympatyczna jak w danym przypadku.

Ale sympatia sympatią, a prawda prawdą — *magnus amicus Plato* itd. Toteż niech mi obaj mili i utalentowani autorzy nie wezmą za złe, że nie wszystko w ich ciekawym skądinąd artykule trafia mi do przekonania.

Zacznijmy od grzecznej wzmianki o pokoju, w którym miałem zaszczyt — jakże krótko niestety — gościć obu panów.

„Wchodząc do dużego, skromnie ale czysto (ha !) utrzymanego pokoju rzuca nam się w oczy rzecz od pewnego czasu nie widziana : półki książek i rzędy „Kultury”.

Hm... Wolałbym oczywiście poprawniejszą składnię, bo nie „rzecz” przecie weszła do pokoju, jakby wynikało z powyższego zdania, jeno moi mili goście... (ale iluż to dziś naszych, nawet wybitnie utalentowanych, poetów i pisarzy dba o poprawną polszczyznę ?). Gdyby moi goście zechcieli łaskawie zajrzeć do innych pokoi i może z kolei zawedrować do garażu, ujrzeliby w nim nowy i „szykowny” (str. 74) wóz nienajgorszej marki, własność... autentycznego inteligenta polskiego, z tutejszym już co prawda dyplomem. W najbliższym sąsiedztwie naszego domu mogliby odwiedzić przynajmniej trzech innych równie „pełnoprawnych” inteligentów szcycących się posiadaniem pięknych aut. Wszyscy ci panowie znaleźli zatrudnienie zgodne na ogół z ich specjalnością. A przecie nie wszyscy polscy inteligenci mieszkają w moim najbliższym sąsiedztwie ! A przecie są tu i tacy inteligenci, którzy nie mogąc znaleźć pracy w swoim zawodzie potrafiliby jednak na innej drodze zdobyć dla siebie samodzielność finansową, choćby właśnie jako „właściciele różnego rodzaju przedsiębiorstw” (80). Czyżby więc prawdę zawierało zdanie, wypowiedziane zresztą ostrożnie w formie przypuszczenia, że inteligent polski, „jeżeli tu istnieje, to mieszka pewnie w jakiejś ciemnej, okopconej kamienicy, na poddaszu ; żyje przeszłością i z utęsknieniem spogląda czy to w kierunku Edynburga, czy Londynu, gdzie czułby się o wiele lepiej”. Przytoczone przykłady (a są one przecie wybrane na chybił-trafił) nie świadczą o „słumowej” egzystencji tutejszej inteligencji polskiej. Jeśli pp. Czykowski i Sulik *słyszeli* — jak piszą ostrożnie (ja nie słyszałem) — „o jakimś oficerze, który zajmuje się zbieraniem niedopałków na ulicach”, to czemuż zapominają nie tylko o „srebrnej brygadzie”, o której istnieniu dowiedziałem się z ich artykułu o Edynburgu, ale i o znanych im z pewnością lepiej niżli niższej podpisanemu „przyszywanemu” londyńczykowi *bardzo* licznych wypadkach wykonywania „najniższych”, ściśle : najmniej przyjemnych prac przez *setki* inteligentów polskich w Londynie. A co do tęsknych spojrzeń w kierunku Londynu czy zwłaszcza Edynburga, ciekaw jestem, na czyich zwierzeniach oparta jest wzmianka o nich ? Ja ich stąd nie zaobserwowałem.

Pp. Czykowski i Sulik piszą : „Glasgow nie jest odpowiednim miejscem dla polskiego inteligenta. ...Nie ma tu atmosfery, nie ma środowiska w rodzaju tego, jakie istnieje w Edynburgu” — „emigracyjnym Krakowie”, jak go nazywają (str. 81). Są to stwierdzenia stanowcze ; bezpośrednio dalej następujące wywody są już mniej kategoryczne (niestety mniej też jasne), jakby zdradzając chwalebna ostrożność autorów w wyciąganiu zbyt pośpiesznych wniosków.

Otóż prawdą jest niestety, że o pracę w zawodzie własnym lub zbliżonym jest tu „inteligentowi” obcego pochodzenia trudno. Czyż jednak Glasgow jest pod tym względem jakimś upośledzonym wyjątkiem? Tak *przecie jest w całej W. Brytanii* z Londynem włącznie. Autorzy w tym jedynie sensie mogą mieć rację, że Londyn — i chyba tylko Londyn, bo już nie Edynburg ani inne ośrodki miejskie zarówno w Szkocji jak i Anglii z Walią — poza „własnym”, angielskim, ma dość pokaźny polski „rynek pracy”, mogący wchłonąć pewną liczbę osób refleksujących na jakiś rodzaj „pracy przy biurku”. Jak widzimy więc, i ten moment nie upośledza polskiego Glasgowa w porównaniu z innymi skupiskami Polaków w W. Brytanii — z jedynym wyjątkiem Londynu. Skąd tedy u pp. Czaykowskiego i Sulika takie nagromadzenie czarnych barw, gdy mówią o *polskim Glasgowie*? Chyba uniesieni poetycką weną przenoszą nań cechy „niepolskiego” Glasgowa, Glasgowa *tout court*, którego apokaliptyczną niemal wizję (och, ci poeci!) dają na str. 67 i 68. Czyżby obaj panowie poza tym, co tam opisują, nic innego istotnie w Glasgowie nie spostrzegli?

Owszem — coś jeszcze, i to zupełnie słusznie (choć znów z koniecznymi poprawkami!). Piszą bowiem dalej na tejże str. 68: „Ale Glasgow jest miastem *fascynującym* (podkr. moje) nie tylko swoją brzydotą i rozpustą (?!), nie tylko swym *multinardowym* charakterem i groźną tajemniczością przestępczego *underworld'u* — to są cechy prawie każdego większego portowego miasta” (a więc jednak... nasilenie grozy apokaliptycznej zmniejsza się — te swoje cechy dzieli Glasgow z „każdym prawie” wielkim miastem portowym, a któreż tu większe nad Londyn?). „Glasgow jest także miastem szalenie *dynamicznym* (znów podkr. moje), *ambitnym* i *dumnym*”. (Ma z czego! Tradycja! Ludzie, którzy stąd wyszli!). „Jakżeż z góry patrzy się tu na *snobistyczny, anemiczny* (p. moje) Edynburg. I to ma być stolica Szkocji? Stolicą Szkocji powinien być Glasgow”.

Tym razem dużo trafnych spostrzeżeń — i to sięgających sedna rzeczy, znów tylko ze zbędną przesadą co do owej przestępczości i „rozpusty” (1). No i co do tej brzydoty. Pewnie, pewnie, dużo w tym prawdy, ale przecie nie cała prawda. Nawet w samym Glasgowie nienasycony Moloch businessu nie zdołał jeszcze wchłonąć całego naturalnego piękna doliny Clyde'y u ujścia tej rzeki, a tuż poza miastem? Proszę mi wskazać jakiegokolwiek inne wielkie miasto w W. Brytanii, skąd tak łatwo jest się znaleźć „na łonie natury”, i to urzekająco pięknej natury. Stąd cała Szkocja z jej Highlandem stoi przed nami otworem, zwłaszcza najpiękniejsza właśnie jej część zachodnia. Z

(1) Rozpusta w Glasgowie i w Londynie? ! Panowie, nie znacie swego miasta (o smaczniejszych dzielnicach East End'u, kubek w kubek jak pewne części Glasgowa, zdają się Panowie całkiem zapominać!) i otwartych w nim przed amatorami rozpusty — *and I mean rozpusty!* — możliwości. Oczywiście mogę Wam tego tylko pogratulować, ale też i przypomnieć świeże na ten temat obrady w parlamencie.

wdzięcznością znalazłem w artykule wyrazy uznania dla Loch Lomond (godzina drogi „busem” z centrum miasta, nawet gdy się nie ma własnego wozu). Prawda, piękne to i pięknie położone jezioro, ale czymże nawet ono w porównaniu z całym tysiącem miejsc w tym czarująco pięknym kraju.

.....Kwiecie polnej róży,
Dziękuję różyczki szkockiej, co nie szuka miasta,
Wśród szarych skał nad morzem pochmurnym wyrasta
Dla kogoś, kto w samotnej kocha się podróży.

Dla śmiałka, co nie lęka się gromu i burzy
Na ścieżkach niedostępnych, kogo i niewiasta
Od włości nie wstrzyma, ni sławy omasta,
Ni statek, co pogłowi rozsądnemu płuży.

Nimem cię ujrzał, znałem z legend twego kraju.
Prawdę mówiły: cicheś, skromne, wątle kwiecie
I... za pierwszym wejściem łamiesz mężnym serce...’.

Ileż tu onego kwiecia, dosłownie i przenośnie. Cóż dziwnego, że mężne serce tego i owego spośród zablakanych tu w burzy dziejowej rycerzy Najjaśniejszej uległo czarowi, choćby potem zamieszkać wypadło... w Glasgowie.

A Glasgow żyje! Piszcze Panowie o *polskim Glasgowie*: „Nie ma tu atmosfery, nie ma środowiska w rodzaju tego, jakie istnieje w Edynburgu”. Ależ — z całym szacunkiem dla Edynburga i jego środowiska — my wcale nie jesteśmy spragnieni jego atmosfery: *à chaque seigneur son honneur!* Chętnie pozostawiamy ją Edynburgowi, skoro mu dogadza: niech się każdy zbawia na swój sposób, jak mawiał niezapomnianej w Polsce pamięci Fryderyk zwany Wielkim.

W Glasgowie można bodaj czuć się bardziej wolnym niż gdziekolwiek indziej w tym wolnym kraju; można żyć — jeśli nie zawsze z możliwością włączenia się w dynamikę miasta, to przynajmniej odczuwając ją dokoła siebie.

Z możliwością włączenia się w dynamikę miasta... Wydaje mi się, że jeśli gdziekolwiek w miastach W. Brytanii jest to dostępne dla przybysza z Polski, to właśnie w Glasgowie przede wszystkim. Spośród wszystkich skupisk polskich w tym kraju tutejsze ma chyba w najmniejszym stopniu charakter ghettu. W znacznej mierze (choć nie całkowicie) tłumaczy się to zapewne podkreślonym przez pp. Czaykowskiego i Sulika „multinardowym” składem tutejszej ludności (nie jest to całkowicie ściśle: Irlandczycy, przytaczająco najliczniejszy odłam ludności napływowej miasta, już w drugim pokoleniu stają się przeważnie Szkotami „z krwi i kości”); tłumaczy się też trafnie przez obu panów zauważonymi cechami glosgowian: prostotą obyczajów, przyjazną życzliwością i uczynnością.

Piszą pp. Czaykowski i Sulik: „Jest tu także grupa b. oficerów... ale rzecz charakterystyczna, odróżniająca Glasgow od Edynburga, nie oni nadają tu ton” (81). Prawda. I nieco dalej: „Starsza inteligencja polska na ogół niechętnie bierze udział w życiu społecznym: odgrywa tu rolę *bariera klasowa* (podkr. moje), ciężkie warunki materialne, często zmęczenie” (82).

Tu musielibyśmy się wreszcie porozumieć. Operujemy ciągle terminami „inteligent”, „inteligencja”. Kogóż to jednak mamy zaliczyć w poczet owych „inteligentów”?

Z problemu tego zdają sobie oczywiście sprawę autorzy omawianej pracy, ale nie rozwiązują związanych z nim trudności. Poprzestają na stwierdzeniu, że mówią o inteligencji „w sensie klasy, nie w sensie I.Q.” (nr 9/131, str. 108).

A tymczasem „atmosfera” otoczenia, środowiska robi swoje. Tu, w W. Brytanii, termin „*intelligentsia*” jest, jak wiadomo, mało znany w szerszych masach; używa się go w publikacjach z zastosowaniem do niektórych innych krajów, m. inn. Polski, ale w pierwszym rzędzie Rosji: *Russian intelligentsia* — określenie czegoś specyficznego, co tu wygląda na produkt egzotyczny.

I dlatego mówiąc o „inteligencji” glosowskiej autorzy nie są (bo nie mogą — nie z ich winy) być ściśli. Kogokolwiek zaklasyfikujemy jako „inteligenta” wedle używanej w Kraju terminologii — czy to osoby z dyplomami wyższych uczelni (co w takim razie zrobić z Żeromskim albo... z Piłsudskim, „nobilizowanym” do „inteligencji” dopiero doktoratem honorowym?), czy z tzw. wykształceniem średnim, czy wreszcie ogół „pracowników umysłowych”, z ograniczeniami zależnymi od rodzaju wykonywanych przez nich czynności lub bez takich ograniczeń — wszyscy oni, jeśli wydarzenia dziejowe rzuciły ich do W. Brytanii, natrafili tutaj na grunt dla siebie obcy. Na gruncie tym o możliwości kontynuowania przez nich wykonywanej niegdyś w Kraju pracy zawodowej przestała raz na zawsze, jeśli pominąć wyjątki, decydować przynależność ich do tak czy inaczej pojętej „klasy” inteligencji. Decydować o niej odtąd miały, obok dekretoz przemożnego „losu”, który ich tu rzucił, ich osobiste kwalifikacje zawodowe, a zwłaszcza ich rodzaj podlegający wahaniom popytu na nowym rynku pracy (stad m. in. stosunkowe uprzywilejowanie lekarzy i częściowo inżynierów).

W związku z powyższym „atmosfera” czy „klimat”, w jakich znalazła się „inteligencja” polska w Glasgowie, nie są zasadniczo różne od „atmosfery” i „klimatu” w innych częściach W. Brytanii — z jednym tylko zastrzeżeniem. Kto czytał uważnie studia amerykańskie A. Hertza w „Kulturze”, zrozumie mnie bez trudu. Glasgow uległ w stopniu bardzo dużym, może największym w W. Brytanii, „amerykanizacji” życia społecznego (jest to zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę jego skład ludnościowy). Nie na tyle może, żeby się tu opłacało rezygnować z „posady” nauczyciela na rzecz znacznie lepiej opłacanego zawodu szofera (jeden z przykładów u Hertza), ale na tyle, żeby

zamiast nędznie wynagradzanej pracy „clerka” (a więc „inteligenta”?) wziąć znacznie lepiej płatną pracę fizyczną.

Czy pełnoprawny inteligent (w sensie dostatecznie wysokiego poziomu kultury umysłowej) podejmujący się takiej pracy przestaje być „inteligentem”? W sensie „klasowym” może tak; w sensie istotniejszym i głębszym, związanym z całokształtem życia intelektualnego i psychicznego jednostki, z pewnością nie.

Tym bardziej nie, że możliwości kształcenia się i dokształcania zawodowego, a w związku z tym i „awansu społecznego”, stoją tu dla wszystkich chętnych otworem. Nie na próżno wielu wybitnych ludzi, twórczych w dziedzinie nauki i techniki, wyrosło z tutejszych „nizin” (bez cudzysłowu — w sensie nędzy materialnej). A i dziś, gdyby pp. Czaykowski i Sulik mieli szczęście, jak niżej podpisany spotkać tego i owego spośród tutejszych „pracowników fizycznych” i ze zrozumiałym zdziwieniem odkryć w nim człowieka o wysokiej i samodzielnie nabytej kulturze umysłowej, pewnie nie zawahaliby się z przyznaniem mu „dyplomu” inteligenta.

Bo — parafrazując Goethego — Glasgow to miasto wielce osobliwe. I nie należałoby chyba „kolonii polskiej” rozpatrywać w oderwaniu od jej miejscowego podłoża. Pewnie, o miejscu osiedlenia przybyszów z „egzotycznej” Polski w jakimś olbrzymim procencie decydował rządzący całą wędrówką wyrwanych z ich gleby mas moźny przypadek. Śmierć w Katyniu, nad Leną czy Jenisejem, w którejś z najwstrętniejszych katowni niemieckich — wieczyste hańby naszej cywilizacji; beznadziejne dogorywanie w jakimś niemieckim obozie dla „dipisów” — tyle było tych przeróżnych możliwości zupełnie nie zależnych od naszej woli, orientacji, sprytu, zaradności, odwagi, samego nawet geniuszu przewidywania. Ale jednak w wyborze miejsca osiedlenia na ziemi, do której się już przybyło, w jakimś procencie grał też rolę rodzaj „doboru naturalnego” i własnej decyzji ocalałego z kataklizmu emigranta.

Myślę, że grę tego właśnie czynnika da się zaobserwować w charakterze gromad polskich i Londynu (w stopniu najslabszym, jako siedziby b. władz, naturalnego magnesu i największego rynku pracy), i Edynburga, i Glasgowa. Jeśli pominąć bierny osad pozostawiony w postaci ludzi wykołejonych moralnie i... starszych „inteligentów” nie mogących („żyje przeszłością”, str. 81) zapomnieć i przeboleć utraty swego *klasowego* przywileju, żywy rdzeń kolonii glosowskiej można by określić terminem często powtarzanym w artykule Z. Jordana w tymże (133) n-rze „Kultury”: „Bezklasowego społeczeństwa nieegalitarnego”. Stad wzmianka o „barierze klasowej” rzekomo dzielącej tutejszą inteligencję od reszty rodaków traci właściwie sens, jak stopniowo traci sens w ogóle operowanie terminem „inteligencja” w odniesieniu do przyszłych form rozwojowych społeczności polskiej osiadłej w tym kraju. Trudno więc byłoby też mówić o rzekomym trzymaniu się „inteligencji” polskiej w Glasgowie na uboczu od życia społecznego (str. 82). Jeśli chodzi

o poszczególne jednostki (wymieniania nazwisk przez cały czas świadomie unikam) z dyplomami uniwersyteckimi lub równoznacznymi, to spotykamy je tu zarówno w grupie osób biorących udział w życiu społecznym jak i w grupie innych, stroniących od niego (z różnych względów, ale z pewnością nie „klasowych” głównie).

Bo jeszcze jedno należałoby mieć na uwadze mówiąc o specyfice tutejszego społeczeństwa polskiego lub... już tylko polskiego pochodzenia. Wyjątkowo może znaczny w nim odsetek stanowią ludzie — rozczarowani? lepiej może: zawiedzeni. „Inteligent” czy jego rodak „nieinteligent”, który tu osiadł skuszony wdziękami takiej lub innej szkockiej różyczki albo innym zgola ulegając impulsom, są często ludźmi, których bardzo zbliżyły wspólne przeżycia, a te z kolei przyczyniły się do przewartościowania w ich świadomości różnych wartości przedwojennych. Jako produkt końcowy tych przeżyć pozostał pewien wspólny w nich osad — niechęć? żalu? pogardy? przede wszystkim głębokiej nieufności do dawnych politycznych i społecznych, a nade wszystko może wojskowych autorytetów. Osad to niebezpieczny? — może (nie darmo „teren” glasgowski uchodzi w oczach „działaczy” spoza niego za „trudny”), ale chyba i nie pozbawiony wartości? Ile że zauważyłem ostatnio, iż ten i ów z chadzących luzem rodaków (o samym istnieniu niektórych dowiadujemy się dopiero po jakimś czasie, nieraz przygodnie) po zdobyciu „bez niczyjej łaski” mniej lub więcej solidnego materialnego gruntu pod nogami nawiązuje ponownie kontakt z „gromadą” lub wraca wręcz na jej łono. A nabytków tego rodzaju nie należałoby lekceważyć.

Bo niemało tu ludzi myślących samodzielnie i... żyjących samodzielnie, właśnie bez niczyjej łaski. Znaczna ich część jest krytycznie, czasem z jaskrawo przesadnym krytycyzmem nastawiona do przedwojennej rzeczywistości polskiej. Znaczna też ich część cechuje pewien swoisty radykalizm, zwłaszcza społeczny. Myślę, że ci podpisaliby się bez zastrzeżeń pod pewnymi sformułowaniami „Kultury” (Mieroszewski) dotyczącymi obecnej polskiej rzeczywistości — przyjmując dokonaną w Polsce rewolucję w takim zakresie, w jakim była ona „rewolucją” polską a nie obcą, narzuconą narodowi przez liczniejsze bagnety lub wyższą sztukę dyplomatyczną kontrahentów bliższych i dalszych.

Pozyskanie tych ludzi przywykłych do oddychania wolnością i do samodzielnego myślenia dla przyszłej rzeczywistości polskiej byłoby rzeczą wartą zachodu.

Jeśli całość przygotowywanej do druku pracy o Polakach w Szkocji będzie obrazowała życie tutejszych środowisk polskich tak, jak to w stosunku do Glasgowu czyni trzeci z ogłoszonych

w „Kulturze” fragmentów, prosi się ona niemal o podtytuł Obserwacje z lotu ptaka. Lecąc widzi się wiele, ale nie wszystko dokładnie; słyszy się szum byle maszyny tłukącej kamienie, ale nie zawsze pracowity warkot setek precyzyjnych obrabiarek.

Autorom, zważywszy czas, jakim rozporządzali, mogą tylko pogratulować szybkości orientacji oraz bystrości, a nieraz i trafności obserwacji. Ale... nie mieli oni z sobą aparatu fotograficznego, który umożliwiłby lotnikom ściśle utrwalenie szczegółów, a czasu mieli stanowczo za mało, przynajmniej na obserwację środowiska w Glasgowie.

W polskim Glasgowie dostrzegli pewną niezwykłość procesów rozwojowych (brawo! jak na dwa dni...), ale nie byli w stanie (nieдостateczny materiał) przedstawić ich w pełni i przekonywująco. Brak aparatu fotograficznego (notatki na gorąco?) sprawił, że zbyt wiele szczegółów faktycznych zapamiętali niedokładnie, skąd nieścisłości. Te, choćby drobne (większość), rzucają się w oczy czytelnikowi miejscowemu i podważają, przeważnie niesłusznie, jego zaufanie do wartości całej pracy. Sama próba sprostowania ich tu zabrałaby zbyt wiele miejsca, nie podejmuję jej przeto (2).

Autorzy, snąc świadomości niedociągnięć pracy i ich źródła (braku czasu: nie usprawiedliwia on nieco nonszalanckich miejscami ocen poszczególnych osób wymienianych z nazwiska we wszystkich trzech fragmentach), apelują do czytelników o sprostowania (v. Listy do Redakcji). Apel ich, jak zwykle tego rodzaju apele, odniesie w najlepszym razie częściowy tylko skutek. W interesie podjętej przez nich pracy leżałoby staranne skorygowanie materiału i uzupełnienie go. Praca obu autorów, mimo moje nieco złośliwe motto na wstępie, zasługuje na taki dodatkowy wysiłek.

J. P. DĄBROWSKI

(2) Jedyne wyjątek czynię w związku ze wzmianką o doktorze I. Łomnickim — nie Łomnickim, jak mylnie na str. 81.

W Londynie zatrzymaj się
w Polsko-Szkockim Hotelu

"STRATHCONA COURT"

(wł. C.C. Słeziakowie).

Restauracja — w pokojach ciepła i zimna woda, radio i telefon. —

198, Cromwell rd. London S.W.5; tel. FREmantle 7878-9

st. kolejki Earls Court — Autobusy 31, 74 —

300 m. od West London Air Terminal.



Kronika kulturalna

Polski Słownik Biograficzny redivivus

Kiedy z początkiem roku 1935 ukazał się pierwszy zeszyt *Polskiego Słownika Biograficznego*, było to wielkie wydarzenie w nauce polskiej. Odrabiała ona w ten sposób jedną z najdotkliwszych zaległości. W opracowaniu słownika biograficznego ubiegła nas znaczna większość narodów europejskich. Na przełomie XIX i XX wieku słownik taki stał się podstawowym instrumentem pracy historyka. Historyka w najszerszym znaczeniu tego słowa. I brak takiego słownika odczuwany był jako wielkie utrudnienie w pracy przez każdego, kto parł się jakkolwiek dziedziną przeszłości politycznej czy kulturalnej Polski.

Byłoby dotkliwą niesprawiedliwością powiedzieć, iż nauka polska w okresie rozbiorowym nie potrafiła się zdobyć na wielkie zbiorowe wydawnictwa naukowo-materiałowe. Takie imprezy naukowe jak *Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego*, *Słownik Języka Polskiego* (tzw. potocznie *Słownik Warszawski*), czy wielkie akademickie serie źródeł historycznych najoczywiejściej przeczą takim zarzutom. Dla opracowania jednak słownika biograficznego brakło w kraju podzielonym na trzy zabory nie tylko środków i organizacji — choć i o to nie było łatwo — co przede wszystkim odpowiedniej atmosfery.

Jak wszystkie tego rodzaju wielkie kompendia erudycyjne, *Polski Słownik Biograficzny* jest tworem zbiorowym. Jest on jednak w wielkiej mierze dziełem energii i entuzjazmu jednego przede wszystkim człowieka, Władysława Konopczyńskiego. On to o zorganizowanie warsztatu pracy nad takim słownikiem w Polskiej Akademii Umiejętności przede wszystkim zabiegał i on też został jego pierwszym — i znakomitym — redaktorem.

Kiedy praca nad słownikiem była jeszcze w stadium organizacyjnym, wysuwano projekty, aby corocznie ogłaszać w miarę nadsyłania artykułów tomy od A do Z, z tym że indeks do wszystkich opublikowanych artykułów na końcu każdego kolejnego tomu informowałby czytelnika, gdzie powinien potrzebnej mu

biografii szukać. Słownik taki byłby dużo mniej poręczny w użyciu od słownika, ułożonego ściśle według zasady alfabetycznej, projekt wysunięto jednak w obawie, iż w dziele, mającym z konieczności wielką ilość współpracowników — ostatni z wydanych tomów, siódmy, liczy ich około dwustu pięćdziesięciu — niepunktualność choćby kilku z nich może spowodować poważne opóźnienie druku poszczególnych zeszytów. Redakcja *Polskiego Słownika Biograficznego* odrzuciła jednak pomysł tej ułatwionej, ale jakże niewygodnej dla czytelnika, zasady. A mimo to PSB wychodził przed wojną ze wzorową, a jakże rzadką w naukowych wydawnictwach seryjnych, punktualnością. Najlepszy to dowód, jak sprawną i energiczną ręką był kierowany.

Konopczyński był człowiekiem politycznych pasyj. Czuje się ich obecność wyraźnie w jego pracach historycznych bardziej syntetycznego zakroju, jak w „Dziejach Polski nowożytnej”. Ale miał też we krwi kult demokratycznego *fair play*, szacunek dla cudzych opinii. Pamiętam, że kiedy krakowski oddział *Polskiego Towarzystwa Historycznego* zorganizował posiedzenie dyskusyjne nad świeżo wydanym trzecim tomem „Dziejów Polski” Bobrzyńskiego, Konopczyński, który był wtedy prezesem oddziału, oddał przewodnictwo dyskusji w inne ręce. Miał on za sobą w latach tuż po pierwszej wojnie światowej bardzo ostre polemiki z „ekscelencją” Bobrzyńskim, uważał więc, że jako człowiek emocjonalnie silnie przeciwko Bobrzyńskiemu zaangażowany nie daje gwarancji, że będzie dyskusję prowadził w sposób bezstronny. Rozumiał on dobrze, iż PSB jest imprezą ogólnonarodową i nie starał się wycisnąć na nim piętna swojej partii, narodowej demokracji. Prawda, życiorys Dmowskiego w tomie piątym *Słownika* ujęty został przez dwóch jego kolegów politycznych, Chrzanowskiego i Konopczyńskiego, w duchu uwielbienia, ale w podobnym tonie zredagowany jest i życiorys Daszyńskiego w czwartym tomie, napisany przez bliskiego politycznego Daszyńskiemu Józefa Feldmana.

Trzeba w ogóle powiedzieć, że ów trochę panegiryczno-nekrologowy, nie znający cieniów ton charakterystyk ludzi niedawno zmarłych, to najpoważniejszy zarzut, jaki można było postawić *Słownikowi*. Głównym zadaniem życiorysów PSB jest zintwentaryzowanie możliwie precyzyjnych danych biograficznych. Ambicje ich jednak sięgają dalej. Starają się one określić dorobek życiowy oraz miejsce w kulturze polskiej człowieka, i wreszcie dać jego charakterystykę. W zasadzie można ambicjom takim tylko przyklasnąć. Życiorysy są dzięki nim bez porównania żywsze, plastyczniejsze, bardziej interesujące w lekturze, nie mówiąc już o tym, że historyk, który wgrzył się w źródła do życia danego człowieka, powinien być kompetentny do wydania o nim swojego sądu, że zatem, inaczej mówiąc, sąd taki jest także informacją biograficzną, choć oczywiście innego rzędu i bardziej kontrowersyjną niż dane biograficzne *sensu stricto*. Trudności zaczynają się dopiero wtedy, kiedy przechodzimy do biografii ludzi świeżo zmarłych. Biografowi brak tu zazwyczaj

odpowiedniej perspektywy, a poza tym w grę wchodzi drażliwość pozostałych przy życiu osób bliskich zmarłemu. Cóż dziwnego, iż w takim wypadku charakterystyka musi się wyradzać w wyidealizowany portret. Przerzucając karty PSB ma się wrażenie, że podczas gdy w poprzednich wiekach historia Polski obfitowała w charaktery różnej próby, wszyscy wybitni Polacy dwudziestego wieku to ludzie z Plutarcha. Oczywiście, każdy jako tako krytycznie nastawiony czytelnik wie, iż ma tu do czynienia z pewną konwencją. Idzie jednak o to, czy konwencja ta jest naprawdę tutaj konieczna i czy nie byłoby rozsądniejszym wyjściem w odniesieniu do ludzi zmarłych w ciągu ostatniego, powiedzmy, ćwierćwiecza ograniczyć się w życiorysach do suchego, kronikarskiego zestawienia danych biograficznych.

Z chwilą wybuchu wojny był już na ukończeniu piąty tom PSB. Ostatni jego zeszyt, zamykający się hasłem „Dunin Piotr Stanisław”, ukazał się po siedmioletnim opóźnieniu w r. 1947. W ciągu następnych lat po rok 1949 zdążyły wyjść jeszcze tom szósty oraz cztery z pięciu zeszytów tomu siódmego. Nie pojawiały się one już z przykładową punktualnością tomów poprzednich. Nie była to jednak wina redakcji, spoczywającej nadal w tych samych rękach, Konopczyńskiego. Poszczególne zeszyty bowiem złośliwie długo przetrzymywane były w cenzurze.

Nic lepiej nie charakteryzuje tej wojny redakcji PSB z cenzurą, jak historia niedosłego życiorysu Dzierżyńskiego, który przypadał na tom szósty. Konopczyński postanowił dać tu artykuł redakcyjny, który sam ułożył. Artykuł był suchym, rzeczowym zestawieniem faktów biograficznych, nie wdawał się w oceny i przeszedłby przez cenzurę, gdyby nie jedno, wcale wymowne, odkrycie biograficzne, które Konopczyński w pracy nad nim zrobił. Oto okazało się, że Dzierżyński był w młodości klerykiem w seminarium duchownym. Fakt ten starannie był zatajany w oficjalnych biografiach Dzierżyńskiego i cenzura zażądała skreślenia tej wiadomości. Konopczyński udał się wtedy do biura cenzury z dowodami w rękę, iż klerycki okres w życiu Dzierżyńskiego jest bezspornym faktem historycznym. Jak się łatwo domyśleć, przeceniał on szacunek dla prawdy historycznej cenzora, czy raczej jego mocodawców. Cenzura nie chciała ustąpić. Nie chciał też ustąpić rogiaty redaktor *Słownika*. I ostatecznie zeszyt wyszedł bez Dzierżyńskiego.

W rezultacie tej wojny z cenzurą doszło w r. 1949 do zawieszenia wydawania *Słownika*. Cenzura postąpiła tutaj ze szczególnie małostkową złośliwością. Nie dopuściła do zakończenia przynajmniej siódmego tomu. Ostatni zeszyt tomu nie doczekał się druku w r. 1949. Wyszedł on dopiero teraz, pod koniec ubiegłego roku, z wielą mówiącą datą: „Kraków, 1949-1958”. Wyszedł on jeszcze pod firmą Polskiej Akademii Umiejętności. Jedna trzecia członków jego pierwotnego Komitetu Redakcyjnego już dziś nie żyje. Nie ma już też wśród żywych zastraszająco wielu z jego współautorów. Tomy następne mają być wydawane z ramienia Polskiej Akademii Nauk przez nowy, znacz-

nie rozszerzony Komitet Redakcyjny, na którego czele stoi Kazimierz Lepszy. Jako wydawnictwo reprezentacyjne, z natury rzeczy skupiające na sobie uwagę i ogółu kulturalnego w Polsce i historyków zagranicą, będą one dobrym sprawdzianem stanu i niezależności nauki historycznej w Polsce.

Zawieszenie PSB w r. 1949 miało swoją ironiczną wymowę. Reżym komunistyczny w Polsce chlubił się przede wszystkim z organizowania wielkich prac zespołowych nad kompendiami o charakterze inwentaryzacyjnym. I oto tu właśnie dzięki jego polityce uniemożliwiona została kontynuacja takiego dzieła o szczególnie doniosłości kulturalnej. Gdyby *Słownik* miał redaktora bardziej giętkiego i kompromisowego, najprawdopodobniej nie doszłoby nigdy do jego zawieszenia. Ale dzisiaj, kiedy po rewelacjach popaździernikowych szczególnie jasno zdajemy sobie sprawę z tego, jak bezceremonialnie i prostacko naginano prawdę historyczną do potrzeb polityki, nie cofając się nawet przed fałszowaniem dokumentów, rozumiemy dobrze, iż Konopczyński swoją nieustępliwością wyświadczył *Słownikowi* największą przysługę, jaką w owych czasach mógł wyświadczyć: ochronił go przed sprostytuowaniem. Zgroza bierze na myśl, jak wyglądałyby tomy PSB, wydawane w latach „czasu pogardy”.

Wznowienie PSB jest ważnym i radosnym wydarzeniem w polskim życiu kulturalnym. O tym, jak cennym jest on instrumentem pracy dla każdego humanisty, nie warto się rozpisywać. Są to rzeczy oczywiste. Każdy z nas, komu kiedykolwiek przyszło szukać danych biograficznych, wie co pomoc takiego słownika znaczy.

Nie wszyscy jednak uświadamiają sobie, w jak znacznej mierze każdy nowy zeszyt PSB posuwa naszą wiedzę historyczną. Konieczność opracowania w ścisłym porządku chronologicznym życiorysów każdego, kto w jakiś sposób zaznaczył się w polskim życiu kulturalnym czy politycznym, zmusza do opracowania życiorysów czy zupełnie dotychczas nieopracowanych, czy też opracowanych w stopniu niedostatecznym. A takich życiorysów w każdym zeszycie jest dużo, tym więcej, że właśnie w dziedzinie biografistyki mamy szczególnie poważne zaległości. Żeby to sobie jasno uzmysłowić, wystarczy przyjrzeć się bliżej zamykającemu świeżo wydany zeszyt życiorysowi inżyniera agrotechnika i powstańca 1863 r., Kazimierza Girdwojnia (1843-1926). Źródła, na których podstawie biografię tę oparto, to rękopiśmienne pamiętniki Girdwojnia, będące w posiadaniu rodziny, jego listy do Kraszewskiego, przechowywane w Bibliotece Jagiellońskiej, wydana w Wilnie 1912 r. książka zbiorowa „Z okolic Dźwiny” i nekrologi w trudno dostępnych dziś po spustoszeniach wojennych gazetach wileńskich oraz warszawskiej „Epoce”. Jak zatem widzimy, dane życiorysowe na dobrą sprawę zestawione tu zostały po raz pierwszy. Podobnie ma się rzecz z takim np. życiorysem wybitnego szesnastowiecznego działacza politycznego w Prusiech Królewskich i opata w Choj-

nicach, Kaspra Geschkau. Został on opracowany przez nieżyjącego już dziś świetnego historyka XVI w. Stanisława Bodniaka na podstawie przede wszystkim archiwaliów gdańskich i warszawskich oraz rękopisów bibliotek Czartoryskich, Jagiellońskiej, Kórnickiej i Miejskiej w Gdańsku. Można by te przykłady bez trudu mnożyć. W każdy zeszyt PSB weszło mnóstwo żmudnej pracy badawczej, każdy z nich odwołuje się dla wiedzy historycznej bogate zasoby nowych, nieznanych dotychczas faktów.

I jeszcze jedno: Słownik jest też niezwykle ciekawą lekturą. Przed wojną mogło się czasem wydawać, że jego skondensowany, często suchy styl, operujący skrótami, jest tu przeszkodą. Dziś, kiedy mechanicznie stosowana zasada honorarium od wiersza przyniosła za sobą epidemię nieznośnej rozwlekłości równie dobrze w popularnych tygodnikach, jak i w uczonych kwartalnikach, zwięzłość i rzeczowość stylu życiorysów jest dodatkowym źródłem uroku ich lektury. Oczywiście pod tym względem życiorysy w PSB nierówne i są w PSB kolumny, które cenne jako źródło informacji dla specjalistów, nużą w lekturze. Ale też, jak pamiętniki Saint-Simona, PSB jest dziełem, które można zacząć czytać w każdym miejscu i w każdym przerwać.

Lektura jego zaspakaja ciekawość rozmaitego typu i rzędu. Jedną z nich to potoczna ciekawość rodzaju potrosze plotkarskiego, a potrosze psychologicznego, która nam każe szukać wiedzy o ludziach, zwłaszcza jeśli to byli ludzie często wybitni, a czasem i niezwykli. Ale lektura ta potrafi zaspokoić i innego, głębszego typu ciekawość. Oto znane wydarzenia historyczne poznajemy tu z nowej perspektywy, tak jak się one przełamały w życiu wybitnych ludzi, nieraz ich współtwórców. Wydarzenia te odzyskują tu swoją wielowymiarowość i konkretność, jakże często zagubione w uproszczonych z konieczności schematach podręcznikowych. Lektura *Słownika* staje się w ten sposób pełnym uroku „refreshing course” historii, nie mającym w sobie nic z nudy i szablonu podręcznikowego. W społeczeństwach takich, jak angielskie, amerykańskie czy francuskie, dysponujących bogatymi i często świetnymi artystycznie zasobami literatury biograficznej, szerokie masy czytelnice poprzez tego typu literaturę przede wszystkim zaznajamiają się z historią. U nas w latach ostatnich zaopiekowano się na szczęście na serio literaturą pamiętnikarską, ale literatura biograficzna ciągle jest jeszcze, niestety, kopciuszkiem. *Polski Słownik Biograficzny* staje się więc tym cenniejszą jej namiastką.

Czasem biografie PSB otwierają nam perspektywy na przeoczone a ciekawe wydarzenia i prądy historyczne. Oto np. biografia profesora medycyny U. J., Karola Gilewskiego. Osiągnięcia medyczne Gilewskiego, autora tych słów przynajmniej, mało interesują. Ale oto z biografii tej dowiadujemy się o fermentie, jaki wywołało w kręgach uniwersyteckich Galicji ogłoszenie w r. 1870 dogmatu nieomylności papieskiej, o liście uczonych polskich do przywódcy starokatolików, znakomitego monachijskiego historyka Kościola, ks. Döllingera, o związanych

z tym fermentem rozruchach studenckich. Autor tego życiorysu, Władysław Szumowski, jest wyraźnie dużo mocniejszy w historii medycyny niż prądów religijnych i pozycja religijna Gilewskiego nie rysuje się w nim wyraźnie. Mniejsza o to w tej chwili. Ważne jest to, iż ze wcale szczegółowo zrelacjonowanych przezeń faktów wyłania się nieznany rozdział tak rozpaczliwie zaniedbanej historii religijnej Polski XIX wieku.

Są tu życiorysy, które nas budują i wzruszają. Takim jest życiorys prawdziwego Bayarda polskiego, pułkownika sztabu napoleońskiego, Józefa Stefana Giedroycia. Wzięty w r. 1810 do niewoli rosyjskiej, skazany został na wygnanie nad brzeg Morza Białego. Zwolniony po abdykacji Napoleona, wyemigrował do Francji, ponieważ nie chciał złożyć przysięgi na wierność Aleksandrowi I. Był ciężko ranny pod Waterloo. Po wyzdrowieniu wrócił do kraju. W r. 1826 był znowu więziony, ponieważ nie chciał złożyć przysięgi na wierność Mikołajowi I. W r. 1830, po wybuchu powstania, został zesłany na Ural. Bratu, który był wysokim urzędnikiem rosyjskim po trzech latach udało się sprowadzić go z powrotem do kraju. Car Mikołaj zgodził się na jego wyjazd do Francji, pod warunkiem iż podpisze deklarację, że na Litwę nigdy nie wróci i zostawi jako zakładnika w Warszawie syna. Giedroyc odmówił podpisania deklaracji i potajemnie z synem wyemigrował do Francji, przeplacając ucieczkę konfiskatą majątku.

Są tu też życiorysy, przenoszące nas w atmosferę powieści E.T.A. Hoffmanna. Oto np. co czytamy o ostatnich latach osiemnastowiecznego drukarza i sztyncarza, Adama Gieryka: „Zadziwiał krakowian niezwykle trybem życia, tajemnymi praktykami i ascetycznym wyglądem. Przebiegał okoliczne pola, lasy i wzgórza z różdżką magiczną w ręce, często przynosił narecza ziół, żywych węzów, potrzebnych do sporządzania mikstur i leków. Poszukiwał kwiatu paproci, to znów w żelaznych pętach końskich, zamykanych na nogach, starał się natrafić na ziółko, mające moc otwierania zamków”. Czasem znów, jak w życiorysie Filipa de Girarda — PSB przynosi też życiorysy cudzoziemców, o ile życie ich związane było w jakiś sposób z Polską — tego samego, na którego cześć nazwany został Żyrardów, fantasty z piętnem geniuszu, wielokrotnie bankrutującego i wielokrotnie dzięki coraz to nowym wynalazkom podźwigającego się z bankructwa, spotykamy się z charakterem, jakby żywcem wziętym z powieści Balzaka.

Są w ostatnim zeszycie błędy i niedociągnięcia. Gaffą jest niefortunne sformułowanie życiorysu przyjaciela Norwida, Mieczysława Geniusza, starające się wmówić w czytelnika, że to Geniusz był drużbą na ślubie — Norwida. Niemile zaskakuje czytelnika życiorys działaczki ludowcowej z początków bieżącego wieku, Marii Gerżabkowej, nie podający ani daty urodzin, ani śmierci. Nawet jeśli się weźmie pod uwagę powojenne rozprężenie, zdobycie takich dat w odniesieniu do działacza poli-

tecznego naszego stulecia nie powinno być zadaniem nieosiągalnym.

Przykro też zaskakuje niezwykle niski nakład zeszytu. Odbity on został wszystkiego w dwóch tysiącach egzemplarzy. Dla porównania warto wspomnieć, iż Państwowy Instytut Wydawniczy przedrukował niedawno Boyowy przekład „Żywotów pań swawolnych” Brantôme’a w nakładzie pięćdziesięciu tysięcy. Na usprawiedliwienie PIWu trzeba jednak dodać, że ponieważ w Polsce nie wydaje się obecnie pornografii, czytelnik polski swoje zapotrzebowanie na sprośności musi zaspokajać u (pseudo) klasyków.

Wiktor WEINTRAUB

Słownik Biograficzny

Ukazanie się zeszytu 35 „Polskiego Słownika Biograficznego” jest zdaniem wielkiej wagi dla społeczności polskiej. Świetne to wydawnictwo Polskiej Akademii Umiejętności, przerwane z wybuchem wojny, wznowione zostało w 1946 i poddane obowiązującej w reżymie komunistycznym kontroli partyjno-politycznej. Pomimo to, po wydaniu dziesięciu zeszytów, podległo ono, wraz z samą Akademią, prześladowaniu policyjnemu i wstrzymane było na długie lat osiem. Było to jedną ze strat dla kultury polskiej — cóż jednak obchodzi komunistów nasza kultura narodowa?

Obecny zeszyt, wydany jeszcze pod dawną redakcją, stosującą dyscyplinę naukową, zamyka tom VIII wydawnictwa, do hasła Gird... Za zaletę wydawnictwa należy uznać zachowanie bez zmiany jego zewnętrznej szaty: okładki, czcionek, kolumny druku.

Słownik biograficzny jest dla każdego narodu skarbcem jego wiekowej spuścizny: jego historycznych wydarzeń, jego charakterów, duchowych i rodzinnych związków, z jakich się składa życie pokoleń. Dość wymienić angielski „Dictionary of National Biography”, którego uzupełniające tomy ukazują się regularnie co dziesięć lat i zawierają biografie zmarłych w tym okresie czasu. Cóż dopiero mówić o znaczeniu spisu zmarłych lub wymierających Polaków dla dziejów polskich! Ich cechą nieodmienną jest ciągłe przerywanie — związków między ludźmi i pokoleniami, łączności między pracą, czynami i ideą z każdego okresu, z każdej dzielnicy. Drugą cechą historii Polaków jest powtarzające się regularnie niszczenie zbiorów, pamiątek, druków, archiwów. W tych warunkach odtworzenie istotnych dziejów naszych spisów i powstań jest niemożliwe bez „sumariusza” osób w nich uczestniczących. Dla przykładu: w jednym tylko najnowszym zeszycie znajduje się trzynastcie biografii powstańców z 1863, a między nimi — ludzie później na innych polach znani: młodociany powstaniec, potem emigrant Henryk Gierszyński, malarz Maksymilian Gierzyński, Geniusz, jeden z dyrektorów Kompanii Sueskiej, Adam Giełgud, ówczesny adlatus Władysława Czarotorskiego w Misji paryskiej, protoplasta angielskich Giełgudów. Najwybitniejszej postaci z lat sześćdziesiątych, Agatonowi Gillerowi, wydane-

mu w 1853 przez Austrię Rosji, skazańcowi w karnych batalionach na Kaukazie, spiskowcowi i członkowi Rządu narodowego, niepośledniemu pisarzowi, poświęcona jest słusznie obszerna monografia.

Trafem zbliżonych liter zeszyt 35 zawiera życiorysy dotyczące żmudzkich i litewskich rodów, poczynawszy od dawnych bojarów-Gerdutów, Getutów, Giedygołdów, Gieysztorów — kończąc na lokalnej szlachcie — Gintowtach, Gintyllach, Girdwoyniach: świadectwo głębokiej i pomimo wszystko tak trwałej asymilacji Litwy z Polską. Słownik zawiera szesnaście biografii różnych dawniejszych i nowszych przedstawicieli szeroko rozgałęzionej rodziny Giedroyciów, wywodzącej swe kniaziowskie pochodzenie od pregedyminowskich dynastów starożytnej Litwy.

Jeśli spojrzeć przez pryzmat alfabetycznej kolejności, społeczność polska przedstawi się jako mozaika rozmaitego pochodzenia, przesiąknięta różnymi wpływami, wzajemnego przenikania z sąsiedztwem obcym czy z kulturą innych krajów i narodów. Słownik wykazuje przy tym odporność polską na infiltrację wschodnie i w ogóle brak niemal zupełny penetracji innych Słowian: zeszyt 35 zawiera jedno tylko nazwisko rusińskie oraz jedno czeskie. Natomiast znajduje się tam 5 Polaków pochodzenia włoskiego, 6 — francuskiego, a 27 — niemieckiego. Charakterystycznym faktem w dziejach współżycia tych dwóch niechętnych się sąsiadów jest to przenikanie się wzajem tak odmiennych typów i kultur. Znajdujemy tedy dobrych i zasłużonych Polaków: Gepnerów i Gesnerów, Geppertów i Getliczów, Gerlachów i Gierzygów (sic). A już szczególnie rozdziałem w historii ostatniego stulecia są losy rodziny przemysłowców łódzkich Geyerów: wnuk założyciela wielkiej firmy bawełnianej, rodowitego Niemca z Berlina, Robert, działacz społeczny w odrodzonej Polsce, zamordowany został „w nieznanych bliżej okolicznościach” przez członków Schupo, 12 grudnia 1939 i znajduje się tym samym wraz z księdzem Geppertem na zaszczytnej liście wojennej martyrologii polskiej.

Zeszyt 35 i tom VII zamyka okres redakcji z ramienia krakowskiej Akademii Umiejętności. Wydawnictwo przechodzi w ręce komitetu wyłonionego przez warszawską Akademię Nauk, a skład główny — do Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu. Trudno jest zrozumieć powody takiej zmiany, tym więcej, że w Akademii krakowskiej przechowywano były dotychczas materiały przygotowawcze do kontynuowania tego świetnego wydawnictwa. Zobaczymy, czy Akademia Nauk sprostą włożonemu na nią nowemu zadaniu i czy potrafi redagować Słownik Biograficzny z niezbędną rzetelnością i poza wpływami bieżącej polityki.

Michał SOKOLNICKI

POLONICA WŁOSKIE

W numerze styczniowym redagowanego przez Ignazio Silone i Nicola Chiaromonte miesięcznika włoskiego „Tempo Presente” ukazał się przekład „Wieży” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego z zaznaczeniem, że opowiadanie Herlinga-Grudzińskiego otrzymało nagrodę literacką „Kultury” za rok 1958. „Wieżę” przełożył na włoski sławista neapolitański Dario Staffa. Warto przy sposobności zaznaczyć, że jest to już druga praca przekładowa z polskiego młodego tłumacza włoskiego. Staffa (który specjalizuje się w zasadzie w rusycystyce i przebywa w tej chwili w Moskwie na rocz-

nym stypendium naukowym Istituto Orientale w Neapolu) doskonale przełożył przed rokiem dla tegoż „Tempo Presente” opowiadanie Hłaski „Osmi dzień tygodnia”.

PISARZE EMIGRACYJNI O SYTUACJI LITERATURY W KRAJU

Walne zebranie Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie obradujące w Londynie pod przewodnictwem Juliusza Sakowskiego w dniu 24 stycznia 1959 — powzięło następującą uchwałę:

„Walne Zebranie przesyła braterskie pozdrowienia Kolegom w Kraju, pracującym w trudnych warunkach wobec ograniczania wolności słowa.

„Zebranie potępia fakty uwięzienia i skazania w Kraju publicystów za współpracę z prasą polską zagranicą i protestuje przeciwko kampanii nacisków na pisarzy, by powstrzymali się od zamieszczania swych prac w prasie i w wydawnictwach polskich na emigracji.

„Przekonanie, że nie ma rozwoju literatury bez swobodnej twórczości łączy pisarzy w Kraju i na emigracji; jest bowiem tylko jedna literatura polska, przesiąknięta tym samym umiłowaniem ojczyzny i wolności oraz wierna zasadzie praw człowieka”.

Przesesem Związku został wybrany ponownie przez aklamację Wiesław Wohnout.

SŁOWA ZAWSZE AKTUALNE

Cytat z jednego z 3 listów Słowackiego do Józefa Komierowskiego (bez daty, prawdopodobnie 1848 r.), z książki Leopolda Meyet'a: „Słowacki i Komierowski, Warszawa 1909 r.

„Trzeba koniecznie aby wszystkie wolne pióra piszące w Poznaniu zaczęły drukować w Paryżu — zaraz inaczej myśleć i pisać będą skoro zrobią ofiarę z imion... a na duchy ludzkie jako duchy niewidzialne i wolne z daleka uderzą. Na to trzeba koniecznie, aby się tu księgarnia utworzyła niezależna i szlachetna. Poznań małą ofiarą coroczną pieniędzy mógłby to wszystko utrzymać, aś dzieła wydane same opłacać się zaczęły. Zbieranie bibliotek to rzecz trupia — nam trzeba koniecznie stworzyć przyszłość — trzeba koniecznie mówić ci — Bóg tego chce i Aniołowie Niebiescy pomogą. Cała Polska widzi teraz, że nie dosyć chceć Polski trzeba wyrobić w sobie narodową ideę... Niechże przez jakiś czas Sokratesową bronią nie pogardzi... Niech słucha... Proś wszystkich i zaklinaj, niech słuchają głosów wolnych... inaczej roztargani będą myślami — i to będzie podział kraju prawdziwy — gorszy niż ów na ziemi jego dokonany. Proś, pracuj, każde słowo jest czynem”.

Wolna Trybuna

List do Miłosza

„...nawet przyjaciele Rosji przytaczali jego nazwisko (Pasternaka), jako argument”.

Czesław Miłosz, „Komentarz do komentarzy o nagrodzie Nobla”, KULTURA nr. 12/134.

W jednym z poprzednich numerów „Kultury” napisał Pan tak mądrze i ładnie, jak to wychowanie z dala od Warszawy uchroniło Pana od schematycznej polskości. Jaka jednak szkoda, że tradycje zarówno polskie, jak litewskie, czy żmudzkie, tym razem zgodnie, budowały inny schemat — nienawiści do Rosji, z którym nie chce Pan, czy nie potrafi się rozstać. Według tego schematu Rosja była siedliskiem wszego zła i zacofania. Tak, pod względem ustrojowym i struktury społecznej niewątpliwie była zacofana, (80% chłopów), ale w drugiej połowie XX-go wieku nie ma się znów na co tak wybrzydzać, skoro dziś z perspektywy chętnie przyznajemy, że kultura przed-przemysłowa była o wiele przyjemniejsza od mass culture, nierozzerwalnie związanej z cywilizacją techniczną. W dziedzinie twórczości też nie wydaje się, aby Rosja przedrewolucyjna była aż tak zacofana, żeby z tego zacofania należało wywodzić kicz socrealizmu, jak to Pan uczynił w swoim essey o Pasternaku. Jakby tam nie było, ojcem abstrakcjonizmu był Rosjanin Kandynskij, i chociaż równo pół wieku minęło od jego pierwszych abstrakcyjnych płócien, wielu młodym malarzom na Zachodzie, zwłaszcza w Ameryce wydaje się ciągle, że to „ostatni krzyk mody”. A czyż to nazwisko obnosili futuryści na transparentach po włoskich ulicach, jak nie Rosjanina Strawińskiego? W teatrze, w baletcie, w malarstwie, w muzyce, rosyjska awangarda przedrewolucyjna nie tylko brała z Zachodu, lecz i dawała na Zachód. Wpływy literatury rosyjskiej są tematem tak oklepanym, że nie wypada go poruszać. Dlaczego więc Pan pisze, że źródła złego socrealistycznego smaku są „narodne”, rosyjskie? Wszyscy wiemy, że formalna strona socrealizmu wywodzi się ze złych gustów dziewiętnastowiecznej secesji, i z malarstwa, które na ogół zwykło się nazywać „akademickim”, ale akurat tyle tego było w Rosji, co gdzie indziej, a może mniej, niż gdzie indziej, bo moda przyszła z zachodniej Europy, a narodziła się po francuskiej rewolucji. Dlaczego wszystkie rewolucje kochają się w stylu pompierskim, marmurowych kolumnadach, imitacjach Kapitoli i Panteonów

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

— to już inna sprawa. Sądzę, że w tym wypadku raczej Pasternak ma rację, odsyłając do starożytnego Rzymu, który może niesłusznie określa „cet engorgement sans goût de marbre et d'or” (co za zbieżność z Simone Weil!), lecz niewątpliwie pozowanie na styl rzymski, typowe dla wszystkich rewolucji z amerykańską włącznie, dawało rezultaty na ogół w złym guście. Wydziały Pan scenki rodzajowe rosyjskich malarzy. A gdzież tych scenek rodzajowych nie było na płótnach? I znowu, adres właściwszy — to Akademia Monachijska. A już chyba zechce Pan przyznać, że nikt tak nie kochał patriotyzmu na obrazach, jak my, Polacy. Nie w czasach Dostojewskiego i Tolstoja, lecz w późnych latach dwudziestych stawiano mnie co tydzień przed Grunwaldem w Zachęcie, i uczono, że najwięksi polscy malarze to Matejko i Grottger, bo „malowali historię Polski”, i nie było chyba ani jednej dziewczynki z warkoczami, która by chociaż raz w życiu nie otrzymała wielkiej rekompensaty za zakaz obcinania włosów, stojąc na scenie szkolnej w żywym obrazie, jako „Polska w kajdanach”. Nie były to obrazy inspirowane przez... fauvistów, już także w owym czasie dawno zemerytowanych... Ze Dostojewski i Tolstoj mieli złe gusta w malarstwie? Gdyby we Francji wszyscy mieli dobre gusta, impresjoniści i post-impresjoniści nie musieliby żyć z jałmużny wówczas gdy pacykadla akademickie szły na wagę złota. A Ravel, proszę Pana, uwielbiał np. mechaniczne słowiki; nakręcało je się kluczykiem, machały skrzydełkami i śpiewały. Czy gdyby był Rosjaninem, dopatrywałby się Pan w tym genezy rabowania zegarków przez krasnoarmiejców?

„Piesni i pliski” też nie są widocznie taką *spécialité* rosyjskiej duszy, skoro zespół „Mazowza”, zorganizowany według wzorów sowieckich a nawet z uwzględnieniem ostatniej pracy Stalina o językoznawstwie (oczyszczenie tekstów z wymowy chłopkiej), wywołał taki entuzjazm na emigracji i zdział więcej, niż wszystkie artykuły „za Gomułką” pana Mieroszewskiego... Dlaczego więc nie przyznać, że komuniści wszędzie popierają kult narodowej formy, i wszędzie on znajduje jednakowych entuzjastów, i że poza tym socrealizm tkwi gustami w dziewiętnastowiecznej secesji, ciągle jeszcze bardzo popularnej wśród drobnomieszczaństwa i proletariatu zarówno na Wschodzie, jak Zachodzie. I że te gusta, razem z receptą polityczną socrealizmu, zostały siłą narzucone zarówno Rosji, wbrew bardzo silnym ruchom awangardowym, jak wszędzie indziej, gdzie do władzy doszedł komunizm; że więc socrealizm jest sprawą ustroju a nie predyspozycji narodowych.

Wydać mi się także, i proszę się o to nie gniewać, że właśnie Pan jest w o wiele większym stopniu pod władzą obsesji historii, niż Pasternak; powiedziałabym nawet więcej, udało się Panu to, czego nie potrafił dokonać żaden pisarz komunistyczny: udratyzować determinizm historyczny; zmienić martwą formułę w literaturę. Prawdopodobnie dlatego, że obsesja, przerażenie, groza — to są elementy, z których można robić literaturę, ale dostępne tylko za cenę odstępstwa i wyklęcia, ponieważ wiara w *predestynację* historii działa podobnie na wierzących w nią, jak kalwinizm na swoich wiernych, to znaczy raczej skłania do poszukiwania potwierdzeń, że się jest „w łasce”, że się należy do przyszłych zwycięzców, czy „zbawionych”. Cnotliwość, pozytywność, optymizm — czy nie zauważa Pan pewnych zbieżności między ideałem „pocziwego Purytanina” i ideałem „pocziwego komunisty”? — W każdym razie dla literatury są zabójcze.

Mogłabym tu jeszcze dodać, że filozofii determinizmu historycznego nie wymyślił Rosjanin, ale nie odbiegajmy zbyt daleko od tematu. Dlaczego jednak podrywa Pan obsesję historyczną Pasternakowi, opierając się na przesłance, że jest rzekomo typowa dla jego rodaków? „Doktor Żiwago” wydaje się być pisany z p r z e k o r y dla determinizmu historycznego, i jak słusznie Pan zauważa, przecząc sobie, bohaterami powieści rządzi Los. Dodajmy: „ślepy”. A na mój gust: zbyt nawet kapryśny i ślepy. Los

czy ślepy przypadek, to nie jest chyba równoznaczne z prawidłowościami historii, lecz ich zaprzeczeniem. Większość bohaterów powieści Pasternaka rąba by historię nie zauważając, gdyby im nie wlażała na głowę. A... gdyby zginęła od jakiejś bomby w czasie historycznej II-ej Wojny Światowej czy nazwałby to Pan moim aktem pokory wobec historii?... Chyba — nie.

Owszem, występuje u Pasternaka kilka postaci opętanych obsesją historii, trudno je jednak uważać za *porte-parole* autora, skoro autor wyraźnie się od nich odcina, wyznaczając im drogę moralnej klęski. To mu Pan bierze, zdaje się, za złe, przeinaczając jednak intencję. Żiwago tej postawy nie reprezentuje, i jego klęska jest inna, jest klęską o d e r w a n i a, używając Pana terminu. Lecz i Pan, i ja, wiemy z własnych doświadczeń, że na bolszewizm można reagować tylko trojako: albo walką, albo „oderwaniem”, albo „zaangażowaniem”. Dwie pierwsze reakcje kończą się zazwyczaj fizyczną klęską, ale tylko trzecia, moim zdaniem, jest płaszczeniem się przed historią, wyciąganiem praktycznych wniosków z wiary w predestynację historyczną, w nieodwracalność procesów, w bezsilność człowieka wobec przemocy historii, wyrzekaniem się swego: „nie”. (Jeśli zabija mnie bomba, oznacza to moją bezsilność, ale nie oznacza, że się na nią zgadzam. Jeśli włączam się w jakiś proces historyczny, dlatego, że go uważam za nieodwracalny, oznacza to i bezsilność i zgodę). Wydaje mi się więc, że wyinterpretował Pan powieść Pasternaka akurat w odwrotnym duchu, niż została ona napisana. I tutaj jest miejsce na postawienie pytania: dlaczego? Dlatego, — podejrzewam — by pasowała ona do antyrosyjskiego schematu. Niech się dzieje, co chce, schemat jest święty: Rosjanin to zawsze „raby”.

Zdaje sobie sprawę z trudności przełamywania schematów. Są równie absurdalne, jak uczucia. Ponieważ jednak w uczuciach prywatnych wprowadziliśmy jakiś porządek, proponuję, aby podobny porządek wprowadzić do uczuć narodowych. Nikt nie wymaga wprawdzie logicznych uzasadnień, dlatego się jakąś osobę kocha, wymaga się natomiast motywacji, dlaczego się kogoś nienawidzi. I tę nienawiść lokalizuje się w granicach konkretnych powodów. Jeśli X kogoś skrzywdził, skrzywdzony ma prawo tak długo żywić urazę lub nienawiść za swą krzywdę, jak długo mu się podoba. Uważa się jednak za cechę umysłów prymitywnych zastępowanie racji schematem ogólnej odrazy. W ten sposób dziecko, skrzywdzone przez nauczycielkę, zapomina szybko o incydencie, natomiast z uporem powtarza, że nauczycielka jest zła, głupia, brzydka, śmieszna itd. Parabczak, odepchnięty przez piękność wiejską, oskarżał ją o diabelskie praktyki, często nader skutecznie. Chłop niechętnie przyznawał się do rachunków przepitych w karczmie, ale oskarżał Żyda-karczmarza o mordowanie chrześcijańskich dzieci na mace. Za kradzione kury i konie Cyganie oskarżani bywali o... ludożerstwo.

Pamiętam takie wyjątkowo ładne letnie popołudnie w mieszkaniu na Ealingu byłego polskiego Senatora, którego i Pan znał, i zapewne lubił, bo Senator nie był formacji ani endeckiej, ani ozonowej. Okna były otwarte, słońce na różach w ogrodzie, z następnego ogródka dobiegał gwar dzieci, ciepło, trochę sennie, panie i panowie na kanapach i fotelikach, brakowało brzęczenia much, a można by mieć złudzenie, że to nie Londyn, ale lato w polskim dworze. Było tak przyjemnie, że z niechęcią usłyszałam uwagę Józefa, przecinającą wywody Senatora o „rabstwie” rosyjskiego chłopca. „Panie Senatorze — powiedział — przecież w Rosji mimo pańszczyzny nie było nigdy zwyczaju całowania panów i popów po rękach, który to zwyczaj przetrwał u nas aż do 39-go roku”. „Bo byli grzeczni” — odparł Senator. — „Całowali w rękę z grzeczności”.

Jak więc Pan widzi, wszystko można wytłumaczyć: tu — grzeczność, tam — „bicie pokłonu”, używając słów z pańskiego artykułu.

Ciekawa jestem tylko, czy zdaje sobie Pan sprawę, jak pańska pogarda dla chłopów rosyjskiego była typowa dla rosyjskich rewolucjonistów, i że właśnie w tych ustępach, w których Pan chce podkreślić swoją polską odrębność i przemawia Pan nieomówionymi słowami Plechanowa. Irytacja rosyjskich rewolucjonistów była zrozumiała: jak robić proletariacką rewolucję z 80% chłopów, którzy „kochają Boga i cara”? Ta irytacja zmieszana z intelektualną pogardą była pierwszą deprawacją rewolucyjnego inteligenta, a jednocześnie, niech mi będzie wolno powiedzieć: ruchu socjalistycznego. Dzięki niej rewolucja rosyjska skierowana została nie tylko przeciw władzy, lecz przeciw narodowi. Okres w którym — jak Pan pisze — elitę intelektualną Rosji cechowało zespolenie i poczucie winy wobec uciśnionych i uciemiężonych, został przekroczony. I, moim zdaniem, było to nie tylko końcem wielkiej literatury społecznej, lecz także końcem romanu intelektualistów z socjalizmem. Miejsce miłości zajął mariaż z interesu, którego fałsz obciąża całą dzisiejszą intelektualną lewicę. Gdy pięćdziesiąt lat temu rosyjski inteligent, najczęściej z zaplecem jakiejś schody, majątku, kilku kamienie, czy fabryki agitował za socjalizmem, zgłaszał w ten sposób gotowość do złożenia ofiary z tego, co posiada. Gdy dziś pisarz Zachodu agituje za socjalizmem, nikt go nie posądza o chęć osobistych ofiar, a raczej o nostalgię do wygodnego mecenatu państwowego, z pieniędzy podatników, lecz bez oglądania się na ich złe gusty. Pisarz z podmołkowskiej dachy nie jest zżerany poczuciem winy za swe uprzywilejowane stanowisko, opłacane z robotniczych i kolchoźniczych zarobków; gomulkowska odwilż literacka ukazała nam wiele wewnętrznych dramatów wśród pisarzy krajowych, tylko ani jednego z poczucia winy za „złote firanki”; manager amerykańskiego związku zawodowego nie odczuwa wyrzutów sumienia za swoje 18.000 dolarów rocznej pensji, ze składek robotniczych. Ale wszyscy wy czuwamy, że najprzystojniejsze jest stanowisko managera, bo pozbawione fałszu: każe sobie dużo płacić, ale zabiega o interesy tych, co go najmują. Na pogardę nie ma miejsca. I jak uczy doświadczenie, to praktyczne i pozbawione sentymentów rozwiązanie przynosi o wiele więcej konkretnych korzyści robotnikom niż państwa socjalistyczne. Ale nawet, gdyby tak nie było, to socjalizm jest dziś wyłącznie sprawą proletariatu. Jak słusznie wywodził profesor Aron, mitologizowanie proletariatu było możliwe, gdy był on wielką niewiadomą. Dziś za dobrze znamy jego gusty do „Westernów”, literatury brukowej i comic'ów, aby mógł być wielbiony przez intelektualistów. I dlatego zapewne wśród intelektualistów lewicy wyczuwa się o wiele więcej podkórnej pogardy dla plebejskości, niż na prawicy: wybierając socjalizm, skazują siebie na symbiozę z czymś niemile obcym, z cichym wyrachowaniem, że uda się pochwycić rząd dusz, opłacany pracą właścicieli tych dusz, ale wbrew ich upodobaniom. — Czy nie sądzi Pan, że wówczas dyktatura proletariatu zmienić się musi zawsze i wszędzie w dyktaturę nad proletariatem? W której już nie ma miejsca na zespalenie się, współczucie, litość, bo atrybutem każdej rządzącej elity jest pycha?

Spodziewam się najgorszego: obruszy się Pan, rozłości na najwerniejszą entuzjastkę swoich poezji, i powie, że niczego nie rozumiem. A ja w Pana artykule, słowo daję, nie zrozumiałam tylko jednego zdania. I to w pień! Tego, które zacytowałam na początku. Jakich to „przyjaciół Rosji” ma Pan na myśli: czy, powiedzmy, Józefa Czapajskiego, czy też komunistów? Z całego kontekstu nic nie wynika, bo może być tak i tak, a ponieważ Pan uporczywie Związek Sowiecki nazywa Rosją, nie wiadomo, czy mowa o antykomunistach, czy o komunistach? Przypnę Pan, że taka dwuznaczność wskazuje jednak na niedomogi przyjętej nomenklatury.

Barbara TOPORSKA

NAJNOWSZE MODELE WARSZTATÓW DZIEWIARSKICH DO POLSKI

Dzięki swoim zaletom szczególnie popularne w Kraju:

Dwulożyskowe:

GIROTEX „400”	£ 58.15.0
TRICOLETTE SUPER	£ 51. 0.0
TRICOLETTE T 2 E	£ 46. 0.0
BUSCH	£ 46. 0.0

Jednolozyskowe:

ASK (AUTO-KNITTER)	£ 22. 0.0.
--------------------------	------------

Do wszystkich powyższych maszyn posiadamy obszerne instrukcje polskie. Zapewniamy również stałą rzetelną obsługę maszyn wysłanych przez nas do Polski.

**ŻĄDAJCIE NASZYCH PROSPEKTÓW
I NOWYCH OBSZERNYCH CENNIKÓW**

NAJWIĘKSZY POLSKI DOM WYSYŁKOWY

TAZAB

& CO LIMITED

Oddział
w St. Zjedn.
36, Third Avenue,
NEW YORK,
3, N.Y.
Tel. ALgonquin
4-4160/1

Centrala
TAZAB HOUSE
22, Roland Gdns.,
LONDON, S.W.7.
Tel. FRE 3175,
3176, 5676

Oddział
w Australii
327, Collins Str.,
MELBOURNE, C.I.
Vic.
Tel. Melbourne 1314

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO.
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia:
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

Książki

Beck, Szembek, Rembek

Wśród nielicznych nowości wydawniczych na emigracji, które zasługują na uwagę, wymienilibym bez wahania — dwa *wznowienia*. Jednym z nich jest „Zawalidroga”, powieść Herminii Naglerowej wydana mniej więcej przed rokiem jako 5-ty tom biblioteki londyńskiego „Gryfu”, drugim wydana obecnie przez Instytut Literacki w Paryżu „opowieść” Stanisława Rembeka pt. „W polu” (1). Zapisuję na koncie zasług obu wymienionych instytucji wydawniczych ponowne rzucenie na rynek czytelnicy tych książek. Pisząc niedawno na innym miejscu o dorobku literackim naszego międzywojennego dwudziestolecia uczyniłem uwagę, że okres ten nie był szczególnie obfity w talenty. Odnosi się to zwłaszcza do prozy powieściowej. Na monotonnym na ogół tle „salonowych” romansów Nałkowskiej i prymitywnej a jednocześnie pretensjonalnej „krzepy” Kadena — którego bohaterowie robili na mnie zawsze wrażenie karłowatych poubieranych w zbyt obszerne marynarki i ukrywających swoją przyrodzoną chuderlawość pod szeroko wywątowanymi, „barczystymi” ramionami — wojenna opowieść Rembeka uderzała świeżością, prostotą i prawdą.

Nie istniało wtedy jeszcze pojęcie socrealizmu; w każdym razie w Warszawie nikt jeszcze o nim nie słyszał. Ale, jeżeli temu sponiewieranemu słowu można by przywrócić w ogóle jakąś treść pozytywną, to chyba nazywając socrealistycznym ten typ prozy — surowo realistycznej — jakim posługuje się Rembek. Ale w tym sensie Balzak był także „socrealistą”... Zresztą byli nimi zawsze wszyscy wielcy narratorzy. W „wywątowanej” rzeczywistości polskiej lat 1926-1939 — wywątowanej jak proza Kadena i jak polityka „sanacji” — poważny i surowy realizm batalistyki Rembeka podział, jak górska

(1) Stanisław Rembek: *W polu* — opowieść, str. 308. Instytut Literacki Paryż, 1958. Biblioteka „Kultury”, tom XXXI.

wichura, która nagle wdarła się do ciepłarnianego zaduchu. (Z którym chyba porównać by można tylko zaduch emigracji). Nie tak wtedy mówiło się w Polsce o wojsku i o wojnie! Nie darmo Piłsudski nazwał przecież wojnę „boską sztuką”... Opowiadanie Adolfa Rudnickiego pt. „Żołnierze”, które ukazało się również w tamtych latach, było wprawdzie także niekonformistyczne i niekonwencjonalne, ale, jaki tam żołnierz z tego Rudnickiego! Rekrut z cenzusem, i tyle! Zresztą opowiadanie Rudnickiego traktowało o życiu garnizonu w czasie pokoju. Natomiast w batalistycznej panoramie Rembeka, w każdej opisywanej przez niego scenie, w każdej sylwetce, w dialogu, w każdym niemal zdaniu dotyczącym wojska, uzbrojenia, sprzętu i oporządzenia, wyczuwa się bez żadnej wątpliwości *autentycznego żołnierza frontowego*. To nie ciura obozowy napisał tę książkę; nie łazik-blagier, typ jak wiadomo bardzo częsty wśród Polaków, nie potencjalny Szejka — jak np. wielce utalentowany autor „Szkiców piórkami”, nie neurasteniczny „pan inteligent” ucharakteryzowany na huculskiego „Grzesia” — jak niezapomniany bohater „Soli ziemi”, ale jeden z tych sakramenckich piechurów z siódmej kompanii, z odparzonymi stopami, w postrzępionych owijaczach i „komyśnych” buciorach, śmiertelnie znudzony i utyłany w krwi i błocie.

Trzeba to przyznać polskiemu środowisku literackiemu sprzed roku 1939, że bez wahania adoptowało natychmiast nikomu przedtem nieznanego autora, uznając w nim z miejsca talent pierwszej jakości. Zanim jednak „opowieść” Rembeka o wojnie polsko-bolszewickiej zdołała przeniknąć do świadomości szerszego ogółu, zanim zdobyła jaką taką poczytność a on sam tzw. pozycję i popularność — rozpoczęła się znowu wojna. Tak więc stało się, że nazwisko Rembeka, notowane wysoko na „gieldzie literackiej” natychmiast po ukazaniu się jego pierwszej książki — dotychczas nie jest szerzej znane.

Przypuszczam zresztą, że się to nadal nie zmieni. Tematyka książki nie pozwala na ponowne jej wydanie w Kraju. Gdyby się na to poważono (do czego nikogo nie namawiam), osiągnęłaby jak sądzę rekordową poczytność; nakład stu tysięcy egzemplarzy nie wydaje mi się wcale zbyt duży. I żałuję, że nie byłyby to „cegiły”! Niestety, to nie jest możliwe. Rok 1920 skazany jest na przemilczenie. Tym słuszniejsze wydaje mi się wydanie „W polu” na emigracji. Ostatecznie, po cóż tu jesteśmy?

Pamiętam pierwsze zetknięcie się Rembeka z naszym środowiskiem. Było bardzo charakterystyczne. Przyszedł po raz pierwszy na jakieś zebranie do naszego lokalu. Związek Literatów i PEN-Club mieściły się wówczas razem przy ulicy Pierackiego (Foksal) pod numerem szesnastym, w obszernym mieszkaniu, które świeżo odnowiliśmy i urządziliśmy pięknie stylo-

wymi meblami jesionowymi. Wszedł tam właśnie przysadkowaty mężczyzna, nie znany nikomu, o pyzatej twarzy i krótko przyszytych włosach. Mógł liczyć lat trzydzieści parę, może zbliżał się do czterdziestki. Rozejrzał się po jesionach, po pięknej dębowej posadzce. Uśmiechnął się, zamrugnął oczkami. U sufitu wisiał duży „gdański”, wieloramienny świecznik mosiężny, a po obu bokach rozłożystej kanapy jarzyły się kryształowe kinkiety. Dostojnie i dostatnio wyglądały te nasze salony. To właśnie, być może, rozbawiło krępego mężczyznę. Mrugając oczkami wszedł zdecydowanym krokiem w nasz oświetlony i rozgruchany krąg.

— Jestem Rembek — powiedział powoli i wyraźnie.

Bystre oczka patrzyły na nas wesoło z okrągłej i rumianej twarzy. Była w tym spojrzeniu ciekawość i jak gdyby umiająca wiele wybaczyć wyrozumiałość. Przez chwilę wydawało mi się, że go po prostu śmieszmy.

— Phi — powiedział, i stuknął nogą w wyfroterowaną podłogę. — Ale posadzka!

I — kreśląc brzegiem podeszwy łuk na wywoskowanej płaszczyźnie — przybrał niespodziewanie pozę tancerza, szykującego się do wykonania jakiegoś wdzięcznego „pas”, albo — lżywiarza wykonującego wymyślną figurę na lodzie.

Były to oczywiście kpiny.

Bo też nasze posadzki lśniły nie na żarty. Były one dumą woźnego Związku, Józefa Andrzejewskiego, mojego wielkiego przyjaciela. W posadzkach i w żyrandolach oraz w tych okazałych jesionach, w ich połysku woskowo-złotawym i złotawo-brązowym, tkwił trud jego codziennej pracy; dlatego ten połysk tak dokładnie pamiętam. Ale Rembekowi nie podobało się to widocznie. Widzę, jak stoi w żartobliwie tanecznej postawie, a oczka mu się śmieją.

— Phi! — phi! — powiada — stołecznie tu u was...

Trzeba było widzieć, ile rąk wyciągnęło się wtedy ku niemu! I ile się ku niemu skierowało zaciekawionych i życzliwych oczu! Pierwszy ku Rembekowi podbiegł oczywiście stary Irzykowski. Jak wiadomo, Irzykowski „zaciął się”, albo, powiedzmy po prostu, jękał się w chwilach wzruszenia, zwłaszcza gdy chciał wyrazić jakąś myśl, która go bardziej przejmowała.

Tak było także wtedy.

— Rem — rem — rem... — walczył z wadą wymowy i rozpromieniony ścisnął obiema rękami dłoń Rembeka. Jednocześnie zwracał ku nam swoją kanciastą twarz dobrotliwego satyra. Przewyciężywszy nareszcie swoje „zacięcie” powiedział:

— Uważajcie młodzi! Jest Beck, jest Szembek... Ale za kilkadziesiąt lat będzie tylko Rembek...

Goetel z „Ozonu” uśmiechnął się. Uśmiechnął się także Staś Rogoż z „Gazety Polskiej”. Ale Parandowski z „Polskiego Radia” skrzywił się. Już wtedy nie lubił widocznie żartów z władzy.

Tymczasem podpływała do Rembeka okazała, zawsze wystylizowana jak kosztowna portiera z okresu *fin-de-siècle*’u, Zofia Nalkowska. Podała Rembekowi rękę i z dostojnej wysokości przyglądała się krępej nowalijce. Zawsze była łaskawa dla młodych. Wielu z tego korzystało.

Gdy tak stali obok siebie, ona — odświętna, on — powszedni, wydali mi się parą z Cervantesa. On, przysadzysty Sanchez Pansa z pyzatem pyskiem i sprytnymi oczkami, szeroki w biodrach, jak przystało na pyknika jak gdyby żywcem wyjętego z porównawczych tablic Kretschmara — ona, oczywiście Don Kiszot, tyle że w spódnicy; secesyjna *belle-femme*’a, rozsiewająca wokół monarszą łaskawość i przekwitłe uśmiechy, dojmujące i ckiwe, jak zapach zwietrzałych perfum pomieszany z potem; w istocie, mimo wielu życiowych sukcesów godna raczej współczucia niż budząca zazdrość — smutna zaiste ofiara zacofanego środowiska i tej niewiarogodnej polskiej „stołecznej” parafianiszczyny, której aż nadto wiernym odbiciem są jej niezliczone powieści, a którą wielu z nas w okresie dwudziestolecia — wraz z Boy’em i doktorem Rubinrautem z „Wiadomości” — skłonnych było uznawać za „postęp” i „europejskość”. Ach! ten nieśmiertelny polski partykularz! Towarzyszy nam przecież nawet na emigracji — z Zygmuntem Nowakowskim włącznie... I po 19-tu latach nie zmienił się nawet na jotę. Codziennie możemy go podziwiać w czasie obiadu w „Ognisku”, a co tydzień, czytając „Wiadomości”, złorzeczyć mu, i jednocześnie się nim zachwycić. Ale w tamtym czasie, w roku ukazania się książki Rembeka (1937), polska dulszczyna była groźna. Rozparta w Zamku i na *vis-à-vis* Belwederu przy ulicy Klonowej, rządziła państwem; rządziła też poniekąd literaturą. Począł się też już wytwarzać jak gdyby styl oficjalny: była nim zabawna mieszanina „rewolucyjności” połączona z człobitnością w stosunku do Komisariatu Rządu. Nazywaliśmy to „rewolucją w ramach koncesji”, a dobrym przykładem może tu być spora część twórczości Tuwima, (cała niemal jego twórczość satyryczna), a także liczne wiersze Broniewskiego. Uta-lentowany ten i sympatyczny poeta, uważany przez awangardę wszelkich odcieni (w pobliżu czerwieni) za „mistrza”, umiał w swojskim polskim sposobie, a więc myślę że *saccherse*, godzić niejako ogień i wodę: swoje ciagoty komunistyczne z przywiązaniem do tradycji legionowej (był żołnierzem I Brygady) oraz z niekwestionowaną przez nikogo przynależnością do warszawskiego „parnasu” — na półpięterku cukierni „Ziemiańskiej” przy ulicy Mazowieckiej. Wiersze Broniewskiego były zazwyczaj w połowie „rewolucyjne” a w połowie „legionowe”, co je niejako immunizowało, a mnie już wtedy śmieszyło. Takich *połowiczności*, które można by również nazwać brakiem konsekwencji — życie nasze w dwudziestolecie miało zresztą znacznie więcej. Może one stanowiły o jego wdzięku?

Podobną połowicznością nacechowany był również stosunek do sprawy społecznej np. w „Czarnych skrzydłach”, powieść

ci o Zagłębiu Dąbrowskim — „o węglu” — jak sam Kaden lubił określać tę swoją umiłowaną książkę. Prawdę rzekłszy, także „Przedwiośnie” ma zwichniętą równowagę: głosi półprawdy, wskazuje półrozwiązania. Inaczej być nie mogło. Polska granicząca ze Związkiem Sowieckim na przestrzeni 1400 kilometrów — jeżeli chciała się ostać i zachować własną „osobowość” — była niejako zawsze skazana na „polską drogę do socjalizmu”, z akcentem położonym wyraźnie na pierwszym z tych słów. Konieczność tej odrębności rozumiał swego czasu Lenin, a nie rozumiała jej Róża Luxemburg (z S.D.K.P. i L.), z którą Lenin na ten temat niejednokrotnie polemizował, przy czym, co warto przypomnieć, reprezentował on wtedy poniekąd polski punkt widzenia — co także i dzisiaj wydaje mi się nie pozbawione znaczenia. Stary to konflikt, i już chociażby dlatego nie należy go lekceważyć. Pisał o nim kiedyś (zdaje mi się, że w roku 1910!) Tytus Filipowicz, w książce pt. „Koordynacja, czy utożsamienie?” (Z rewolucją rosyjską). *Polowiczność*, o której mówiliśmy, i która cechowała myśl społeczną odbitą w literaturze dwudziestolecia, tutaj moim zdaniem miała swoją przyczynę. To dlatego „Przedwiośnie” kończy się tak, jak się kończy — raczej enigmatycznie: marszem na Belweder, więc demonstracją a nie — rewolucją. Rosja była zbyt blisko...

Temu „polowicznemu” stylowi patronował Kaden w dodatku literackim „Gazety Polskiej”, a Horzyca w „Drodze”. Był to oczywiście styl jak najbardziej odległy od realizmu. Podobnie jak nasza polityka, również nasza literatura zdawała się w tamtych latach nie dostrzegać rzeczywistości. O takich zastanawiających *zbieżnościach* napisał broszurę Jerzy Stempowski. Nosila tytuł „Chimera, jako zwierzę pociągowe”. Nigdy ani przedtem ani potem nie zdarzyło mi się czytać nic równie fascynującego. W poezji kwilili nadal niefrasobliwi skamandryci; w prozie Kaden, panujący niepodzielnie, zakłamywał współczesność w sposób gigantyczny. („Generał Barcz”, wspomniane już „Czarne skrzydła”, a zwłaszcza „Mateusz Bigda”). Wtedy Stempowski nazwał językową „krzepę” Kadena „robotą krawiecką”.

— Kaden, proszę pana, jest cały wywatowany; bicepsy ma wypchane trocinami...

Tak mi to jakoś powiedział.

Wrażliwe ucho ma młodość! Zapadło to we mnie, i już tak pozostało. Zawałił się wtedy mój podziw dla Kadena — jak kołos ulepiony z gliny.

Prozaikiem, który oparł się przemożnemu wpływowi Kadena, był Goetel. (Co zaznaczyć tutaj należy z uznaniem). Poszukiwał on jednakże w tym okresie tematów egzotycznych. Podróżował i „odkrywał” to Indie, to Egipt, to Islandię, to bardzo odległą wyspę Mauritius. („Cyklon”). Były to dobre książki podróżnicze, ale nie wydaje mi się, by właśnie taki typ popularnej literatury był nam wówczas najbardziej potrzebny.

Nie mam nic przeciwko egzotyce, ale jestem zdania, że i w literaturze zawsze koszula jest bliższa ciała: na Polesiu świecono tłuszczem rybim (w braku nafty) i rozcinano podobno zapalkę na cztery części. Jeżeli więc ktoś już koniecznie poszukiwał egzotycznych wzruszeń, to można je było znaleźć także znacznie bliżej. O Polsce wszakże Goetel właściwie nie pisał. Nie wiem, może to był u niego eskapizm — niechęć do „zaangażowania się”, podświadoma niejako ucieczka przed odpowiedzialnością. (Bo w Polsce ciąży na pisarzu zawsze odpowiedzialność społeczna). Może — przecucie zbliżającej się katastrofy. Chociaż bowiem nie dopuszczaliśmy do siebie tej myśli, a gdy pojawiała się mimo to, dławiliśmy ją w zarodku, to jednak urzędowe „być co jest” i „nie damy nawet guzika od płaszcza”, podszyte było niewątpliwie kompleksem mniejszej wartości własnej. Stempowski nakreślił wtedy taki obraz. (W eseju wspomnianym już przeze mnie). Cytuję z pamięci: „Średnie państwa pożerają małe, a nie za długo wielkie pożrą średnie”... W pożeraniu Czechosłowacji wzięliśmy jak wiadomo udział; zgodnie z diagnozą Stempowskiego niebawem sami też zostaliśmy pożarci. Nie po raz pierwszy czynię obserwację, że pisarze mają niekiedy znacznie lepsze rozeznanie *tendencji rozwojowych polityki*, niż mężowie stanu i zawodowi dyplomaci. Juliusz Łukasiewicz także napisał wówczas książkę. Nosila ona tytuł „Polska jest mocarstwem”. W księgarni Gebethnera przy ulicy Sienkiewicza zapelniono nią całą jedną wystawę. I jakby mało jeszcze było tej hańby wystawę „uwieńczono” ogromną fotografią Łukasiewicza w paradyndym mundurze ambasadora, przepasaną, jakby wstęgą orderową, napisem wyciętym w celofanie: POLSKA JEST MOCARSTWEM. Dreszcz mnie przeszedł. To nadawało się do „Cyrułika” a było pomyślane serio!

W takiej atmosferze książka Rembeka była oczywiście czymś więcej niż udanym debiutem literackim. Rembek przemawiał *normalnym* ludzkim językiem i opowiadał dzieje kompanii piechoty w czasie wojny polsko-bolszewickiej bez „mocarstwowej” histerii i bez patriotycznej dydaktyki. To było wydarzeniem. Dlatego Irzykowski z takim uniesieniem ścisnął dłoń Rembeka, dlatego my, młodzi, z podnieconym zainteresowaniem patrzyliśmy na śmiałka.

Andrzejewski podał kawę. (Józef, nie Jerzy; Jerzy był wśród nas). Otoczyliśmy Rembeka kołem: młodziutki poeta z Sandomierszczyzny Staś Piętak, rozczochrany jak zwykle Wojciech Skuza (także poeta; już nie żyje; zmarł w sowieckim więzieniu) posuwisty, czarniawy i gibki Breza, autor „Adama Grywałta” — wysoko choć niezasłużenie cenionej wówczas powieści „z wyższych sfer towarzyskich” — błady i zawsze jak gdyby o coś zawistny Jerzy Andrzejewski, sztandarowy wówczas katolik. Któż jeszcze? Otulona czarnym szalem Ewa Szelburg Zarembina i Maryjka — „Cudzoziemka” — Kunciewiczowa: obie jednakowo afektowane i tak samo cwane; może jeszcze Wanda Melcer-Sztekerowa — niby to wielkomięska lwica,

której żadne grzechy świata nie są obce i która — jak Krzywica — niby to niczego się nie lęka (nawet opisu „mykwy...”), ale w istocie pod wyrośniętym biustem ukrywa tkliwe, drobno-mieszczkańskie serce... — może Pawełek Hertz. (Jak zawsze ubrany starannie i poprawnie poetycki). Wreszcie ja: uprzejmy, chudy i enigmatyczny.

Dopiero dzisiaj, gdy z perspektywy wielu lat odtwarzam wraz z tym wspomnieniem ówczesne warszawskie środowisko literackie, widzę jak bardzo odmienny od nas był Rembek. Nas, nawet najmłodszych, jak Staś Pięta, toczył już robak literackiej konwencji; zamiast iść naprzód, każdy własną drogą, umieliśmy właściwie tylko podsłakiwać w miejscu — jak konie na pastwisku, którym spętano nogi, Polska dwudziestolecia cierpiąca na nadprodukcję inteligencji, zwłaszcza inteligencji posiadającej wykształcenie humanistyczne. Irzykowski, najęzszy umysł w naszym środowisku, zarabiał na życie jako stenograf w biurze Sejmu (2) — Przybyszewski na stare lata był urzędnikiem na poczcie w Gdańsku... (Vide studium profesora Adama Krzyżanowskiego napisane przed laty z górą trzydziestu pt. „Pauperyzacja inteligencji”). Byliśmy istotnie wszyscy na tym samym chudym pastwisku. Dla młodych był właściwie tylko jeden ratunek: *nos*. Kto miał dobrego nosa — płynął. (Nos, jako żagiel; nie zła metafora). Zresztą, nie było to nawet takie trudne. Wanda Wasilewska otrzymywała stypendium Akademii Literatury. Jerzy Andrzejewski dostał od tejże Akademii nagrodę młodych. Michał Rusinek już wtedy był dygnitarzem w ministerstwie. A Wańkowicz...

Inaczej Rembek.

Skąd przyszedł, i co robił zanim zabłysnął swoją pierwszą opowieścią — nie wiem. To pewna, że nie kręcił się po literackich kawiarniach i nie wysiadywał w żadnych przedpokojach. Pewnie w jakiś nieefektywny sposób tkwił w *realnym* życiu.

(2) Halina Maria Dąbrowska w książce swojej „O Karolu Irzykowskim” wydanej w wydawnictwie Władysława Bąka (Łódź — Wrocław, rok 1948) pisze:

„...nie otrzymał przez całe owocne i pracowite życie ani razu nagrody literackiej czy państwowej lub miejskiej. Nie tylko Warszawa, ale i Lwów (prawie rodzinny), i Kraków, gdzie tyle lat spędził — nie wyróżniły go ani razu. Nigdy nie był wysyłany za granicę, nie otrzymywał żadnych stypendiów czy synekur literackich. Dlatego musiał być przez osiemnaście lat w niepodległej Polsce urzędnikiem-stenografem w Sejmie, zamiast pisać...”

Zaś Stefan Kisielewski w pięknym studium „O klerku heroicznym” („Tygodnik Powszechny”, Kraków, rok 1948):

„...Talentyści” nie bardzo rozumieli o co Irzykowskiemu chodzi, wobec czego jeli się metod najłatwiejszych, ale i najdotkliwszych: z jednej strony brutalnego ośmieszania (Ślonimski), z drugiej — zaprzestali drukować przedmowa w „Wiadomościach”. Ten drugi cios był dla Irzykowskiego bardzo ciężki — tracił trybunę, z której mógł przemawiać — a względy finansowe również nie były tu obojętne. Irzykowski całe życie borykał się z trudnościami pieniężnymi, harując jak wyrobnik...”

Dokąd później poszedł — także nie udało mi się nigdy dowiedzieć. Posiadał widocznie dar czy umiejętność „prywatności”, (*privacy*). Nie było go widać. W latach wojny nie zetknąłem się z Rembekiem również, chociaż włóczyłem się dość długo po Polsce. Do niedawna nie wiedziałem w ogóle, czy żyje. A teraz — strawiłem dwie noce nad jego książką! To zabawne: raz już pisałem o niej — przed laty dwudziestu.

Powtórne wydanie książki po tak długim upływie czasu jest eksperymentem ryzykownym. Dwadzieścia lat, to okres wystarczający do „zhistoryzowania” każdej ówczesności. Cóż dopiero, gdy okres ten wypełniły wydarzenia, które niemal przetworzyły obraz świata. A jednak! Opowieść Rembeka o wojnie roku 1920 nie utraciła nic ze swej ożywczej świeżości, którą odczułem kiedyś, jak smagnięcie wichury. Taką świeżość zachowały moim zdaniem jeszcze tylko dwie książki traktujące o pierwszej wojnie światowej: Remarque’a „Im Westen nichts neues” i Roberta Graves’a „Goodbye to All That”.

Oczywiście, są między tymi żołnierskimi relacjami trzech wybitnych pisarzy znaczne różnice. Wynikają one m.in. z odmienności opisywanych sytuacji. Niemiec i Anglik opowiadają o wojnie *pozycyjnej* na froncie zachodnim; Rembek opisuje wojnę *ruchomą*. Angielskich i niemieckich piechurów straszyl widmowy krajobraz okopów, w których tkwili miesiącami w bezruchu w monotonii mgieł i błotnistego terenu, (Flandria), ogolonego przez wojnę nie tylko z ludzi, ale ze zwierząt, ptactwa i roślinności. „...No trees; no birds; no wild animals, except rats” — napisze o krajobrazie swojej epopei Graves w czterdziestą rocznicę pierwszej kapitulacji Niemiec. („The Observer”, Londyn, 9 listopada 1958). Siódma kompania Rembeka jest natomiast bezustannie w ruchu; „polska wojna” bywa często toczona nogami. Te mordercze marsze odbywały się w warunkach jak najbardziej prymitywnych, wśród przyrody dzikiej i przetrzebionej zniszczeniami wojennymi, ale nie pozbawionej żadnego z uroków kraju pierwotnego — i *rodzinnego*. Czym innym była wojna nad Sambrą i Mozą (3), w okolicy Namur, czy pod Mons i le Cateau, a znowu czym innym w opłotkach Sokołowszczyzny, Chachulek, Stomik, Śmigalszczyzny, nad płytką rzeczką Autą — aż po Pawłowicze, Szoroszo, Sielco, Tupiczyne, Ulinę i Podlipki! Co kraj, to obyczaj, więc i wojna wojnie nie równa.

Nic dziwnego, że inaczej reagował na nią dajmy na to *private* Frank Richards, (4), D.C.M., M.M., „A” Company, 2nd Royal Welsh Fusiliers — o inaczej st. strzelec Jagusik, strzelcy Piesik, Struś, Sitarek, sanitariusz Kamasiński, kucharz Kardasik, pisarz kompanijny Cewowski, kapral Rękawicz, plutonowy

(3) *Nad Sambrą i Mozą* — taki był tytuł głośnej kiedyś powieści Edwarda Ligockiego.

(4) Frank Richards napisał później *Old Soldier Never Die* — jedną z najlepszych książek o pierwszej wojnie.

Zyszkiewicz... — oni w ogóle wszyscy z siódmej kompanii! Jeżeli wymieniliśmy przeto jednym tchem Rembeka, Remarque'a i Graves'a to nie dlatego, żebyśmy nie dostrzegali między nimi różnic. Ale wszyscy ci wielcy realści dają prawdziwy obraz wojny. Prawdziwy, w swojej różnorodności. Dlatego ich książki oparły się niszczącej próbie czasu.



Pragnąłbym zakończyć tę ponowną recenzję jakimś akcentem osobistym. Może ja Rembek przeczyta. Więc powiem: panie Stanisławie, niech się pan nie martwi, że nasi dawni koledzy wynoszą się nad pana i że pana nie drukują. Mróweczki ruchliwe, pszczołeczki zapobiegliwe, czy nie pamięta pan, jak pracowicie dreptali koło Kadena, koło możnej „pani Zofii”, koło Goetla, koło Michalskiego z „Funduszu”, koło KOP'u, koło COP'u, koło „Radia”, koło „Pionu”, a chociażby — koło Wańkowicza. Gwiżdż pan na nich! Pamięta pan, co powiedział Irzykowski? „Jest Beck, jest Szembek”... Już minęli. Ale jest Rembek. I za kilkadziesiąt lat — także będzie.

Czego Panu najserdeczniej życzę —
zawsze ten sam
(..., „uprzejmy, chudy, enigmatyczny”...)

Wiesław WOHNOUT

Hitler i Stalin

Wśród wielu wydawnictw, dotyczących historii najnowszej, które ukazały się ostatnio, książka Aleksandra Bregmana (1) zasługuje niewątpliwie na uwagę polskiego czytelnika. Wobec przymusowego i wstydlivego przemilczania przez historyków krajowych roli Rosji w przeddzień i podczas pierwszej fazy wojny światowej, praca Bregmana jest bardzo pożytecznym polskim przyczynkiem do historiografii tego okresu. Bez względu na politykę Stalina ukazuje się nam w całej pełni a współodpowiedzialność Związku Sowieckiego za agresję hitlerowską nie pozostawia żadnych wątpliwości.

Aleksander Bregman wykorzystał w swej pracy całą dostępną nam dziś dokumentację. Główne jego źródło stanowią do-

kumenty niemieckie, zdobyte przez aliantów i wywiezione na zachód — dokumenty, które w normalnych warunkach nie byłyby nam nigdy w pełni dostępne. Korzysta on również z dokumentacji brytyjskiej, z materiałów procesu norymberskiego, oraz z całej bogatej literatury pamiętnikarskiej, w której poważną pozycję stanowią pamiętniki niemieckie. Jakkolwiek historykowi trudno się zgodzić z twierdzeniem Bregmana, że „rozporządzamy dziś całym materiałem, na który można liczyć i że dodatkowych źródeł spodziewać się nie należy”, gdyż zarówno dokumenty niemieckie jak i brytyjskie, ogłoszone drukiem, nie stanowią całości materiału archiwalnego, a tylko jego wyjątki, a także brak nam dokumentacji francuskiej i rosyjskiej — można podzielić pogląd autora, że istniejący materiał jest wystarczający, do odtworzenia najważniejszych wydarzeń. „Najlepszy Sojusznik Hitlera” powinien więc być traktowany jako poważne studium historyczne, oparte na bogatym materiale źródłowym, który autor wykorzystał i przedstawił z dużą skrupulatnością i obiektywizmem.

Przechodząc do bardziej szczegółowego omówienia książki, napisanej z dużą werwą przez znanego publicystę, najciekawsze jej ustępy dotyczą miesięcy poprzedzających wybuch drugiej wojny światowej. Bregman przywiązuje słuszną dużą wagę do mowy Stalina z 10 marca 1939 roku, w której po raz pierwszy pojawiły się pewne akcenty, świadczące o nowych kierunkach, nurtujących politykę zagraniczną Kremla. Autor nazywa tę mowę wyciągnięciem ręki przez Stalina do Hitlera i tak właśnie zrozumieli ją Niemcy. Nie oznaczało to oczywiście natychmiastowych i radykalnych zmian w polityce zagranicznej obu mocarstw; nieufność, nagromadzona przez lata obopólnej wrogości i wojny ideologicznej, nie była łatwa do przełamania. Dlatego też gdy rozpoczynają się podwójne negocjacje pomiędzy Rosją a Niemcami z jednej, a Rosją i państwami zachodnimi z drugiej strony, nie jest jeszcze przesądzone po czyjej stronie Stalin ostatecznie się opowie.

Analiza podwójnych rokowań stanowi jedną z najciekawszych części książki Bregmana. Wobec tego jak wiele na ten temat napisano — że wspomnę tu Namiera, Scotta, Dallina, a ostatnio R. Yakemtchouka — uwagi autora „Najlepszego Sojusznika Hitlera” zasługują na szczególną uwagę. Czy państwa zachodnie uczyniły wszystko, aby Rosja stała się ich sojusznikiem? Czy polityka polska stała na przeszkodzie zbliżeniu rosyjsko-francusko-angielskiemu? Czy Stalin wybrał politykę pro-niemiecką jako jedyną drogę, która mu pozostawała wobec trudności uzgodnienia wspólnego stanowiska z mocarstwami zachodnimi i Polską? Są to wszystko zagadnienia trudne i skomplikowane, które już nieraz były dyskutowane przez historyków i byłoby wysoce pożądane, aby polski historyk przeanalizował raz jeszcze wszystkie ich aspekty z polskiego punktu widzenia. Bregman, którego praca nie jest przeznaczona dla wąskiego grona specjalistów, z natury rzeczy nie może wchodzić

(1) *Najlepszy Sojusznik Hitlera* (Orbis, Londyn, 1957) str. 160.

zbyt głęboko w analizę rokowań i chwilami nieco je upraszcza. Zwłaszcza jeżeli chodzi o polską stronę, nie przedstawia wyczerpująco polskich reakcji, dyrektyw Becka, ocen Łukasiewicza i poglądów wyrażanych przez polskich dyplomatów tego okresu. Ogólny sąd Bregmana pozostawia trochę niedomówień.

Czego żądał Kreml od mocarstw zachodnich? Nie ulega już dziś żadnych wątpliwości, że Związek Sowiecki pragnął opamować państwa bałtyckie, oraz stworzyć swą strefę wpływów w Europie środkowo-wschodniej. Rosja wysuwała kolejne żądania gwarancji państw bałtyckich, prawa interwencji w momencie, kiedy uzna, że zaistniała agresja, a wreszcie prawa interwencji w wypadku „agresji pośredniej”, to znaczy jeżeli nastąpiły zmiany w polityce wewnętrznej krajów bałtyckich, które Kreml uznałby za niekorzystne dla siebie. Anglia i Francja szły w swych ustępstwach bardzo daleko i jakkolwiek nie godziły się, aż do chwili zerwania rokowań, z rosyjską definicją „agresji pośredniej”, to nawet w tym wypadku starały się znaleźć formułę zadawalającą Stalina.

Moskwa uzyla sprawy przemarszu wojsk sowieckich przez Polskę i Rumunię jako pretekstu dla zerwania rokowań i Bregman słusznie stwierdza, że nastąpiło to dopiero 14 sierpnia, a więc w chwili gdy Rosja miała już właściwie pakt z Niemcami gotowy do podpisania. Być może, że Kreml byłby znalazł inny pretekst do zerwania rokowań i Bregman uważa, że miał już takowy w zanadru, ale nie wydaje się, ażeby Warszawa rozegrała tę całą sprawę w najbardziej zręczny sposób. M.S.Z. żył w tym okresie wielu złudzeniami i dla otrzymania pełnego obrazu byłoby wskazane o tym przypomnieć.

Zasadnicza ocena Bregmana jest niewątpliwie słuszna: Niemcy w jesieni roku 1939 mogli zaofiarować Rosji o wiele więcej niż zachód i wątpliwe jest czy istniała jakakolwiek szansa doprowadzenia rokowań brytyjsko-francusko-rosyjskich do pozytywnego rezultatu. Bregman cytuje zdanie niemieckiego ministra, wypowiedziane podczas rokowań handlowych do rosyjskiego chargé d'affaires w Berlinie, Astachowa: „Co Anglia może zaofiarować Rosji? W najlepszym razie udział w wojnie światowej i wrogość Niemiec... A co my możemy zaofiarować? Neutralność i pozostanie na uboczu... oraz, jeśli Moskwa będzie sobie tego życzyła, porozumienie sowiecko-niemieckie w sprawie wspólnych interesów, które, tak jak w dawnych czasach, okazałoby się korzystne dla obu krajów” (str. 23). Negocjator brytyjski w Moskwie, William Strang, stwierdził podobnie, że Rosja, zawarłszy układ z Niemcami, pozostałaby neutralna podczas światowego konfliktu i „mogłaby zarobić na rozbiórce Polski i wchłonięciu niektórych państw bałtyckich ofiarowywanych przez Niemcy. Tymczasem Niemcy i mocarstwa zachodnie wyczerpywałyby się nawzajem” (str. 33-34).

Bregman być może nie podkreśla dostatecznie w swej książce błędów dyplomacji zachodniej i polskiej, jakkolwiek mówi,

że Warszawa i Zachód nie doceniały w pełni niebezpieczeństwa zbliżenia niemiecko-sowieckiego. Z drugiej strony przypomina słusznie, że Rosja budowała swą ówczesną politykę również na wielu błędnych założeniach. Zakładała, że konflikt Niemiec z Zachodem potrwa długo i nie liczyła się z wojną błyskawiczną, ani w Polsce, ani we Francji. Nie przewidywała, że znajdzie się w niebezpiecznym *tête-à-tête* ze zwycięskimi Niemcami już w 1940 roku i że polityka ugodowa nie uchroni jej przed hitlerowską inwazją w roku 1941.

Autor przedstawia bardzo wyczerpująco rosyjsko-niemiecki pakt o nieagresji i podkreśla jego agresywny charakter. Pakt Ribbentrop — Mołotow w odróżnieniu od normalnych umów tego typu nie zawierał wyraźnego stwierdzenia o zachowaniu życzliwej neutralności w wypadku zaatakowania przez państwo trzecie, a zatem przewidywał neutralność również w wypadku, gdy jeden z kontrahentów sam będzie agresorem — sytuacja, która miała wkrótce zaistnieć po ataku niemieckim na Polskę. Bregman cytuje pełny tekst tajnego protokołu z 23 sierpnia, który jest najwyraźniejszym traktatem rozbiorowym, ujawnionym, mimo wysiłków sowieckich, już w czasie procesu norymberskiego.

Jeżeli celem paktu o nieagresji było przygotowanie warunków, sprzyjających niemieckiemu atakowi na Polskę, protokół zmniejszał szansę tarć rosyjsko-niemieckich przy podziale łupów. Przez podpisanie obu dokumentów Kreml przyczyniał się wale do wybuchu wojny światowej; przez swe postępowanie w przeddzień agresji hitlerowskiej z 1-go września, ułatwiał dalej grę Berlina. Dnia 25 sierpnia rozeszły się pogłoski, że Rosja zmniejsza swe garnizony na granicy Polski, co mogło jedynie usztywnić pozycję Londynu i Paryża wobec Niemiec. Berlin zażądał wówczas, aby Tass oficjalnie zdementował tę wiadomość i Mołotow zgodził się pójść na rękę Wilhelmstrasse.

Życzliwa „neutralność” sowiecka objawia się już w pierwszych dniach wojny we współpracy Luftwaffe z radiostacją w Mińsku. Główne jej znaczenie jednak polega na uzgodnionym z Niemcami wkroczeniu armii czerwonej na wschodnie ziemie Rzeczypospolitej. Dnia 3-go września, po wypowiedzeniu wojny Niemcom przez mocarstwa zachodnie, Berlin zwraca się do Moskwy z prośbą o przygotowanie zajęcia przyznanych jej terenów. Żądania interwencji ponawiane są 8-go, 10-go i 15-go września i wypływają wyraźnie z niemieckich obaw wojny na dwóch frontach. Powolność Rosji tłumaczy Bregman brakiem gotowości armii sowieckiej, jak również pewnym zaskoczeniem spowodowanym szybkością postępów wojsk niemieckich. Dnia 17-go września wreszcie wojska rosyjskie przekraczają granicę, kładąc kres kampanii wrześniowej. Interwencja rosyjska w chwili, gdy walczy jeszcze 25 dywizji polskich, gdy istnieje pewna nadzieja stworzenia przyczółka opartego o Rumunię, oraz gdy — według zeznań generała Jodla — wojska niemieckie mają amunicję wystarczającą na dwa tygodnie dalszej walki, zwal-

nia Niemcy od obawy wojny na dwóch frontach i pozwala Berlinowi na przerzucenie całości swych sił na front zachodni. W okresie Bitwy o Francję w roku 1940 przyjazna postawa Związku Sowieckiego pozwala Hitlerowi na pozostawienie jedynie 7 dywizji na wschodzie, co przyczynia się niewątpliwie do wygrania kampanii.

W świetle przedstawionych faktów, legenda, usilnie podtrzymywana przez Sowiety, o wkroczeniu do Polski celem „niesienia pomocy” ludności ukraińskiej i białoruskiej, rozwiewa się całkowicie. Cynizm Kremla podczas pertraktacji z Niemcami w sprawie wspólnego komunikatu, który został wydany zaraz po wkroczeniu wojsk sowieckich do Polski, jest wprost zadziwiający. Początkowe próby Molotowa przedstawienia sowieckiej interwencji jako akcji ratowania Ukraińców i Białorusinów przed... Niemcami, spotykają się rzecz jasna z oburzeniem niemieckim. Propozycja niemiecka, aby komunikat mówił po prostu o przywróceniu pokoju i porządku w „swoich naturalnych sferach interesów” jest nie do przyjęcia przez Kreml, gdyż według opinii Stalina „przedstawia stan faktyczny ze zbyt wielką otwartością”. Ostatecznie obie strony godzą się na tekst proponowany przez Stalina i ogólnie znany.

Bregman poświęca sporo miejsca w swej książce współpracy niemiecko-rosyjskiej w okresie, który następuje po zwycięstwach niemieckich w Polsce i na Zachodzie. Umowy handlowe i wydatna pomoc gospodarczą, udzielana Niemcom przez Sowiety, należą do faktów na ogół dobrze znanych. Mniej znana natomiast jest pomoc rosyjska dla marynarki niemieckiej, która polegała na licznych ułatwieniach, między innymi na postawieniu Niemcom do dyspozycji bazy morskiej na wschód od Murmańska. Dla zilustrowania panującej wówczas sielanki Bregman przytacza szereg wypowiedzi Hitlera i Mussoliniego pod adresem Stalina. Może najciekawszym z nich było stwierdzenie Mussoliniego, że komunizm w Rosji skończył się i miejsce jego zajął „pewnego rodzaju słowiański faszyzm” (str. 85).

W swej konkluzji, Bregman rozważa sowiecką tezę, która głosi, że pakt o nieagresji przyniósł Rosji korzyści strategiczne oraz czas potrzebny do zorganizowania obrony. Cytując zarówno historyków zachodnich jak i wyjątki ze słynnej mowy Chruszczowa, autor wykazuje niezbicie, że ani celem paktu nie było zyskanie na czasie, ani też pozycja rosyjska nie poprawiała się od roku 1939 do 1941. Dyktatorzy Kremla doprowadzili do sytuacji, w której Rosja stała samotnie oko w oko z najazdem hitlerowskim w 1941 roku. Rozpatrując pakt o nieagresji pod tym kątem, trzeba przyznać, że cenę za niego zapłacili swym życiem miliony obywateli Związku Sowieckiego. Rosyjskie nalegania na stworzenie drugiego frontu w latach 1941-42 są o tyle paradoksalne, że właśnie nikt inny jak sam Kreml, uniemożliwił wojnę na dwóch frontach w 1939 roku. Przypominając, że polityka sowiecka umożliwiła wybuch wojny, przyczyniła się do

zwycięstwa Niemiec nad Polską i Francją, a następnie wzmacniała Niemcy, wykonując skrupulatnie wszystkie zobowiązania wobec nich, Bregman kończy swą książkę słowami: „Władcy Sowieców ponoszą ogromną odpowiedzialność za rozpętanie drugiej wojny światowej. Gdyby to od nich zależało, mogliby ponosić również odpowiedzialność za wygraną jej przez Hitlera”.

Przy ocenie książki Bregmana należy rzecz jasna pamiętać, że jakkolwiek jest ona poważną książką historyczną, to jednak nie jest to ściśle biorąc praca naukowa, przeznaczona dla specjalistów. Dlatego też pewne zarzuty wzmiankowane powyżej, do których można by dodać uwagi na temat bibliografii, oraz zastrzeżenia co do zbyt wąskiego tła historycznego, nie byłyby tu zupełnie na miejscu i nie będą ich rozwijał. Jako całość „Najlepszy Sojusznik Hitlera” stanowi niewątpliwie poważną pozycję wśród polskich opracowań, dotyczących drugiej wojny światowej. Ogólna teza książki jest słuszna i powinna być znana polskiemu czytelnikowi, zwłaszcza w Kraju.

Piotr WANDYCZ

Pamiętniki gen. Rasztikisa

Najpospolitszym zajęciem mężów stanu lub dowódców armii, w stanie spoczynku jest pisanie wspomnień i opisywanie wydarzeń historycznych, w których brali udział, niezależnie czy była to arena rozgrywek między mocarstwami, czy też wypadków ważnych jedynie lokalnie, na jakimś światowym partykularzu.

W Kalifornii ukazały się pamiętniki b. litewskiego naczelnego wodza, gen. St. Rasztikisa, znanego polskim Czytelnikom z jego wizyty w Warszawie, w maju 1939 r.

Te dwa prawie 500-stronicowe tomy w języku litewskim, bodaj że nie tłumaczone na obce języki, zawierają sporo informacji o stosunkach polsko-litewskich, oraz opinii o ludziach i stosunkach w Polsce widzianych litewskimi oczami.

Gen. Rasztikis stopień oficerski otrzymał w Rosji za czasów rządu Kiereńskiego. W armii litewskiej szybko awansował, był wysłany do akademii gen. sztabu w Berlinie, i przed ukończeniem 40 lat został naczelnym wodzem armii litewskiej. W swej karierze reprezentował Litwę na koronacji króla Jerzego VI, targował się ze Stalinem, gawędził z Hitlerem i min. Beckiem, i bodaj że tego ostatniego uznał za bardziej zadufanego w sobie, niż obaj dyktatorowie.

POLSKIE ULTIMATUM

Lecz przejdźmy do cytata. W rozdziale pod powyższym tytułem czytamy:

„Litewski min. spr. zagr. St. Łozorajtis uważał, że jednym z jego zadań jest unormowanie stosunków z Polską. Łozorajtis poruszał te sprawy w rozmowach ze sztabem armii, gdzie znajdował pełne poparcie. Również ówczesni ministrowie obrony przychylnie się ustosunkowywali do tych projektów. Dowództwo wojsk litewskich widziało, że bieg wypadków prowadzi do wojny europejskiej. Nie można było sobie wyobrazić sytuacji, w której Litwa, nawet wbrew swej woli, nie byłaby do niej wciągnięta. W opinii dowództwa armii, Litwa i Polska mają tych samych wrogów. Los tych dwóch państw, jak i całej Nadbałtyki będzie jednakowy i ściśle wzajemnie uzależniony.

A więc ze względu na bezpieczeństwo kraju dowództwo mogło i musiało pragnąć zakończenia nienormalnych stosunków z Polską, aby z zachowaniem (wzgl. nie nadwyrężając) niewątpliwych praw Litwy do swej stolicy Wilna, zostało znalezione właściwe i honorowe *modus vivendi*”.

Dalej autor cytuję amerykańskiego amb. J.E. Davies'a „Mission to Moscow” o stanowisku Zw. Sowieckiego „żywołnie zainteresowanego w zachowaniu niepodległości Litwy” i dodaje, że „dynamiczny” gest wystosowania ultimatum, podobnie jak „dynamiczność” przyłączenia Zaozlia były potrzebne ze względu na polską politykę wewnętrzną.

„Najciekawsze jest to, że już przed incydem w Marcinkancach (zabicie żołnierza polskiego na granicy) było postanowione nawiązanie stosunków dyplomatycznych między Polską a Litwą. Było to wynikiem długich dyskusji i nieoficjalnych rozmów. Dyplomacja brytyjska i francuska również pragnęły, aby sytuacja w tej części Europy była skonsolidowana”.

„Ale stało się inaczej, co można ująć w słowa: Kochaj mnie, bo inaczej poderżnę ci gardło”.

„Nie w taki sposób rozpoczęło się wiekowe współżycie obu narodów. Gdyby i tym razem osiągnięto porozumienie, jak równy z równym, inaczej by się ułożyły stosunki polsko-litewskie w czasie ostatniej wojny”.

Dalej czytamy:

„Dnia 19 marca (1938 r.) w pałacu prezydenta zebrał się rząd, oraz zostali zaproszeni: przewodniczący sejmu, szef sztabu armii i ja. Przewodniczył obradom prezydent republiki. Atmosfera była napięta i nerwowa. Najbardziej unosił się min. rolnictwa St. Putvinskis. Lecz jego argumenty były natury moralnej: że Polacy swym ultimatum zranili honor Litwy, rzucili nam rękawicę, którą powinniśmy podjąć żądając satysfakcji, to jest, że musimy odrzucić ultimatum i wystąpić orężnie. Unosił się również premier, lecz nie wysuwając żadnych konkretnych wniosków. Min. spraw zagranicznych poinformował, że prawie wszyscy dyplomaci doradzają nam nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Polską, ostrożnie krytykował naszą własną politykę w ostatnich latach, nadmierne zwlekanie i brak usiłowań powzięcia decyzji, w już dojrzałej w ostatnich czasach sprawie nawiązania stosunków, wskutek czego doczekaliśmy się tak nieprzyjemnego polskiego posunięcia. Łozorajtis proponował przyjęcie ultimatum z wydaniem odpowiedniego oświadczenia.

Mnie wypadło sformułować punkt widzenia dowództwa armii. Oświadczyłem, że nasza armia sama nie jest w stanie walczyć z Polską. Po krótko opowiedziałem w jakim stanie przejąłem armię i czego dokonałem w ciągu trzech lat. Stwierdziłem otwarcie, że nasza armia nie jest jeszcze w stanie całkowicie nadającym się do prowadzenia wojny. Zgodnie z uchwałami rady obrony państwa — armia będzie zdolna do prowadzenia wojny po zakończeniu 7-letniego planu reorganizacji, z którego to okresu upłynęły zaledwie 3 lata.

Również przypominałem, że prezydent, premier i rada obrony państwa poparli mój wniosek, aby póki nie zostanie zakończona reorganizacja armii, unikano, na ile to od nas będzie zależało, konfliktów zbrojnych, z którymi z wielkich sąsiadów, zwłaszcza nie mogąc liczyć na pomoc sojuszników. Moje wnioski były następujące. Nasza armia nie może skutecznie walczyć z całą polską armią, o ile potrzeba moglibyśmy jedynie bronić się, a raczej uczynić zbrojną demonstrację. O ile rząd nakaze armia usłucha rozkazu, lecz bez złudzeń co do pomyślnego zakończenia. Dlatego też dowództwo jest za pokojowym zakończeniem konfliktu.

Po długich dyskusjach jednomyślnie uchwalono nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Polską”.

„W maju 1939 roku spotkałem w Warszawie dowódcę I korpusu, podobno najdzielniejszego generała w polskiej armii, który mi opowiedział, że w okresie ultimatum jedna pełna dywizja I korpusu, okręgu warszawskiego, została posłana na wzmocnienie III korpusu na polsko-litewskiej granicy. Polski sztab generalny obawiał się wówczas, aby nie wybuchła wojna. Chociaż polskie ministerstwo spraw zagranicznych przewidywało, że Litwa nie będzie stawiać oporu, jednak sztab był skłonny sądzić, że Litwa będzie stawiać opór, że wojsko polskie wkroczy na Litwę i stoczy walki nad Niemnem. Zdaniem polskiego sztabu, w wypadku zbrojnego starcia polsko-litewskiego, Niemcy nie byłoby bierne, również wystąpiłyby zbrojnie i wówczas wielka wojna byłaby nie do uniknięcia. Polski sztab generalny odetchnął z ulgą, gdy Litwa przyjęła ultimatum”.

„Polskie ultimatum bardzo wyraźnie wykazało rządowi litewskiemu, że należy troszczyć się, aby armia była zdolna do walki, zwłaszcza o ile prowadzi się śmiałą politykę, ma się spory z sąsiadami i gdy konflikt z nimi może wybuchnąć w każdej chwili. Utrzymywanie armii, lecz nie troszczenie się jej zdolnością do walki było błędem nie tylko rządu narodowców... Jest to wielka nauka na przyszłość”.

(Przyp. tłumacza: A może jest to również klucz do teraźniejszości. Wszystkie państwa „utrzymują siły zbrojne”, ale jakże wiele tych armii nie byłoby zdolnych do walki. Stąd trudność w prowadzeniu „śmiałej polityki”).

WIZYTA W WARSZAWIE

Wkrótce po powrocie z wizyty w Berlinie gen. Rasztikis otrzymał zaproszenie do Warszawy. Rząd uchwalił przyjąć zaproszenie, aby podkreślić neutralność w sporze polsko-niemieckim. Prasa polska zaczęła robić taką sensację z tej wizyty, że gen. Rasztikis był zmuszony interweniować poprzez polskie poselstwo, aby nie nadawano tej oficjalnej wizycie charakteru sensacji politycznej. Gen. Rasztikis wspomina o rozmowie z mar-

szalkiem Rydz-Śmigłym, w której zapewnił, że Litwa będzie neutralna w sporze polsko-niemieckim, o oficjalnej roznowie z min. Kasprzyckim i o tym jak został przyjęty na audiencji u prez. Mościckiego, któremu asystował marszałek Rydz-Śmigły. Asysta gen. Rasztikisa została zatrzymana u adiutantów. Rozmowa na najwyższym szczeblu odbyła się bez świadków, a tematem jej było prawie wyłącznie... polowanie.

„Szef sztabu gen. Stachiewicz dał wyraz trosce nie tylko z powodu Niemiec, ale też częściowo i z powodu ustosunkowania się do Polski Zw. Sowieckiego. Dla Polski nadchodziły bardzo ciężkie czasy. Z jego słów można było wyrozumieć, że on, a może i całe polskie dowództwo nie bardzo jest zadowolone z polityki zagranicznej swego państwa. Szef sztabu zrobił wrażenie bardzo poważnego żołnierza, który bardzo dobrze zdawał sobie sprawę z grożących państwu niebezpieczeństw i martwił się tym. W rozmowie z nim nie trzeba było szafować frazesami, gdyż cały czas rozmawialiśmy o ważnych sprawach. M. in. zostałem zapytany czy nie przewiduję, aby w wypadku wojny Niemcy zażądali prawa przemarszu przez Litwę dla zaatakowania polskiego prawego skrzydła. Odrzekłem, że nie sądzę, aby Niemcy chcieli wciągnąć do wojny jeszcze i Litwę, gdyż na takie niemieckie żądanie litewska odpowiedź byłaby — bronić się”.

„W czasie wizyty u min. spraw zagranicznych Becka towarzyszył mi litewski poseł w Warszawie dr Szaulys. Ta wizyta była najprzykryjsza. Takiej dumy, pewności siebie, ignorowania wszystkich innych i zarozumiałości jeszcze nigdy nie widziałem. Wreszcie to nieszczerne „ja”. Wyrywało się ono panu Beckowi nawet wówczas gdy mówił o innych. Np. zamiast powiedzieć: tak sądzi, czy tak uczynił rząd polski, mówił: „ja” tak sądzę, ja tak zrobiłem, ja to zrobię itd.

Beck zrobił wykład o polskiej, a raczej o jego własnej polityce zagranicznej i w ciągu całej wizyty nie pozwolił mi wtrącić ani jednego zdania.

Premier gen. dyw. dr Sławoj Składkowski przyjął mnie bardzo serdecznie, po prostu, bez żadnego „nadymania się” i wyniosłości. Zwracał głównie uwagę na podniesienie dobrobytu w Polsce. Bardzo pozytywnie, nawet z pewną dozą zazdrości, odezwał się o litewskiej reformie rolnej, i narzekał, że ta sprawa w Polsce nie tylko źle stoi, ale jest wręcz niewykonalna, pomimo że on sam jest zwolennikiem parcelacji.

Jako lekarz troszczył się też stanem zdrowia wiejskiej ludności, które to sprawy są jego zdaniem na Litwie, również lepiej uporządkowane. Naturalnie w rozmowie została też poruszona sprawa niemieckiego niebezpieczeństwa. General skarzył się, że ma za dużo kłopotów, i pracy, a za mało czasu”.

„Jakie ogólne wrażenie wywarła na mnie polska armia i jej dowódcy? Armia polska była bezwzględnie dobra, zdyscyplinowana, bardzo dobrze przeszkolona i dobrze uzbrojona. Kadry oficerów i podoficerów również były dobre. Co prawda byli w tym wojsku również Ukraińcy i Litwini, dla których polskie sprawy były obce. Jednak nie miało to wielkiego znaczenia. Lotnictwo polskie było słabe. Brak jednostek pancernych. Za przegraną w wojnie z Niemcami nie można winić polskiej armii. Każda taka armia przegrałaby taką wojnę. Przypomnijmy sławną armię francuską. Jak ona się przeciwstawiła Niemcom? O wiele gorzej niż Polacy. Niemcy zwyciężyli Francuzów prędzej niż Polaków. Polacy dali o wiele więcej, niż Francuzi, pięknych przykładów poświęcenia, odwagi, a nawet niepostrzeżonej brawury. Przypomnijmy tylko jak polska kawaleria brawurowo szarżowała z szablami na niemieckie czołgi. To było szaleństwo, ale i odwaga. A ile odwagi i wytrzymałości wykazali polscy marynarze broniący

twardo i zdecydowanie Westerplatte. Wreszcie z jaką zaciętością bronili Polacy swej stolicy pod kierownictwem samego prezydenta Warszawy”.

„Wojnę 1939 roku przegrała nie polska armia, lecz polscy politycy i sojusznicy: Francuzi i Anglicy, którzy doprowadzili do takiej sytuacji strategicznej, że Niemcy nie skrupowani i nie związani na zachodzie, mogli uderzyć wszystkimi siłami na izolowaną Polskę, a Zw. Sowiecki w zмовie z hitlerowskimi Niemcami zadał śmiertelny cios w plecy. A co wówczas uczynili sojusznicy? Nic. Pomimo tego wojsko polskie walczyło, krwawiło się, umierało i trzymało się do ostatka. Więc czy to wojsko było winne?”

W ogólnych wnioskach gen. Rasztikis dowodzi, że polską politykę zagraniczną prowadził samodzielnie min. Beck, a zatem on ponosi największą odpowiedzialność za jej owoce. O marsz. Rydz-Śmigłym znajdujemy opinię, że był dobrym i dzielnym generałem, ale przereklamowanym, sztucznie urobionym na wielki autorytet, jakiego Polsce brakło po śmierci Piłsudskiego. Z osobistego kontaktu odniósł wrażenie, że Rydz-Śmigły był osobistością mniej „autorytatywną”, niż estoński gen. Laidoner, czy też łotewski gen. Bałodis.

Pamiętniki gen. Rasztikisa z okresu ostatniej wojny nie przynoszą rewelacji. Zaraz po wybuchu wojny polsko-niemieckiej, Niemcy wywierali nacisk na rząd litewski, aby Litwa wystąpiła po stronie Niemiec i zajęła Wilno. Gorącym zwolennikiem tej koncepcji był również poseł litewski w Berlinie. Prezydent Smetona sprzeciwił się temu mając zastrzeżenia natury moralnej, oraz przewidując, że w rozpoczynającej się wojnie Niemcy przegrają, więc nie warto się angażować po ich stronie. Na Litwie internowano 13.500 polskich oficerów i żołnierzy, część z nich udała się na zachód, na co rząd litewski patrzył przez palce. Na Litwie do roku 1944, a może i do dzisiaj przechowywano w ukryciu sztandar, bodajże drugiego pułku ułanów.

„Armia litewska byłaby szczęśliwa, gdyby mogła ten sztandar zwrócić jej prawemu właścicielowi — wojsku wolnej i niepodległej Polski”.

W dalszej części pamiętników mało spotykamy poloników godnych powtórzenia, chyba że wymienić parę, raczej humorystycznych.

Rasztikis, jako młody oficer w pierwszych latach niepodległości poprosił o przeniesienie go do innego pułku, gdyż bardzo go raziło, że na bale pułkowe zapraszano gości mówiących po polsku i tańczono mazura. Humorystyczny, ale trochę zawstydzający jest inny wypadek. Brat gen. Rasztikisa był obywatelem polskim i działaczem litewskim na Wileńszczyźnie. Był często karany grzywnami i szykanowany przez miejscowe władze. Lecz po wizycie swego brata w Warszawie, został zawezwany do starosty, tam posadzono go na fotelu i wręczono 300 złotych jako dar od rządu Rzeczypospolitej.

Gen. Rasztikis opisuje pertraktacje na Kremlu w sprawie założenia na Litwie w r. 1939 sowieckich baz wojskowych. Opowiada obszernie o rokowaniach i libacjach, o tym jak Mikojan

za karę, z powodu nietaktownego odezwania się, musiał, z rozkazu Stalina wypić duszkiem ponad pół litra wina i potem już nie odezwał się ani słowem, jak delegację litewską po podpisaniu umowy o północy, zabawiano przez parę długich godzin na bankiecie, a potem zmuszono do pójścia do kremlowskiego kina, gdzie Stalin trzymał ich do piątej rano.

Można by i więcej znaleźć ciekawych wydarzeń w barwnej karierze generała (na przemian: robotnika i kontrahenta rządu Rzeszy, robotnika i wykładowcy w amerykańskiej szkole oficerskiej), ale to przekroczyłoby ramy niniejszej recenzji, uwzględniającej przede wszystkim stosunki polsko-litewskie i litewskie oceny spraw polskich.

Gdy w kilka miesięcy po polskim „przewrocie majowym” nastąpił na Litwie przewrót „grudniowy”, zapytano młodego kierownika polskiej sekcji litewskiej „dwójki”, czy Polska nie skorzysta z zamieszania i nie będzie interweniować, Rasztikis „z większą pewnością niż z wewnętrznym przekonaniem” zaręczył, że — nie, i odtąd zaczęła się jego zawrotna kariera. Z omawianej książki można wnosić, że gdyby poszedł inną drogą to by również się wybił, chociażby jako historyk, czy dziennikarz.

E. ZAGIELL

Nadesłane nowości wydawnicze

DIAMAND (Władysław). *W poszukiwaniu tła, wytycznych i dróg zdrowego rozsądku*. Str. 51. Powielacz. (Nakład autora, Sao Paulo, maj-październik 1958).

Kościół Katolicki w Polsce 1954-1957. Fakty i Dokumenty. Opracował Aleksander WASUNG. Przedmowa O.I.M. Bocheńskiego, O.P. Powielacz. Zawiera: 1) Skład Episkopatu Polskiego w latach 1954-1957; 2) Cz. I. — str. 143: Rozdział: Episkopat, Kościół i Państwo, Duchowieństwo, Akcje dywersyjne, Nauka religii, Rok Maryjny, Uniwersytety, Wydawnictwa, Caritas, Polityka; Cz. II. — nienumerowana, zawiera 62 Dokumenty. (Wyd. Arcybiskupi Ośrodek Dokumentacji dla Spraw Kościoła w Polsce Fryburg, 1958).

GARDOLIŃSKI (Edmundo). *Imigracao e Colonizacao Polonesa*. Str. 114.

Filozofia amerykańska. Wybór rozpraw i szkiców historycznych. Wybrał i opracował Jerzy KRZYWICKI. Str. 322. (Wyd. staraniem East Europe Institute, Boston University Press, 1958).

FERBER (Edna). *Amerykańskie dziedzictwo*. Przełożył Mieczysław Lisiewicz. Str. 212. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”. Tom XLII Serii czerwonej „Biblioteki Polskiej”. Londyn, styczeń 1959. Cena 15 sh.).

NAGLEROWA (Herminia). *Kazachstańskie noce*. Str. 221. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”. Tom LX Serii czerwonej „Biblioteki Polskiej”. Londyn, październik 1958. Cena 15 sh.).

Listy do Redakcji

Kurytyba, 10 stycznia 1959 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Za artykuł „Polacy w Brazylii” zamieszczony w 12/134 numerze KULTURY należy się prawdziwa wdzięczność tak autorowi jak i Redakcji. „Nareszcie zostaliśmy odkryci” — przez prasę polską!

Ponieważ jednak Redakcja nie lubi dymu kadzidel i woli drukować uwagi krytyczne oraz poprawki niż pochwały, ograniczam się do kilku słów.

Poprawka: wymieniony na str. 107 ojciec kolonizacji polskiej w Paranie nazywał się Saporiski, a nie Zaporiski. Żył w latach 1844-1933. Nie ma w Kurytybie pomnika — tylko zwykły nagrobek na cmentarzu muni-cypalnym.

Luka: nie było w Brazylii polskiej prasy? Jeżeli autor odkłada ten temat do osobnego artykułu — to dobrze. Jeżeli nie — to szkoda, chociaż ta polska prasa nie była w Brazylii nigdy tak bogata jak w Ameryce.

Oceny? Te zawsze pozostaną rzeczą sporną. Zdaje się jednak, że bliższe zaznajomienie się choćby z dawniejszymi gazetami polskimi w Brazylii nasunęłoby autorowi myśl, że może ta „Oświata” nie była pomyślana tylko jako młot na rozbicie „Kultury”. I kto wie, czy przeciw nauczaniu religii w szkołach byli tylko rodzice. Czyżby owo religijne społeczeństwo polskie w Brazylii było aż tak antyklerykalne, żeby w poszczególnych osadach większość lub wszyscy rodzice nie chcieli religii? Tak mogło być w kilku miejscowościach. Przeciwnikami religii byli liderzy, nie rodzice. I — jeśli wierzyć rocznikom przedwojennych gazet — zwołna, ale stale zwyciężał kierunek reprezentowany przez „Oświatę”. Nacjonalizacja położyła kres walkom tak o religię jak i o stowarzyszenia.

Tragiczne jest „milczenie”, o którym pisze pan Wójcik. Tym tragiczniejsze im większe były nadzieje i marzenia polskich działaczy i pisarzy, co jak Hempel, Kłobukowski, Siemiradzki, Okolowicz, Bielecki lub Szawlewski pisali w różnych „Kwartalnikach Emigracyjnych” i w osobnych książkach. Marzyli, że kiedyś polski element będzie nie tyle „przedmiotem”, ile „podmiotem” wielkiej działalności w całej południowej części Ameryki Południowej! Zamiast tego — jak pisze ze smutkiem p. Wójcik — polski rolnik-pionier spełniał swe zadanie w ciężkim trudzie, ale było to zadanie wyznaczone przez kogo innego. Za to wszystko spotkało naszych ludzi nie uznanie, tylko milczenie, a czasem i gorzej niż milczenie.

Miejmy nadzieję, że w miarę jak idzie w zapomnienie fala nacjonalizacji, głoche milczenie o wartości i zasługach polskich pionierów będzie coraz częściej i coraz głośniej przerywane. Może nie tylko w *Enciclopédia Rio-Grandense*, ale i w innych wydawnictwach znajdzie się gościnne miejsce na pracę badawczą o polskim imigrancie. W Paranie prof. Julio Moreira opracował w ramach *Dicionário Bibliográfico do Paraná* bibliografię wszystkich wydawnictw polskich opublikowanych w Paranie lub dotyczących Parany. Te dwie jaskółki jeszcze nie robią wiosny, ale może zapowiadają przedwiośnie. A słuchy chodzą, że Dr Edvino Tempaki od dłuższego czasu

pracuje nad dziejami osadnictwa polskiego w stanie Parana. Może teraz, odsunąwszy się od polityki (był posłem do parańskiej Izby Ustawodawczej) znajdzie więcej czasu na dokończenie swej gruntownej pracy. Wtedy może i tacy pisarze jak Wilson Martins i Temistocles Linhares przestaną głosić, że imigrant polski jest albo mało wart albo, że zdradza tendencje „rasistowskie”.

Że to jeszcze nie załatwi sprawy — to inna rzecz. Może się jednak zrobić coś więcej, jako że rośnie dostatek u polskich osadników, a to też coś znaczy. Może nie dogonimy Włochów (taki Matarazzo jest na tyle bogaty, iż na samą budowę katedry w Sao Paulo ofiarował ponoć 500 milionów krucirów!) ani Niemców, co tu mają swe fabryki ani Japończyków, co się nawet do sadzenia pomidorów zabierają z całym aparatem naukowym — ale zaczniemy zamiast biednymi furmankami jeździć potężnymi ciężarówkami. Tak już jest we wielu polskich osadach w Paranie.

Tymczasem jednak musimy zanotować jeszcze jedną smutną sprawę: wybory do Kongresu Federalnego i do Izby Ustawodawczej w Paranie i w Sta Catarina przyniosły nam klęskę niemal całkowitą. I to się da odrzucić tylko — zwycięgiem ekonomicznym, oczywiście połączonym ze zdrowym realizmem politycznym. To jednak już nie należy do uwag o pracy p. Wójcika.

Z wyrazami szacunku

Ks. W. SOJKA

Buenos Aires, styczeń 1959 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 11/133 „Kultury” znalazłem życzliwą i — niech wolno mnie to powiedzieć bez zarzeczności — trafną ocenę wychodzącego w Argentynie „Kurier Polskiego” pióra Londyńczyka. Osobiście jestem jednak zażenowany zbyt pochlebną rolą, jaką według zdania Londyńczyka odgrywa w naszym wydawnictwie skromna osoba niżej podpisanego. Toteż proszę o sprostowanie pewnej nieścisłości. Przepraszam, że czynię to z opóźnieniem, ale byłem przez dłuższy czas „oderwany od cywilizacji”.

„Kurier Polski” — Tygodnik Niezależny — wydaje powstała dwa lata temu w Buenos Aires Polska Spółka Wydawnicza POLAR SRL. Grupa osób niezwiązana absolutnie z nikim i z niczym złożyła kapitał zakładowy i wychodząc z założenia, że w obecnych naszych — jakże trudnych i pogmatwanych — czasach potrzebujemy czasopisma NIEZALEŻNEGO w dosłownym tego wyrazu znaczeniu — rozpoczęła działalność wydawniczą od tygodnika „Kurier Polski”.

Ale jeżeli ocena wydawców, potrzeby ukazowania się takiego tygodnika była słuszna, jeżeli już obecnie „Kurier Polski” ma czytelników rozsianych po całej Ameryce Południowej i napływają prenumeraty ze Stanów, Kanady, Afryki i Australii — to nie jest to zasługa „zespołu redagującego”, a tym bardziej moją. Zespół redakcyjny nie istnieje. Strona redakcyjna Tygodnika całkowicie należy do redaktora naczelnego Feliksa Zahory Ibiańskiego i co redaktora dr. Tadeusza Siuty.

Niżej podpisany jest jedynie członkiem zarządu Spółki Wydawniczej.

Proszę przyjąć słowa szczerzej przyjaźni i szacunku

Wiktór OSTROWSKI

Tandil, Argentyna, 14 grudnia 1958 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Kim jest p. Zbigniew Grabowski? Słowo daję, dobrze nie wiem. Na pewno coś pisze — chyba felietony — gdzie? — bodaj w „Wiadomościach”, czasem w „Kulturze” — ale nazwisko jego pokiełbało mi się z setką innych felietonistów, funkcjonujących w prasie krajowej, tudzież emigracyjnej, i naprawdę nie umiałbym go wyśrodkować z tej kupy papieru. Panu Grabowskiemu nie przypadają do gustu moje utwory? No, cóż, już tak jest, że jednemu się podoba, drugiemu nie. Tenże Miłosz, słusznie wywyższony przez p. Grabowskiego, św. adczył w tejże „Kulturze” coś w ten deseń (cytuję z pamięci), że żadna z książek polskich powojennych nie może mierzyć się z moim Dziennikiem. No więc Miłoszowi smakowało, Grabowskiemu nie, i nawet Grabowskiego tak zezłościło, iż aby sobie ulżyć wykropił „list do redakcji”. W porządku. Mam nadzieję, że p. Grabowski czuje się teraz lepiej.

Pan Grabowski, wraz ze swoją bratnią duszą, p. Januszem Kowalewskim, chce mnie odbierać. Owszem. Bardzo proszę. Z tym tylko kłopot, że od szczypania posągów boją palce. I że do tego odbierania potrzeba by czegoś więcej niż plotek w liście do redakcji — a zwłaszcza nieodzowny jest pewien instrument o który w obozie moich szczypanych zdaje się trudno: inteligencja.

Ale powtarzam, nie będę dyskutował z p. Grabowskim na temat mojej wartości pisarskiej. Idzie mi o coś innego.

Pan Grabowski pisze, że był w zeszłym roku w Polsce i „na podstawie rozmów” przekonał się, że wcale nie jestem tam zaliczany do „czołowych pisarzy”. A dalej, na podstawie tychże „rozmów” dochodzi do wniosku, iż „w poważnej ocenie krytycznej panować się zdaje przekonanie, że Gombrowicz przez osobliwość swojego tonu, tak rzadkiego w naszej uczciwej i podniosłej literaturze, wysunął się na front zaciekania i że ten sukces nie stoi w żadnej proporcji do istotnych zasług pisarskich tego autora”.

Te rozmówki p. Grabowskiego, to już inna para kaloszy. Bo z tych rozmówek wynikałoby, że nie tylko grubo i nieprzychylnie przesądza ci co informują emigrację i zagranicę o moim sukcesie w kraju, ale że i ja sam p.sząc o tym w Dzienniku dopuszczam się przeinaczenia i rozdecia rzeczywistości w celach, rzecz jasna, autorklasy. A to puc i granda! Otóż tutaj pospięram się nieco z p. Grabowskim, bo nie jest już na tapecie żenujący dla mej skromności problem mej wartości pisarskiej, a fakt dający się stwierdzić obiektywnie: czy w kraju był sukces, czy nie było.

Przed wszystkim co do owej „poważnej oceny krytycznej”. Pan Grabowski raczy darować, ale dla mnie „poważna ocena krytyczna” to nie są pogawędki p. Grabowskiego, czy też kogokolwiek innego, a artykuły podpisane i zamieszczone w prasie. Pod warunkiem, naturalnie, że będą wyrazem swobody a nie rządowego nacisku.

Informacja prasowa przysyłała mi z kraju w sporych ilościach artykuły, studia, recenzje o moich książkach w miarę ich ukazowania się na przestrzeni dwóch ubiegłych lat względnej wolności. Jakież ton tej krytyki? Najmocniej przepraszam pana Grabowskiego, ale to doprawdy nie moja wina: stało tam, że jestem „jednym z największych pisarzy naszych czasów”, że Ferdynurke to arcydzieło, że Dziennik, Trans-Atlantyk, Słub, Iwona, Bakakaj to rewelacje, majstersztyki, cuda, że (Słonimski) jestem „łamaczem lodów”, że (Iwaszkiewicz) jestem „godny podziwu”, że (Sandauer) jestem „chwałą narodu”, że (Dygat) jestem „być może największym prozaikiem polskim bieżącego wieku”, że (Kalużyński) jestem obiektem już gorzącej gloryfikacji i że triumf mój przerosł się w manię jednoczącą

naród polski, etcetera. To „etcetera” jest pękate, jak worek, ale czy warto zanudzać ludzi monotonią superlatywów? Ja tu, w Tandilu, nie mam pod ręką wycinków i cytuję z pamięci, gdyby jednak p. Grabowskiemu ta porcja nie wystarczała, mogę po powrocie do Buenos Aires przesłać „Kulturze” dzisiaj razy tyle „głosów prasy”. Czego dotąd nie zrobiłem, bo nie lubię nudzić — ale nie mam też najmniejszej ochoty aby podawano w wątpliwość (zwłaszcza w chwili gdy „Ferdynand” startuje w Paryżu) prawdę mego zwycięstwa literackiego i duchowego w Polsce, rzetelnego, autentycznego, odniesionego po dwudziestu pięciu latach prześladowania, napróżd przez rodzimą kulturę (nie wymarła), a potem przez kulturowo-rodzimy plus Hitler, Stalin i diabli wiedzą jakie jeszcze diably.

Cóż jednak obchodzi pana Grabowskiego ta powódź artykułów o mnie w prasie? Od czegoż jest on żurnalista, felietonistą i autorem listów do redakcji? Pan Grabowski — uroczy plotkarz, jak każdy felietonista — informuje „na podstawie rozmów”. Z kim? Z ciocią? Z wujkiem? Autor, jak ja, kwalifikowany bądź co bądź przez ludzi poważnych jako poważne zjawisko w kulturze polskiej, musi się użerać z taką gadaniną — że to niby „mówi się”, „uważa się” i że (proza p. Grabowskiego) „pawnować się zdaje przekonanie”.

Tyle co o owej „poważnej oceny krytycznej”. Ale może ma rację p. Grabowski twierdząc, że w szerszych rzeszach czytelnich Dąbrowska, Iwaszkiewicz, czy inni, są bez porównania bardziej znani, mocniej utwierdzeni? Owszem. Tak. Oczywiście. Do Argentyny przyfrunęła niedawno z kraju jedna moja kuzynka, bardzo sympatyczna, która ledwie coś tam przypadkiem o mnie zasłyszała — więc jeśli to mnie spotyka w najbliższej rodzinie, cóż mówić o całym narodzie? Tylko że, panie Grabowski, mnie Historia przyznała jak dotąd zaledwie dwa lata względnie normalnego życia literackiego — a pisarze, których pan wymienia, starsi ode mnie, już przed wojną uzyskali laur i potem zachowali jednak możliwość drukowania i prętnikania. Ja, z moją literaturą, o ileż trudniejszą, „awangardową”, zwyciężyłem wbrew wiatrom Historii, tyranii rządów, prymitywizmowi czytelnika — i zwyciężyłem w ciągu dwóch lat. Cóż dziwnego, że ten triumf obejmuje w tej chwili tylko warstwę najlepiej zorientowaną? Ale przecież ta warstwa jest decydująca, ona wyznacza wartości. Dziś, wobec ponownego zaostrożenia kursu, już prawie o mnie się nie pisze w Polsce, powraca dawna moja śmierć cywilna, już pojawiają się trudności z nowym wydaniem „Ferdynanda” i „Trans-Atlantyku”, z wystawieniem „Ślubu” — i, kto wie, być może już niezadługo p. Grabowski będzie mógł stwierdzić z satysfakcją w liście do redakcji, że Gombrowicz (bańka mydlana) zniknął (jak było do przewidzenia) z powierzchni życia krajowego. Mnie jednak wystarczy — i na zawsze — inna satysfakcja: że gdy tylko pogołogowało wieko tłumy tamtejszej, gdy sprawy i ludzie jęły żyć choć w części własnym życiem i przeżyć się własną prężnością, ja wyskoczyłem w górę, jak korek.

I jeśli nie załatwiłem p. Grabowskiego w paru słowach, a rozpisuję się obzeranie, to właśnie dlatego: zależy mi na stwierdzeniu, czarno na białym, że w kraju odniosłem sukces — rzetelny, istotny, po dwudziestu pięciu latach walki. Albowiem, jak dotąd, poza „Kulturą” i tygodnikami polskimi w Buenos Aires jakoś prasa emigracyjna nie zauważyła tego przecież zaszczytnego dla emigracji faktu i nawet skromnej notatki mu nie poświęciła. Zachodzi więc obawa, że jeśli znów w kraju przycisną, to ten mój sukces, przez nikogo nie zanotowany, obróci się w nic, jakby go nigdy nie było (co wypełniłoby szampańską uciechą całą armię skrybów, z którymi mam na pieńku).

A na pociechę p. Grabowskiemu mogę dodać, że ścisłość i rzetelność niektórych informacji krajowych o moich zagranicznych przygodach nie ustępuje jego plotkowi. Oto cytuję z felietonu mego przyjaciela, p. Ksiela,

godnego katolickiego publicysty (w krajowym „Tygodniku Powszechnym”, z grudnia): „Ktoś pokazał mi ostatnio krótką recenzję z francuskiego przekładu „Ferdynanda” w paryskim „L'Express”. Pęknięć ze śmiechu — nie nie zrozumieć!”.

Smutne, nieprawdaż? Widać z tego jak na dłoni, że debiut „Ferdynanda” w Paryżu to zupełnie i wprost komiczne nieporozumienie. Tymczasem prawda jest taka, że w ogóle w prasie europejskiej pojawiły się dotąd o „Ferdynandzie” tylko dwie recenzje (książka ukazała się w Paryżu zaledwie sześć tygodni temu). Jedną z nich, w prasie francuskiej, zaczyna się od słów „Ta powieść jest ni mniej ni więcej tylko arcydziełem”. Drugiej, z prasy szwajcarskiej, jeszcze mi nie przysłało, wiem tylko, że jest sporych rozmiarów i stoi tam o mnie: „der geniale Schriftsteller” (co by to znaczyło — „geniale”?). „Krótka recenzja”, którą pan Ksiel odkrył w paryskim „Expressie”, nie jest żadną recenzją i małe dziecko pozna się na tym na pierwszy rzut oka, bo jest to tylko kilkuwierszowa wzmianka reklamowa mego wydawcy Julliarda — które to reklamy o czysto handlowym charakterze nie mają żadnych pretensji do literatury.

Pęknięć ze śmiechu, co? Bo panu Ksielowi ta reklama stała się recenzją dlatego, że ja uprzednio musiałem go z lekką sztachną za inne drobne nieścisłości. Więc chce się odgrzyźć i starym zwyczajem bzdury prawi swoim Bogu ducha winnym czytelnikom.

Doprawdy, rumienię się, panie Redaktorze... Jak pan wie, nie znozę pisać o sobie, a już gdy muszę przytoczyć jakieś pochlebne słówko o mej pracy, jestem zupełnie nieszczypliwy... Osobiście jestem przekonany, że p. Grabowski z p. Kowalewskim i p. Sakowskim mają rację i że jestem pozerem, blaznem i pajacem, który pisze na przekór i na opak żeby się drażnić, a także pour épater. Jakże mógłbym nie podzielać tak głębokiej i wnikliwej interpretacji mych dzieł i mojej osoby? Z odrazą tedy i tylko żeby ustalić prawdę historyczną zmuszony byłem powołać się na coraz liczniejsze ostatnio opinie, z uporem głoszące, że nie jestem wariat, tylko geniusz.

Z poważaniem

Witold GOMBROWICZ

Orlando, Fla. dn. 6. 2. 1959 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Z góry można było przewidzieć, że trafna i odważna „Eksploracja Demograficzna” Zbyszewskiego wywoła eksplozję pewnej kategorii czytelników. Co było chyba jej celem i stanowi zapewne jej największą wartość. Gdyż obojętnie czy wzbudzając sprzeciw czy aprobatę — powoduje reakcję myślową w sprawie, o której się za mało myśli i mówi, a za dużo robi. A to jest wiele warte przy obecnym stanie rzeczy.

Godny pożalowania jest natomiast fakt, iż dotychczasowe „kontra” — prócz jednego wyjątku — nabrały formy prawie, że napastliwej w stosunku do W.A.Z.

Powodem niniejszego listu jest pragnienie stwierdzenia, iż istnieją ludzie, którzy całkowicie zgadzają się z poglądami wyrażonymi przez autora „Eksploracji” i biorą absolutnie poważnie „groźbę widoku kołyski z trzecim dzieckiem”. Jaka to groźba — może stwierdzić tylko ktoś kto sam jest w stanie zagrożenia, lub ktoś kto się z tym stykał blisko. Wszelkie teore-

tyczne próby obrony nadmiernej płodności (całkowicie się zgadzam z W.A.Z., że więcej jak 2 dzieci na małżeństwo stanowi nadmiar) mają wartość równą twierdzeniom bogaczy „że to wcale nie straszne żyć w nędzy”, albo twierdzeniom przejeżdżonych „że głód to nawet rzecz zdrowa!”. Oczywiście zdaje sobie sprawę, że nie ma tylu świadomych tej groźby ilu by być powinno, ale ludzi rozważnych pod każdym względem jest i tak i tak mało w świecie; co jest na ogół znanym zjawiskiem.

Z reguły obrońcami płodności są dwie zasadnicze kategorie ludzi. Pierwsza — to warstwa teoretyków, przeważnie nie mająca dzieci w ogóle. Druga — to grupa rodziców liczego potomstwa, którzy tym głośniejszą krzywą o swej racji im większa ich co do tego ogamia niepewność wewnętrzna. A przeważająca większość — to nieszczęśliwi ludzie nieświadomi, którzy nie mają żadnego wyrobionego poglądu; których życie jest przedziej sumą przypadków, niż planowanym dążeniem do konkretnych celów. W obliczu tej nieświadomości ludzkiej, apoteozowanie płodności wydaje mi się co najmniej nieostrożne i... mało odpowiedzialne.

Głównym atutem obrony płodności jest na ogół — prócz względów pseudo-religijnych — rozkwit i chłonność rynków wewnętrznych. A przecież każdy zajmujący się tylko pobieżnie problemami gospodarczo-społecznymi zdaje sobie jasno sprawę, że do rozkwitu gospodarczego stale cytowanych przykładów jak np. Niemiec Zach., lub Stanów Zjednoczonych przyczyniło się równoległe bardzo wiele różnych czynników. Przede wszystkim właśnie inne czynniki, nie przyrost naturalny. Ale nawet gdyby głównie przyrost? Ile jest w końcu tego typu rozkwitających i prosperujących państw w świecie? Można by na palcach zliczyć. I to palców za dużo, może nawet na jednej ręce! Jak wobec tego wygląda zasada wzrostu dobrobytu równoległego do przyrostu ludności? Wynikałoby z tego, że Chiny, Indie i wiele, wiele innych państw przeludnionych — na zliczenie których z kolei nie starczyłoby palców u obu rąk — powinny być rajem dobrobytu. Ale tam jakoś ta zasada nie chce działać!

Alle przestańmy raz patrzeć na sprawy tak bardzo ludzkie i osobiste, jak przyrost rodziny, poprzez okulary zimnych i suchych danych statystycznych. Spójrzmy lepiej prosto w twarz człowiekowi. Ot, tatusiowi powiedzmy 6-ga dzieci. I weźmy dla przykładu „perłę” rozkwitu — Stany Zjednoczone (gdzie zresztą 6 potomków to jeszcze nie szczególnie dużo dla pewnych entuzjastów). Nikt chyba nie jest w stanie twierdzić z pełnym przekonaniem, że poziom życia przeciętnej rodziny mającej 6 pociech jest wyższy, lub nawet równy przeciętnemu poziomowi rodziny mającej 1 lub najwyżej 2 dzieci. Przede wszystkim nikt nie zarabia więcej wyłącznie dlatego, że ma 8 czy 6 dzieci, a nie jedno. Nawet mimo to iż ludzie temu Bogu ducha winni muszą dopłacać w formie podatków na szkoły i inne usługi, z których korzystają przede wszystkim rodzice licznych dzieci (nie chcę już poruszać niesprawiedliwości tego faktu) — to jednak główny ciężar utrzymania spoczywa na rodzicach. Co każdy wie. Stąd też coraz bardziej powszechne jest zjawisko, że tak ojciec jak i matka pracują zarobkowo, aby móc utrzymać swój standard życiowy, gdy tymczasem dzieci wychowuje ulica. Rezultaty tego są chyba aż nadto znane. Potwornie szybko wzrastająca przestępczość wśród młodzieży, upadek moralności, obniżenie poziomu ogólnego, już nie wspominając zagadnienia wykształcenia etc. etc. Wystarczy wziąć do ręki pierwszą lepszą gazetę, aby się przekonać jak opłakane ponosimy skutki statystycznie uznanego „podniesienia poziomu”. Wystarczy zajrzeć do jakiegokolwiek murzyńskiej dzielnicy, w jakimkolwiek amerykańskim mieście, aby zobaczyć nie tylko obrazy przeludnienia, ale i nieprawdopodobnego rozkładu i zbrodni. Czy też za duża ilość dzieci odbija się gorzej na — wznietych dla przykładu — rodzinach amerykańskich, niż polskich, czy jakichkolwiek innych? Czy są jakieś dowody na

to, że przeciętni rodzice są w możności z równą starannością wychować i wykształcić gromadę 8 czy 6 dzieci, jak by to mogli gdyby mieli najwyższe 2?

Kto poważnie myślicy, w obliczu tych faktów, może z punktu widzenia chrześcijańskiego uważać dużą rozrodczość za objaw pozytywny i bronić jej powiedzonkiem: „Gdy Bóg da dzieci — to i na dzieci?”. Już nie mówiąc o tym, że powoływanie się na biblię pisaną tysiące lat temu w argumentacji na rzecz rozrodczości jest dość niefortunne, gdyż co mogło mieć rację wtedy może nie mieć sensu dzisiaj!

Zresztą co tu dużo gadać? wiadomo, że znajdujemy się również w okresie zastępowania „quality” przez „quantity”. Ten fakt jest wprawdzie zgodny z cyframi mówiącymi ogólnie o wzroście dobrobytu, ale stoi w skrajnej sprzeczności z interesami jednostki. Każdy z nas osobiście wie dokładnie, że „jakości” nie są w stanie zastąpić żadnych „ilości”. I to dotyczy wszystkich objawów życia.

Niestety entuzjaści statystyk i płodności zapominają o jednostce ludzkiej w swym zapaśtrzeniu w cyfry. Dane mówią o wzrastającym przeciętnym dobrobycie w pewnej grupie państw. Kropka!

Człowiek-Indywidualność przestaje mieć znaczenie w wieku „Powstania Mas”. Widać nie tylko w systemach totalitarnych jednostka traci swą godność osobistą, stając się przede wszystkim statystyczną cyfrą, lecz również i w umysłach zachodnich propagatorów rozrodczości!

Aspekty przyszłości? Co prawda dziś jeszcze nie całkiem grozi nam tragi-komiczna śmierć z tego powodu, że bakterie z „septic-tanku” sąsiada zatruwają naszą studnię. Ale co będzie jutro? Objętość świata i ilość dóbr podstawowych jest czynnikiem stałym, mimo rewelacyjnych zdobyczy naukowych. Czy rzeczywiście liczymy na jakiegoś Marsa, myśląc o dynamicznej przyszłości? — bo na księżyc trochę trudno liczyć, chociażby z powodu braku powietrza.

Reasumując to wszystko, nasuwa mi się pytanie czy nie można by człowieka zacząć traktować zwyczajnie, po ludzku, jako jednostkę, a nie jako cząstkę bezwładnej masy podlegającej masówkom statystycznym?

No i w końcu, czy nie można — chcąc koniecznie złożyć swe „veto” przeciw rozważnym słowom W.A.Z. — znaleźć choć jednego poważnego i przekonującego argumentu, bez prób deformowania myśli autora?

Łączę wyrazy głębokiego poważania,

Barbara SZUBSKA

Nowy Jork, 5 grudnia 1958 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 10-tym „Kultury” Londyńczyk zarzucił Syndykatom, że wydał on po polsku książkę Dżilasa „Nowa klasa” bez porozumienia z „Kulturą”, która rzekomo posiada „copyright” na polskie wydanie. Syndykat — zdaniem Londyńczyka — miał przy tym skorzystać z faktu, że Stany Zjednoczone nie są stroną Konwencji Berneńskiej.

W związku z powyższym uprzejmie prosimy Pana Redaktora o zamieszczenie następującego wyjaśnienia:

Syndykat otrzymał od firmy wydawniczej Frederick A. Praeger w Nowym Jorku w dniu 8 sierpnia 1957 r. prawo przekładu na język polski i polskiego wydania książki Dżilasa. Podobne prawo uzyskała dopiero po nas a nie przed nami „Kultura”. Oba prawa nie miały wedle oświadczenia

Praegera charakteru wyłącznego. Nawiasem mówiąc kiedy „Kultura” zwróciła się w tej sprawie do firmy wydawniczej Praegera dwu z naszych Kolegów, a w szczególności tłumacz kol. A. Lisowski byli zapytywani o opinię w tej sprawie i nie wyrazili zastrzeżeń przeciw udzieleniu również i „Kulturze” prawa przekładu i polskiego wydania. Okoliczność, że „Kultura” zdążyła wydać swój przekład wcześniej niż my nie wpływa w niczym na stan prawny tej sprawy.

Wynika z tego, że twierdzenie jakoby prawa „Kultury” były naruszone nie znajduje potwierdzenia w stanie faktycznym sprawy.

Nawiasem mówiąc Stany Zjednoczone podpisały Universal Copyright Convention zawartą pod egidą Unesco i obowiązującą od 16 września 1955 r.

Łączymy wyrazy poważania.

Związek Dziennikarzy R.P. — Syndykat w Ameryce Północnej
Za Zarząd Syndykatu:
(—) Dr. Alexander KORCZYŃSKI — prezes
(—) Franciszek PUSŁOWSKI — sekretarz

Londyn, 9 lutego 1959 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Interesujący artykuł p. A. Grobickiego o koncercie Paderewskiego w Toronto (Kultura Nr 1/135-2/136) okazał się nie do zniesienia dzięki ignorancji autora w sprawach muzycznych oraz błędem w tłumaczeniu z angielskiego. Jeśli błędy, które podaję niżej, pochodzą z prasy kanadyjskiej, cytowanej gęsto przez autora — to należało to zaznaczyć w przypisach. Oto kwiatki:

— „.....Szuberta „Król Elf” (str. 61, 62). Utwór Schuberta (a nie S z u b e r t a) ma polski tytuł „Król Olch”, tłumaczony ściśle z Goethego „Erlkönig”, na tle którego Schubert skomponował swój muzyczny poemat.

— „Campanella” Paganiniego — winno być „Campanilla”.

— „Pianino”, wymieniane wielokrotnie przez autora: „.....pozycja Paderewskiego przy pianinie”; „.....pianina, na których koncertował”; itd. Nawet dzieci wiedzą, że żaden artysta nie koncertuje na pianinie tylko na fortepianie. Autor przetłumaczył sobie żywcem „piano”, które po angielsku może oznaczać zarówno fortepian (grand-piano) jak i pianino.

— „.....rozpoczął koncert sonata opus 53 Beethovena, znaną lepiej amatorom jako Wallensteinowska”. Jak widać, p. Grobicki nie jest amatorem muzyki i nie wie, że sonata ta nazywa się Waldsteinowska. Powtarza ten błąd 2 razy, nie jest to więc chyba omyłka drukarska.

— „diminiss.mo” (str. 67). Nie ma takiego terminu w muzyce. Autor miał zapewne na myśli „diminuendo”.

— „tafinowany sentyment” (str. 62). Co to znaczy? Zapewne znów przetłumaczone dosłownie z angielskiego „refined”.

Wstyd dla autora, ale jeszcze większy dla „Kultury”, której redaktorzy najwidoczniej nie przeglądają nadsyłanych skryptów. Szkoda! W ten sposób obniża się poziom pisma.

Z poważaniem

Bożena SZCZYTOWSKA

Toronto, dnia 25 grudnia 1958 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W listopadowym numerze „Kultury” Czesław Miłosz zamieścił krytykę antologii współczesnej poezji brytyjskiej i amerykańskiej „Czas niepokoju”, wydanej przez Pawła Mayewskiego w Nowym Yorku. Zdaniem Miłosza antologia jest chybiona i zwyczajem polskim Miłosz z punktu zwała winę na wydawcę i jednego, nieistotnego tłumacza, który drobnym błędem w żadnym wypadku nie mógł antologii ani zaszkodzić, ani uświetnić jej kart.

Jeżeli antologia jest nieudana, to chyba Miłosz, który zajmuje w niej bardzo poważne miejsce, dokonał jej pogrzebu. Na jednym przykładzie „Ziemni jalewej”, która roi się od błędów o wiele istotniejszych od przytoczonych przez Miłosza w „Wycieczce w poezję kilku epok” pragnę wykazać, że jeżeli ktoś ma się bić w piersi z winy antologii, to przede wszystkim Miłosz i przeprosić pobłażliwego wydawcę antologii, pana Mayewskiego, za popelnienie przeciwko angielszczyźnie winy.

Trzeba powiedzieć, że „Ziemia Jalewa” w tłumaczeniu Miłosza jest jeszcze w stanie płynnym. Sam Miłosz pracuje nad nią, co od razu widzi się przy porównaniu tekstu z „Antologią” z tekstem w „Kulturze”. Błędy jednak są jeszcze i to czasami bardzo zasadnicze. Najczęściej jednak nie dostrzega Miłosz w słowach tych nuanów, które tylko stała konwencja i codzienne obcowanie z angielszczyzną gruntują i automatyzują w nas. *Dead land* nie jest wcale „nieżywą ziemią” gdyż „nieżywemu” brakuje martwoty słowa angielskiego. *Forgetful snow* to nie „laskawy śnieg” — a zdanie *Yet when we came back* jest czynnością dokonaną i nie znaczy „gdy wracaliśmy”.

Lady of the Rocks Miłosz nazywa „Dama Skal” — owszem, dosłownie można by tak przetłumaczyć, ale dla ucha lepiej brzmiałoby tu „Pani Skal”. Przynajmniej w moim uchu. A dalej:

U Eliota: *And each man fixed his eyes befor his feet.*

U Miłosza: Każdy oczy obracał w dół, do mokrych płyt.

U Eliota: *You who were with me in the ships at Mylae!*

U Miłosza: We flocie razem byliśmy pod Mylea!

U Eliota: *Or has the sudden frost disturbed its bed?*

U Miłosza: Przymrozek nie zaszkodził? Dobrą ma kwaterę?

W swoim tłumaczeniu „Ars Poetica” Mac Leisha musiałem odbiec od oryginału, który jest zwarty i rytmiczny, przy tym spięty rymami i dlatego dwuwiersz:

*A poem should be wordless
As the flight of birds*

przetłumaczyłem:

Wiersz winien być bez słów
Jak przelot sów

Te „sowy” długo nie dawały mi spokoju, ale nie mogłem znaleźć szczęśliwszego zwrotu. Wydaje mi się, że tego rodzaju „odstępstwa” od oryginału znajdują usprawiedliwienie w oczach czytelnika, natomiast nie widzę usprawiedliwienia gdy Miłosz w *Glowed on the marble* widzi słowo „gładki” i tłumaczy „Zarzyło się na gładkim marmurze” — co niefortunnie łamie rytm i sypka słowo „marmur”.

W *A Game of Chess* jest linia zaczynająca się:

Another hid his eyes behind his wing, a u Miłosza:

„Drugi zakrywał oczy swoim skrzydłem”, ten „drugi” jest tu zupełnie błędnie użyty. Nawet w tak popularnym wyrażeniu angielskim, jak:

Won't you have another cup of tea? słowo „another”, choć się znać, że samo narzuca, nie znaczy „drugi”, ale *one more* — „jeszcze jedną”. natomiast w wierszu Eliota znaczy ono „inny”. Dalej zaś — *carves dolphin to u Milosza*: „Delfin, uczenie wyrzeźbiony”, *Footsteps shuffled on the stairs to*: „Gdzieś na schodach człapały czyjeś ciężkie kroki”, *savagely still to* tylko: „spokojne”, *rats alley* — to: „szczurza ulica”, choć właśnie szczury gnieżdżą się w zaułkach, bocznikach czy ulczkach, czemu właśnie odpowiada słowo *alley*. Zdanie: *And we shall play a game of chess* nie znaczy: „Możemy zagrać partię szachów”, ale, że: „Zagramy partię szachów”.

W zdaniu: *She's had five already, and nearly died of young George*. Milosz zupełnie zapominał o młodym Jerzym i przetłumaczył: „Miała ich już pięć, o, raz omalże nie umarła”, a dalej u Eliota: — „it would be all right, co u Milosza: — ... „że głupstwo”... Well, if Albert won't leave you alone, there it is, I said, „Jeżeli dostaniesz za swoje, dobrze ci tak, ja mówię” — co znów odbiega od oryginału. Kilka linii niżej, Eliot mówi: *Albert was home, a Milosz*, że: „Albert powrócił”.

...loitering heirs of city directors...co dosłownie oznacza walczących się dziedziców (lub spadkobierców) miejskich dyrektorów, gdy loitering jest imiesłowem wyrażającym czynność fizyczną, u Milosza polska wersja brzmi: „...próżniacy, synowie dyrektorów”. A dalej: *vegetation*, to dla Milosza: „...działa trawy which shall bring, zmieniło się w: „słyszę jak niosą”. *Rattled by the rat's foot only, year to year* — to: „I tylko szczur grzechocząc w nich, przerywa ciszę”.

C. i f. London: documents at sight — „at sight” jest zwrotem wyrażającym: „natychmiast”, lub „bez zwłoki”, a słownik języka angielskiego tłumaczy: *at once, without delay* i cała linia u Eliota ma wydźwięk handlowy, natomiast polski tekst: — oto dokumenty — nie zupełnie nie mówi, a litery CIF nie mają aż takiego znaczenia międzynarodowego, by mógł je zrozumieć czytelnik polski.

On the divan are piled (at night her bed), Milosz koloryzuje: „A na tapczanie zmieszane się pstro” — dalej *expected guest*, zmienił się w: „gość niezbędny”, piękne zaś linie Eliota:

And walked among the lowest of the dead.

Bestows one final patronising kiss

zmieniły się w nic nie mówiące:

Któremu zmarli ślali powitanie.

Jeszcze ostatni pocałunek w czoło”, ale dlaczego w czoło, i dlaczego pominięto: *Bestows* i *patronising*?

W wierszu: *She smoothes her hair with automatic hand*, Milosz wszystko uprościł, przemacył i zmłodopolczył: „Leniwą ręką włos ciężki upina” — zupełnie nie zgadza się z oryginałem. To samo stało się z krótkim, a jakże wyrazistym zdaniem Eliota:

*My people humble people who expect
Nothing.*

Milosz zaś:

„Nikt u mnie w domu
O niczym nie marzy,
Nie czeka, nie pragnie
Nic”.

Łączę najserdeczniejsze pozdrowienia

Wacław IWANIUK

Ankara, w styczniu 1959 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Wznawiając sprawę rozmowy Sosnkowski — Wilson, p. Trenczyński w swym liście do „Kultury” (Nr 135/6) argumentuje dowcipami i sięga aż do bajek Krasickiego. Co do mnie, sądzę, że dowcipy bawią tylko wtedy, gdy zawierają w sobie pewne podobieństwo do ludzi lub zdarzeń — co w danym wypadku nie ma miejsca. Wolę więc ograniczyć się do uwag faktycznych.

Najprzód co do „obrońców” Generała Sosnkowskiego. General nie potrzebuje obrony — ni cudzej, ni własnej. Dał, w przedmowie do książki gen. Sosabowskiego, relację ze swej rozmowy z Generałem Wilsonem. Relacja uczestnika rozmowy, dopóki nie wywołała zaprzeczenia ze strony drugiego jej uczestnika, pozostaje wiarygodnym dokumentem historycznym, którego żadne rozumowania ludzi postronnych nie są w możności podważyć.

Otoż General Wilson, obecnie Marszałek, drugi uczestnik rozmowy, jak dotychczas treści jej, podanej przez gen. Sosnkowskiego, nie zaprzeczył: powiedział jedynie w liście prywatnym, że jej nie pamięta. Twierdzenie p. Trenczyńskiego, że gen. Wilson już przed 10 laty omawiał „trudności lotnicze” spowodowane Powstaniem Warszawskim, nie odnosi się ani do daty, ani do tematu rozmowy w Casercie, wprowadza więc czytelnika w błąd.

Zadziwiający pozostaje fakt, że gen. Wilson znajduje wciąż nieproszonych obrońców polskich — wtedy, kiedy tylko on jako uczestnik rozmowy może obronić siebie samego, względnie swych przełożonych, przed zarzutem niepoważnej oferty, przedłożonej gen. Sosnkowskiemu.

Obawiać się jednak należy, że ani bezpośrednio zainteresowany gen. Wilson, ani jego mocodawcy angielscy, nie prędko wystąpią w swej obronie. Każdy choć powierzchownie obznajmiony z praktyką życia publicznego w Anglii wie, że ujawnienie wystąpień politycznych osób znajdujących się na służbie J. Kr. Mci może nastąpić jedynie z zezwolenia władz. Gdyby było inaczej, nic nie byłoby prostszego dla odpowiedzialnych czynników angielskich i dla Generała, a obecnie Marszałka Wilsona, jak obronić się przed zarzutem Generała Sosnkowskiego, ogłaszając raport, jaki niewątpliwie gen. Wilson złożył w swoim czasie swym władzom przełożonym o ważnej rozmowie, odbytej 3 sierpnia 1944 w Casercie.

Wezwanie więc o wyjaśnienie czy o tłumaczenie skierował p. Trenczyński pod niewłaściwym adresem: powinien był je zaadresować do Anglików. Już w sierpniu 1957 pisałem w liście do jednego z pism polskich, przypadkowo wówczas nie ogłoszonym:

„Pozostawmy głos Anglikom. To jest ich kłopot wyjaśnić, czy i w jakiej mierze dotrzywali umów z Polską i byli w jej potrzebie pomocni. Dotyczy to między innymi rozmowy między gen. Wilsonem a gen. Sosnkowskim i propozycji w tej rozmowie czynionych... Na przedmowę gen. Sosnkowskiego i na jego twierdzenia o postawie nie tylko gen. Wilsona, lecz w ogóle Wielkiej Brytanii w stosunku do Polski, winni odpowiadać Anglicy i niepotrzebnie Polacy zabrali głos za nich”.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania

Michał SOKOLNICKI

Grenoble, 16 lutego 1959 r.

Drogi Panie Redaktorze,

Pozwoli Pan, że nie mogąc uporać się inaczej z obowiązkiem szczerej wdzięczności, złożę na Pańskie ręce podziękowanie tym wszystkim przyjaciółom, znanym i nieznanym, z bliska i z daleka, którzy — poczynając od samej „Kultury” aż do licznego udziału w książce pamiątkowej pod redakcją Petera Marbacha — zechcieli mi wyrazić przyjacielską życzliwość z powodu daty moich 70-ych urodzin. To spontaniczne użycie przypadkowego pretekstu mówi więcej o motywach przyjaźni niż mogłem oczekiwać i zobowiązuje mnie na zawsze.

Dziękując serdecznie za umieszczenie mego listu, kreślę się

Stanisław VINCENZ

GRYF PUBLICATIONS LIMITED

PRZEDSTAWICIELSTWO „KULTURY”
I WYDAWNICTWO KSIĄŻKOWYCH „KULTURY”
NA WIELKĄ BRYTANIĘ

zaopatruje w książki polskie mając na składzie ponad
3.000 tytułów. Wysyła natychmiast po otrzymaniu
z a m ó w i e n i a.

Katalogi bezpłatnie na żądanie.

WYSYŁAMY BEZPOSREDNIO DO W. BRYTANII,
ST. ZJEDNOCZONYCH, AUSTRALII, BRAZYLII
I I N N Y C H K R A J Ó W.

Na terenie Francji przedstawicielstwo:
„Libella”, 12, Rue St. Louis-en-l'Île, Paris 4^e

BOGATY DZIAŁ NOWOŚCI

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHLswick 1860.

Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 frs., 1/2 strony 10.000 frs.
(w tekście + 50%; okładka + 100%).

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4^e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.

Dépôt légal: 1^{er} trimestre 1959



WSZYSTKIE NARODY
publikują od lat własne „Who's Who” informując
swoich i obcych kim kto jest.

Dotychczas brak było polskiego odpowiednika
takiego wydawnictwa.

Po raz pierwszy ukaże się ono obecnie pt.:

WHO'S WHO AMONG POLES

(of Nationality and Origine)

in the

British Commonwealth of Nations

„WHO'S WHO” uwypatnia udział Polaków w wielu
dziedzinach życia i podaje informacje o ich stanowiskach,
kwalifikacjach i możliwościach.

„WHO'S WHO” daje obraz wkładu pracy, pomysłowości,
przedsiębiorczości i osiągnięć najaktywniejszej grupy
spośród półmilionowej Polonii w krajach Wspólnoty
Brytyjskiej.

„WHO'S WHO” wydane w języku angielskim obejmie
swym zasięgiem cały świat.

„WHO'S WHO” ukaże się w serii
„Taurus Reference Books”

„Who's Who” dostępne jest tylko w prenumeracie
Biblioteki zamówiły większość nakładu, pozostałą ilość
oferujemy księgarням i innym zainteresowanym w drodze
przedpłaty po cenie 40 sz., albo \$ (US) 6.00 za egzemplarz.

Przedpłatę przyjmuje



WHO'S WHO AMONG POLES
95, Black Lion Lane, London W. 6, England

W związku z
**TYSIĄCLECIEM
PAŃSTWA POLSKIEGO**

ukaze się
wielka 6 tomowa encyklopedia bogata w mapy i ilustracje

POLONIA W ŚWIECIE

(od najdawniejszych czasów do chwili obecnej)

ENCYKLOPEDIA I SŁOWNIK BIOGRAFICZNY

pod redakcją

Bohdana O. Jeżowskiego

przy udziale wybitnych naukowców i specjalistów

Materiał encyklopedyczny obejmie historię Polonii w rozmaitych krajach, historię ruchów emigracyjnych, ważniejszych ośrodków, organizacji itp. Specjalnie szczegółowo omówione zostaną dzieje emigracji wojennej i politycznej po II wojnie światowej. Uwzględnione będą ponadto wiadomości o polskich osiągnięciach naukowych, artystycznych, technicznych itp., informacje o polonikach znajdujących się w muzeach, archiwach, bibliotekach i zbiorach prywatnych i wiele innych.

W części biograficznej znajdzie się kilkanaście tysięcy nazwisk historycznych i współczesnych (łącznie z nazwiskami ludzi żyjących i działających obecnie).

„Polonia w Świecie”

wydana w serii „Taurus Reference Books”

ukazywać się będzie tomami:

I — Ameryka Łacińska, II — Brytyjska Wspólnota Narodów
III — Stany Zjednoczone A.P., IV — Kontynent Europejski
V — Afryka i Azja, VI — Uzupełnienia i składowe części (składowe części poszczególnych części znajdują się w każdym tomie).

Tomy I i II są w przygotowaniu.

Przedpłata ogłoszona zostanie po oddaniu tych dwu pierwszych tomów do druku



POLONIA W ŚWIECIE
95, Black Lion Lane, London W. 6, England

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji : 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	39 pesos	234 pesos	468 pesos
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£A.1.7.6.	£A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska-Czaka, 19, Square Saintelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	35 frb.	180 frb.	320 frb.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmują : Julia Barcinska, r. Itaipava 101 (J. Botânico), Rio de Janeiro; Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba Parana; Jadwiga Swirska, rua Maranhao 213, Sao Paulo		4 dol. am.	6 dol. am.
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganika, Uganda), Roman Krolkowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d. 250 fr.	21 sh. 1.300 fr.	42 sh. 2.600 fr.
FRANCJA : « Libelle », 12, r. St-Louis-en-l'Île, Paris-4			
HOLANDIA : T. Szpilczyński, Ruysdaelkade 5, Amsterdam-Z, Tel. : 716080, Nr konta poczt. 13500 — t.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
IZRAEL : Diffusion du Livre François, Ltd, 35, rue Rashi, B.P. 3172, Tel Aviv	285 fr.	1.500 fr.	3.000 fr.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W., Toronto Ont.; K. Krakowska, 3445 Marlboro Av., N.D. de G., Montreal/Queb. Tél. : HU 8-5224; H.R. Radomski, 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tél. : HY 0829; Votra Trade, 277 Selkirk Av., Winnipeg 4, Man.; « Zwiastowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont. Tél. : LE 1-2491	75 cent	4 dol.	6 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY : St. Mikieluk, (13b) München 45, Goblentzstr. 7/1	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Moss, Kongesgt. 2	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25 fr. s.
SZWECJA : Red. Norbert Zabe, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A. : W. Blenkowski, « Gryf Publ. », 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetyński, 670-47 street, Brooklyn 20, N.Y.; S. Dziarczykowski, 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; M.K. Dziewanowski, 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; T. Konopacki, 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Av., Toledo 2, Ohio; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; A. Pleszczyński, 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; Polish Amer. Book Co., 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; The Polish Book Importing Co., Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Proca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; K. Trojanowski, 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
WŁOCHY : Aleksander J. Mikucki, Viale Parioli 124, int 12, Roma. Tél. : 87-10-27	300 liras	1.750 liras	3.000 liras

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 200 frs półrocznie i 400 frs rocznie Przesyłka pojedynczego numeru : 35 frs. Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres : Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.) C.C.P. PARIS 7585-94

Nowości

BIBLIOTEKI " KULTURY "

TOM XXXV

JAMES BURNHAM

REWOLUCJA MANADŻERSKA

Przekład Jerzego Horzelskiego

Cena egzemplarza 1.000 frs. (18 sh., 2,50 dol.)

◆

TOM XXXVI

TADEUSZ KATELBACH

ROK ZŁYCH WRÓŻB

(1943)

Cena egzemplarza 800 frs (15 sh., 2,00 dol.)

◆

TOM XXXVIII

JÓZEF ŁOBODOWSKI

PIEŚŃ O UKRAINIE

wraz z przekładem na język ukraiński
ŚWIATOSŁAWA HORDYNSKIEGO

Cena egzemplarza 400 frs (7 sh., 1,00 dol.)

◆

TOM XXXIX

TADEUSZ NOWAKOWSKI

SYN ZADŻUMIONYCH

Cena egzemplarza 500 frs (7 sh., 1,00 dol.)

◆